- Raz w roku w Skiroławkach
- Już nie biją!
- Sny i marzenia — przed premierą
- Kłopotliwa rodzinka
- Ulice mojego dzieciństwa — wspomnienia z dawnej Łodzi
- Żywy góral i pieczony baran
- Rakieta — opowiadanie SF

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 45 (1336) ROK XXVI 5 LISTOPADA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

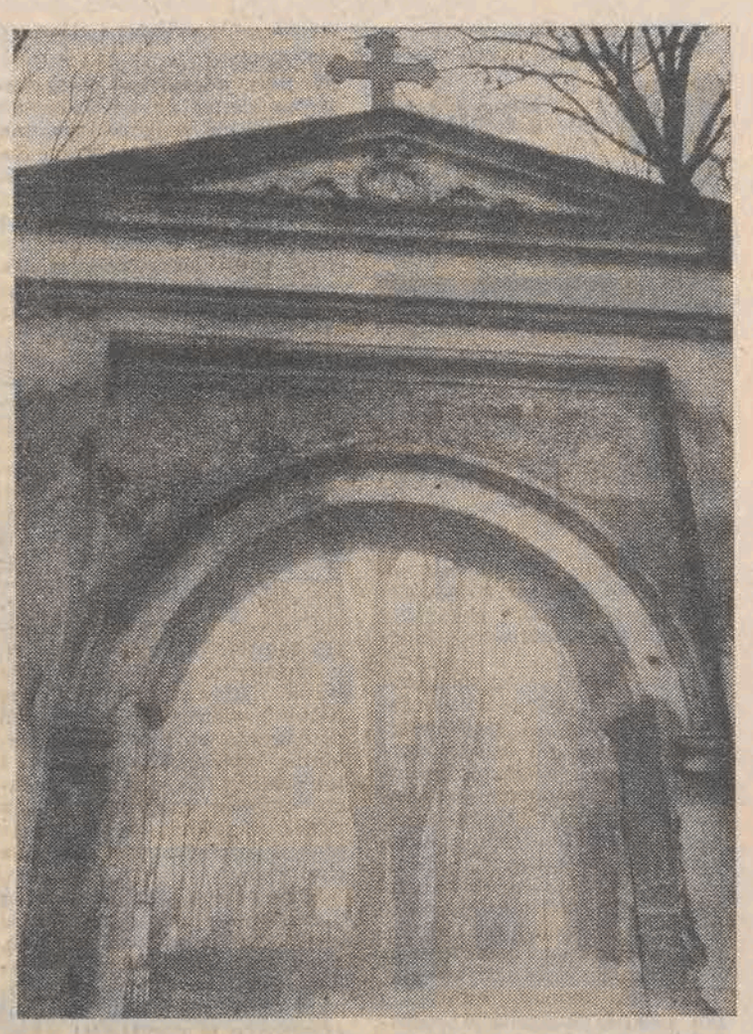

Foto: Mirosław Zajdler

Foto: CAF

Firmy polonijne: legenda i rzeczywistość

TERESA JERZYKOWSKA

Lubimy, nie od dziś objawiać swoją fascynację tzw. Zachodem, znanym niekoniecznie z własnych doświadczeń, ale często tylko z kolorowych zdjęć w ilustrowanych magazynach (drukowanych na lepszym papierze niż nasze czasopisma), z opowiadań znajomych, którzy z pobytu za granicą przywieźli stary samochód oraz jedno, najważniejsze wspomnienie: w sklepach jest wszystko, oprócz kolejek.

Takiej właśnie, powierzchownej fascynacji przypisać należy atmosferę, jaka towarzyszyła powstaniu pierwszych w naszym kraju przedsiębiorstw polonijnych. Była to niemal euforia. Oczekiwaniom, że w krótkim czasie i u nas zrobi się tak kolorowo, jak na okładkach zagranicznych magazynów, towarzyszyły ponadto wzniosłe hasła bratania się z Polakami na całym świecie, co i nas miało wkrótce przekształcić w obywateli świata.

Oczywiście ówczesne władze nie mogły ograniczać się do haseł, lecz rozważały również polityczną zasadność i gospodarczą celowość wprowadzenia do Polski obcego kapitału. Czy cele te zostały nakreślone słusznie i czy zamierzenia, przyświecające podjęciu takiej decyzji udało się zrealizować — to już inna sprawa. Podobnie cudzoziemcy polskiego pochodzenia, którzy chcieli rozpocząć u nas działalność gospodarczą mówili przede wszystkim o sprawach ekonomicznych, jedynie kurtuazyjnie okraszając rozmowy hasłami miłości do „Starego Kraju". Społeczeństwo nie było jednak o tych mniej efektownych aspektach sprawy w sposób należyty poinformowane i — jak można przypuszczać — wiedza o tym, co dają nam firmy zagraniczne, lub też jaką szkodę powodują, nadal jest dość powierzchowna i właśnie hasłowa.

Zacznijmy jednak od historii. W 1971 r. Biuro Polityczne KC PZPR, a następnie rząd ogłosiły program szerokiej współpracy z Polonią zagraniczną. W pięć lat później, w maju 1976 r. ukazało się rozporządzenie o dopuszczeniu na terytorium kraju obcego kapitału. Potencjalni inwestorzy w pierwszym okresie odnieśli się do tej możliwości z rezerwą: w 1976 r. powstały zaledwie trzy przedsiębiorstwa polonijne; wśród nich największe z obecnie działających, poznański Inter-Fragrance. Powoli przybywały dalsze, zakładane nie tylko przez przedstawicieli Polonii, lecz także cudzoziemców, których dziadkowie nic wspólnego z Polską nie mieli. W miastach, gdzie utworzono takie firmy, a także w nieco dalszych rejonach kraju, ich produkty — odzież, kosmetyki, przyprawy — zaczęły być widoczne na sklepowych półkach. Widoczne tym bardziej, że systematycznie ubywało różnych drobnych artykułów produkcji zakładów uspołecznionych. Dalszy rozwój Przedsiębiorstw Polonijno-Zagranicznych (PPZ) — o ile miał

5

Od dyktatury proletariatu do samorządu

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Na początek mała refleksja, bowiem rzecz będzie m.in. o pojęciach, o takim czy innym sposobie klasyfikowania wielkich procesów społecznych. Przeczytałem kiedyś u W. Sokorskiego w jego „Notatkach": *„uczymy pojęć, tak, to prawda. A później zmieniamy ich sens i nie zawsze mówimy dlaczego. Oczywiście, taktyka i strategia to nie jest jedno i to samo. Ale kto już dziś rozróżnia te sprawy? I ludzie szukają na własną rękę..."*

Tak rodzi się gleba pod współczesną herezję: rewizjonizm, oportunizm, dogmat i sekciarstwo. Na tym samym gruncie wyrastają także nowinki-demagogie fałszywych „przyjaciół ludu".

Zwycięstwo rewolucji, a więc powodzenie w walce o zdobycie władzy przez nową klasę, stwarza konieczność prawidłowego oraz pełnego zdyskontowania tego faktu, wykorzystania szansy, którą zwycięstwo to ze sobą niesie. Rewolucja, aby była zwycięską, wymaga umocnienia władzy nowej klasy, wypełnienia treścią społeczną jej panowania ekonomicznego, politycznego i ideologicznego.

Powodzenie rewolucyjnych przeobrażeń nie jest równoznaczne z początkiem socjalizmu jako dojrzałego ustroju. Pierwszym etapem okresu postrewolucyjnego jest dyktatura proletariatu. Przy czym pragnę przypomnieć, iż wbrew temu co się niekiedy mniema, dyktatura proletariatu nie jest jedynie formą rządu (reżimu), lecz typem państwa, a zarazem pierwszą fazą ustroju socjalistycznego.

Początkowo W. Lenin pisał o dyktaturze proletariatu, iż jest to *„władza zdobyta przemocą i oparta na przemocy proletariatu względem burżuazji, władza nie związana żadnymi ustawami"*. Miała to ponadto być *„władza nie dzielona z nikim"* (w rozumieniu klasowym). Dopiero później przywódca rosyjskiej rewolucji kładzie tak duży nacisk na pozyskiwanie przez proletariat klas sojuszniczych i tzw. ruchomych sił społecznych (do których zaliczał m.in. inteligencję) dla realizacji celów rewolucji.

Z czasem też wyróżnia Lenin różny stopień ostrości dyktatury proletariatu. Poddając analizie doświadczenia budownictwa socjalistycznego w Rosji, przedstawił bardziej rozwiniętą formułę dyktatury proletariatu. W pracy pt. „Dziecięca choroba lewicowości" (1920 r.), Lenin pisze, że dyktatura proletariatu to *„uporczywa walka, krwawa i bezkrwawa, prowadzona środkami przemocy i pokojowo, zbrojna i gospodarcza, pedagogiczna i organizatorska oraz administratorska przeciwko siłom starego społeczeństwa"*.

Jak więc widać, w miarę nabywania nowych doświadczeń rewolucyjnych, pojęcia, a właściwie ich treści ulegały wzboga-

3

Przegląd prasy

Już samo oczekiwanie na ten — jak się wszystkim wydaje — bestseller polityczny pełne było różnorakich emocji...

Nasze dzieje współczesne, najnowsza historia Polski rejestrowana niemal natychmiast po kształtujących ją wydarzeniach, jest nieodmiennie przedmiotem namiętnych sporów interpretacyjnych i ideologicznych, a coraz częściej zdarza się, że także narzędziem walki politycznej. Oczywiście jest to zjawisko naturalne, niejako przyrodzone rodzajowi ludzkiemu i powszechne we wszystkich społeczeństwach świata. W Polsce jednak towarzyszą mu pewne okoliczności dodatkowe, czyniące ze współczesnych dziejów państwa i narodu dziedzinę nie tyle wiedzy i świadomości politycznej obywateli, co krainę mitów, złudzeń, a wręcz niebezpiecznych dla egzystencji społeczeństwa iluzji.

Owe okoliczności to przede wszystkim młodość naszego narodu. Najaktywniejsze ostatnio polityczne pokolenia Polaków mają stosunkowo niewiele własnych doświadczeń historycznych. Owa najnowsza historia jawi się sporej — i decydującej — części obywateli jako przekaz. Wyłącznie...

I to jest druga okoliczność mitologizująca: niedoskonałości przekazu Bezpośrednio między pokoleniami, czyli „z ojca na syna" odbywa się to w sposób cząstkowy, przy czym silnie zabarwiony subiektywnymi emocjami. Proces ten nigdy w naszych współczesnych dziejach nie był odpowiednio wzmacniany przez system edukacji, ani przez pozostającą w rękach kierowniczych sił państwa przeważającą część środków masowej informacji i propagandy. Wprost przeciwnie: po każdym z minionych kryzysów nie dochodziło nigdy do rzetelnego przedstawienia przyczyn, faktów i następstw. Potrzeba uzdrawiającej, retrospekcyjnej wiwisekcji była zastępowana przez charyzmę kolejnych, wyłaniających się po kryzysach przywódców (1948, 1956, 1970), bądź przez tę charyzmę powstrzymywana (1968, 1976). W ostatnim, należy sądzić, że przełomowym — wieloetapowym kryzysie społecznym taki zabieg był już niemożliwy i — co więcej — niechciany, przede wszystkim przez członków partii, którzy w kampanii przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem PZPR i potem w jego uchwale objawili zdecydowaną wolę całkowitego (o ile w ogóle jest to możliwe) *„wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej"*.

Tak powstał, opublikowany w październiku br.

RAPORT KUBIAKA

czyli sprawozdanie specjalnej komisji KC PZPR, nazwane tak potocznie w opinii społecznej od nazwiska przewodniczącego komisji, członka Biura Politycznego prof. Hieronima Kubiaka (Piszę o tym w przeglądzie prasy, gdyż raport ukazał się jako specjalne wydanie miesięcznika „Nowe Drogi", a więc periodyku...)

Sprawozdanie opatrzone jest celnym mottem, zaczerpniętym z dzieł Lenina: *„Stosunek partii politycznej do jej własnych błędów jest jednym z najważniejszych i najpewniejszych sprawdzianów powagi partii i rzeczywistego wykonywania przez nią swoich obowiązków wobec swojej klasy i wobec mas pracujących."* Przesłanie to winno przyświecać nie tyle autorom raportu, co przede wszystkim jego czytelnikom, a zwłaszcza tym, którzy winni wyciągnąć praktyczne wnioski z tez raportu, czyli członkom partii — od „szeregowców" po członków jej najwyższych władz.

Ale czy raport Kubiaka spełnia ich oczekiwania? Wszystkich na pewno nie. Spora grupa jego adresatów oczekiwała, że stanie się on panaceum na wszelkie bolączki systemu. Raport nie jest panaceum. Sądzono także, że dokument ten będzie wiernym zapisem, bardzo szczegółowym, faktów historycznych. Wprost przeciwnie: raport wprawdzie w swej części opisowo-analitycznej zawiera fragmenty bogato obudowane faktami, przemieszane jednak z zaskakująco skrótowymi, hasłowymi tylko analizami. Na przykład nie wyjaśniono czym właściwie było tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i na czym polegały wypaczenia procesu zjednoczenia PPR i PPS; albo pominięto kapitalną sprawę dla narastania społecznych przyczyn kryzysu w 1970 roku — reformy systemu płac w oparciu o tzw. bodźce materialnego zainteresowania. Grudniowa podwyżka cen była tylko iskrą, natomiast wcześniejsze próby „reformy" wynagrodzeń dość gruntownie podkopały zaufanie robotników do władz. I tak dalej... Na żądanie badacze dziejów najnowszych na pewno dostarczą więcej przykładów uproszczeń w raporcie Kubiaka.

Lecz przecież dokument ten nie ma — z założenia — ambicji wyłącznie historycznych. Miała to być dialektyczna analiza wydarzeń skierowana głównie na proces wyciągnięcia pożytecznych w przyszłości wniosków. I jest...

Każdy, kto oczekiwał, że będzie to jedna wielka autodemaskacja — rozczarował się. Rozczarowanie zresztą jest też udziałem tych, którzy powątpiewali z góry w wartość raportu Kubiaka, albowiem jest to jednak dokument polityczny — tyle że nie ma charakteru taktycznego, skierowanego na pacyfikację czy gaszenie pożaru. To dokument strategiczny. Przekonanie to wypływa z całą mocą z ostatnich akapitów tekstu raportu:

„Komisja z całą stanowczością przeciwstawia się opiniom głoszącym, iż historia lat powojennych składa się z pasma kryzysów. Opinia taka, powtarzana przez politycznych przeciwników socjalizmu, a często także przez ludzi rozczarowanych, pozostaje w rażącej sprzeczności z faktami. Skupiając — zgodnie z decyzją zjazdu — swą uwagę na przyczynach, przebiegu i skutkach kryzysów Komisja potwierdza, iż wynikają one z odstępstw od socjalizmu, a nie z jego zasad, stanowią czasowe załamanie, a nie zaprzeczenie rozwoju. Mogą zatem i muszą być wyeliminowane z życia społeczeństwa.

Komisja wyraża przekonanie, że niniejsze Sprawozdanie z jej działalności i zawarte w nim wnioski będą pożyteczne dla całej partii, a partyjne dyskusje nad tą problematyką oraz jej marksistowsko-leninowskie analizy będą kontynuowane również w przyszłości."

Jeden z wniosków szczegółowych, zawartych w raporcie chciałbym tu przytoczyć:

„Przedstawicielom władzy nie wolno powtórzyć błędu arogancji — nieliczenia się ze zdaniem innych, niebrania pod uwagę dojrzałości, doświadczenia i odczuć społeczeństwa, krytycznych ocen wyrażanych zwłaszcza przez klasę robotniczą. Ale jednocześnie nie można społeczeństwu schlebiać, składać obietnic bez pokrycia, wypowiadać koniunkturalnych (obliczonych na doraźny efekt) ocen. W kręgu współpracowników nie wolno tworzyć ani też tolerować dworskiej atmosfery, służalczości, zabiegania o względy."

Wprawdzie dotyczy to nieco wyższego piętra, niż poziom, o którym teraz chcę napisać, ale za to stanowi dobry wyznacznik moralny dla problemu polityki kadrowej, o pryncypiach której wypowiedział się — w wywiadzie dla „Trybuny Ludu" — generał Tadeusz Dziekan — kierownik Wydziału Kadr KC PZPR. Rozmowę opublikowano pod tytułem: „Najbanalniejsza z prawd":

O WSZYSTKIM DECYDUJĄ LUDZIE

co — w znaczeniu dostosowanym do problemu polityki kadrowej oznacza mniej więcej to: możemy się wysilić i skonstruować precyzyjny system kryteriów doboru i sterowania kadrami kierowniczymi w państwie. Możemy ów system sformalizować, zobiektywizować i diabli jeszcze wiedzą, co z nim zrobić. Ale ostatecznie o jego kształcie zdecydują ludzie weń uwikłani: obsadzający i oceniający oraz obsadzani i oceniani; a warto pamiętać, że władza demoralizuje...

Czyli — możemy się wprawdzie ustrzec przed mianowaniem ambiwalentnego politycznie, niekompetentnego złodziejaszka, ale trudniej przychodzi przeszkolić w procesie wyrastania przeciętnie uczciwego, normalnego obywatela na szują — pod urokiem nominacji.

Generał Dziekan powiedział, że wynaturzenia polityki kadrowej *„to prawda — powiedziałbym nawet — niestety naturalna. Gdzie jesteśmy bardziej subiektywni niż w ocenie ludzi? Jakie sprawy uruchamiają więcej namiętności, ambicji? Dlatego właśnie tak wyraźnie była społecznie odczuwana potrzeba tworzenia systemu doboru i wartościowania kadr, systemu jasnego i jawnego."*

Nie można tego systemu skodyfikować zbyt dokładnie, ale pewien zespół kryteriów, jak walory ideowo-polityczne, poziom kompetencji fachowych, umiejętność kierowania muszą być zawsze brane pod uwagę. Niejako na końcu generał Dziekan wspomniał: *„Nie muszę dodawać, że jednym z tych kryteriów jest oczywiście potoczna uczciwość, poczucie odpowiedzialności (...)"*

Nie sądzę, aby to było dla wszystkich tak oczywiste, jak dla generała Dziekana. Kryteria etyczne w polityce kadrowej to coś więcej, niż „potoczna uczciwość". To cały zespół cech, bez obserwowania których polityka kadrowa w dzisiejszych czasach właściwie nie ma sensu, albowiem dla opinii publicznej aspekty moralne, od czasów sierpniowego kryzysu, biorą górę w ocenie ludzi. Uczciwa miernota zawsze zyska wyższą punktację niż genialny skurwiel. Potoczne przeciętniactwo jednak tu nie wystarcza, nawet gdy weźmie się pod uwagę ogólnie niski standard moralny społeczeństwa. I nie wolno pocieszać się, że „w krainie ślepców jedno nooki królem"...

A pokusy są silne. A przy tym — stwierdza Tadeusz Dziekan — *„Bardzo nam brakuje, jako zbiorowości narodowej, zdolności samooceny indywidualnej, grupowej. Tego jednak można i warto uczyć. Nie tylko po to, by łatwiej było kierować kadrami; przede wszystkim po to, by lżej było żyć — bez żerania siebie ambicjami bez pokrycia, bez żerania innych bezpodstawną zawiścią."*

Innymi słowy — sprowadzamy problem kadrowy na płaszczyznę znacznie ogólniejszą, płaszczyznę kultury politycznej narodu. Sądzę, że słusznie...

Na tej samej płaszczyźnie doc. dr Piotr Winczorek, prawnik z Uniwersytetu Warszawskiego, chce widzieć inny problem społeczny — mianowicie kwestię konsultacji. W drugim numerze „Odrodzenia", nowego tygodnika PRON, cytowana jest jego wypowiedź o przygotowywanej ustawie o konsultacjach. Doc. Winczorek proponuje system, którego osią byłoby

POWSZECHNE REFERENDUM

w każdej konsultowanej kwestii. Jest to pomysł arcydemokratyczny, tyle że szlachetnie utopijny. Wprawdzie Winczorek słusznie podnosi kwestię, że *„skuteczność tego rodzaju ustawy* (o konsultacjach — przyp. TS) *może być niewielka (...)"* A ponadto *„organa państwowe mogą się wszak radzić obywateli także przy obecnym stanie prawnym. Ale czy można zrobić z tego obowiązek? A jeśli obywatel nie zechce wziąć udziału w konsultacjach? Albo jeżeli władza nie zechce skorzystać z rad? Czy powinny wówczas być stosowane jakieś sankcje — i jakie? Chyba tylko polityczne."*

To prawda. Ale też system konsultacji społecznych w Polsce jest pomyślany jako uzupełnienie istniejącego systemu władzy w państwie — władzy przedstawicieli ludu, wybieranych w powszechnych, demokratycznych wyborach. Proponowany zaś przez Winczorka model powszechnego referendum jako sposobu rozstrzygania kwestii ważnych dla państwa wypływa wprost z niewiary w skuteczność systemu przedstawicielskiego i prowadzi na manowce demokracji bezpośredniej. Sprawiedliwa i egalitarna to formuła, nie przeczę, ale za to niezwykle nieruchawa i nieszczególnie atrakcyjna, jak tego dowodzi przykład Konfederacji Szwajcarskiej, gdzie referenda w każdej, najgłupszej nawet sprawie (którą normalna administracja rozwiązuje w 48 godzin) po prostu znudziły się obywatelom. W kolejnych głosowaniach bierze udział nieznaczna część uprawnionych obywateli, nawet gdy między kwestiami peryferyjnymi pojawia się rzeczywiście istotny problem.

Skupmy zatem siły raczej na doskonaleniu systemu parlamentarnego, zamiast wdawać się w powtarzanie eksperymentów ustrojowych, które gdzie indziej powoli bankrutują, szanowny panie docencie.

Ale najtrudniej przychodzi obalanie mitów, niezależnie od tego, czy jest to mit szwajcarski, czy rodzimej proweniencji. Przekonali się o tym dwaj autorzy szkicu o sektorze prywatnym, zamieszczonego w „Trybunie Ludu" — Krzysztof Krauss i Jan Markusz.

W sprawie prywaciarstwa funkcjonują u nas w obiegu społecznym jednocześnie różnorakie opinie, na ogół wykluczające się wzajemnie. Oficjalnie twierdzi się, że prywatny sektor gospodarki nie jest sprzeczny z realnym socjalizmem tu i teraz, w PRL, a nawet jest pożyteczny. Opinia publiczna en masse nastawiona jest doń źle, a przynajmniej krytycznie — ze względu na rozbudowane poczucie sprawiedliwości i egalitaryzmu. Wszelako pojedynczy przedstawiciele owej społecznej opinii odnoszą się do znanych sobie osobiście przedstawicieli sektora prywatnego z szacunkiem, podziwem i zazdrością. A zatem cóż to takiego jest:

ZAKAŁA SOCJALIZMU CZY WZORZEC PROSPERITY?

Krauss i Markusz nie kwapią się z odpowiedzią na tak postawione pytanie fundamentalne, rzekłbym — ustrojowe. Konstatują tylko, że jest to margines: nieco ponad 3 procent dostaw na rynek. Ale margines może być i zakałą, i wzorcem — to nie kwestia skali zjawiska, tylko punktu widzenia.

„Socjalizmowi nie szkodzi — piszą K. i M. — *prywatna wędzarnia czy warsztat motoryzacyjny, natomiast szkodzi każdy przejaw oszustwa — tak w sektorze nie uspołecznionym, jak również w firmach należących do sektora państwowego lub spółdzielczego — bo to dzieje się kosztem ludzi."*

Jest to konstatacja głęboko słuszna, tak słuszna, że aż demagogiczna. Tak samo jak demagogiczne okazały się zapędy pewnego lokalnego polityka, który domagał się brania wzorów z... Francji, gdzie ponad 60 procent wartości produkcji pochodzi z małych, prywatnych firm (podczas gdy u nas ciągle margines). Taka drobna sprawa, jak różnice ustrojowe, nie jest niemal brana pod uwagę. Tymczasem można z dużym prawdopodobieństwem trafienia przypuszczać, że w odległej wprawdzie przyszłości na tej płaszczyźnie rozstrzygnie się spór o sektor prywatny, a wtedy jego parametry ilościowe nie odegrają roli, tylko ocena, czy jest to jakościowo inne zjawisko ustrojowe niż te właściwe socjalizmowi.

Ale dość już spraw poważnych; pora na

SZCZUPŁE POŚLADKI PANI ALDONY

których obecność w „Odgłosach" zaniepokoiła paru recenzentów prasy krajowej. Między innymi T-o z „Dziennika Łódzkiego" zastanawia się, co też jeszcze zmaluje malarz Porwasz i ma nadzieję, że niejedno. Otóż spieszymy zapewnić szanownych kolegów, że to, co jeszcze zmaluje malarz Porwasz, przekracza wyobraźnię przeciętnego recenzenta prasy krajowej, a nawet przekracza takie wyżyny kompetencji w „tych sprawach", jakie osiągnęli niektórzy strażnicy czystości obyczajów, zwłaszcza zbliżeni do kół klerykalnych. Malarz Porwasz niebawem wprawi was w osłupienie, wywołując w was nieprzepartą ochotę porzucenia własnej, nędznej kondycji i rzucenia się w jego ślady.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

WIZYTA GOŚCI Z WĘGIER

stała się okazją do różnorodnych refleksji — także historycznych — dotyczących nie tylko naszych wzajemnych związków, ale i podobieństw sytuacji węgierskiego kryzysu z 1956 roku do naszej współczesnej sytuacji. Zamiast takich refleksji proponuję cytat z przemówienia Janosa Kadara na pierwszej krajowej konferencji Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej 27 czerwca 1957 roku:

„Wyniosłość i buta mogą być dla partii po wywalczeniu władzy wielkim niebezpieczeństwem. Sądzę, że mogę bez przesady stwierdzić, że jest to dla nas jedna z największych nauk wypływających z wydarzeń październikowych (czyli próby kontrrewolucyjnego przewrotu w 1956 roku — przyp VS). *Po zdobyciu bowiem władzy u towarzyszy pracujących na kierowniczych stanowiskach, a nawet i w niższych instancjach partyjnych, wytworzyło się zwodnicze mniemanie, że skoro wszystkie ogniwa władzy, milicja, prokuratura, sądownictwo, armia itd., znajdują się w naszych rękach, to jest możliwe szybkie „rozpracowanie" wroga i codzienne pozyskiwanie mas nie jest już takie ważne. Sądzę, że przede wszystkim to było źródłem naszych błędów."*

I w Polsce doszliśmy do podobnych wniosków przed 25 laty — tylko jakoś szybko o nich zapomniano. Węgrzy mają jednak lepszą pamięć...

Z TYM „BIOVITALEM" TO JEDNAK SKANDAL...

do takiego wniosku dochodzę po dokładnym przestudiowaniu reklamy owego środka odżywczego dostępnego tylko za waluty wymienialne w sklepach „Pewexu". Wprawdzie w tekście nigdzie nie jest wymieniona odżywka dla dzieci tej marki, jak to się zdarzało wiosną w reklamach, ale na zdjęciu, będącym niejako centrum tego ogłoszenia, najwyraźniej widać największe pudło z napisem „kinder biovital" i, aby nie było wątpliwości, z dwoma uśmiechniętymi dzieciakami. W ten sposób państwowa firma oficjalnie dzieli dzieci w Polsce na lepsze — dewizowe i gorsze — złotówkowe. Te lepsze będą sobie rosły podkarmiane witaminowymi koncentratami, te gorsze — pozostaną przy tradycyjnej marchewce. Smacznego...

SKANDAL W ZUS

w Warszawie zdaje się dobiegać końca. „Życie Warszawy" doniosło, że zostali odwołani dwaj dyrektorzy oddziału I ZUS — naczelny i szef biura elektronizacji systemów ubezpieczeniowych.

Jest to jakieś rozwiązanie, tylko czy wystarczająca satysfakcja dla dziesiątków tysięcy emerytów, którzy dzięki kretyńskiemu kaprysowi komputeryzacji wykombinowanemu przez obu panów pozbawieni zostali na wiele miesięcy środków do życia? Wedle komunikatu PAP wyjaśnienie afery trwa. Może potem, np. prezes centrali ZUS pofatyguje się przeprosić pokrzywdzonych?

MARSZ DOOKOŁA POLSKI

kończy Marek Kiliński ze Skierniewic — po przejściu ponad 2 tysięcy kilometrów „Szlakiem Bohaterów Wojska Polskiego" — jak donoszą „Wiadomości Skierniewickie". Nie mam nic przeciwko Markowi K. i jego pomysłowi — niech sobie idzie, zwłaszcza, że pomysł jest taki bardziej swojski. Ale przy okazji: ciekaw jestem, co się stało z tymi wędrowcami, co pomysły mieli zagraniczne — do Wiednia zwłaszcza z powodu Sobieskiego: jeden biegł, dwaj poiechali konno, inny znowu bryką. Jakoś nie słychać, by wrócili...

TYDZIEŃ TEMU

zaledwie pisaliśmy o tym jak Jerzy Wawrzak ubolewał, że Wydział Kultury nie zaprosił go na inaugurację roku kulturalnego, a już do sprawy ustosunkował się dyrektor tegoż wydziału: Ryszard Czubaczyński, w liście do „Dziennika Łódzkiego".

Dyrektor ubolewa, że zaproszenie, choć wystosowane, nie doszło. Wysłano je oczywiście pocztą. Każdy, kto dziś powołuje się na kiepską jakość usług pocztowych, powinien raczej ubolewać nad własną niekompetencją — małe dzieci nawet wiedzą, że w Łodzi lepiej pilny list zanieść osobiście...

LEW

rozszarpał dziecko w białostockim ZOO... Po nadejściu tej tragicznej, choć równocześnie zdumiewającej informacji, zastanowiłem się, jak to w ogóle było możliwe. Pomijam już lekkomyślność tak koszmarnie doświadczonej matki, ale przecież teoretycznie taki wypadek nie powinien się zdarzyć pod żadnym pozorem — widocznie coś z wyobraźnią białostockich szefów i specjalistów w zoologicznym ogrodzie było niezbyt tęgo. Proponuję reedukację w klatce.

TYM RAZEM NIE CZEPIAMY SIĘ LUBLINA

z powodu sensacji kryminalnych. Tym razem pierwszeństwo niewątpliwie należy się Warszawie, albowiem wydarzył się tam casus, przy którym bledną nawet uliczne strzelaniny.

Oto pracownicy pogotowia ratunkowego, pod pozorem grzecznościowego podwiezienia, wciągnęli do karetki emeryta, pobili go, obrabowali i wyrzucili gdzieś nad Wisłą. Jak wynika z informacji, którą dziennikarz PAP uzyskał w warszawskiej prokuraturze, aresztowano sprawców rozboju: dwóch kierowców i... lekarkę. Tak jest, żadna to pomyłka — lekarza i w dodatku kobietę. „Women's Lib" działa u nas nader aktywnie.

VICESEKATOR

W najbliższych numerach:

- KTO PAMIĘTA ROLLING-STONES'ÓW
- WASYL KOCZNOW ZAPRASZA NA JARZĘBIAK
- WYWIAD Z IRENĄ SANTOR
- WSPOMNIENIA KORESPONDENTA WOJENNEGO
- BLASKI I NĘDZE LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA
- SKANDAL W WIEJSKIM OŚRODKU ZDROWIA
- R JAK ROCK

Rzecznik praworządności i egzekutor sprawiedliwości społecznej

Odbyty w dniu 22 października br. II Wojewódzki Zjazd PRON zakończył — jak to podkreślano wielokrotnie — etap jego „tymczasowości". Ruch ten, choć daleko mu jeszcze do masowego charakteru (w województwie miejskim zrzesza około 12 tys. obywateli), wrasta w struktury życia politycznego regionu. Wciąż jednak najsłabiej rozwijają się ogniwa PRON w środowisku robotniczym (69 zakładowych komórek ruchu) oraz tzw. kręgach opiniotwórczych.

Jednak nie dyskusja nad strukturami i sprawami organizacyjnymi była dominującym akcentem obrad II Zjazdu. Jak podkreślano wielokrotnie: o przyszłości tego ruchu decydować będzie jego program (realny i konkretny, a przy tym nie będący powieleniem programów innych organizacji społecznych ani też partii politycznych) oraz oczywiście ludzie.

PRON okrzepł, wzmocnieniu uległy jego ogniwa terenowe, ale — jak podkreślano z troską — nie zmniejszyła się wcale niemała rzesza tych, którzy stojąc obok tego ruchu, mówią: *„zróbcie coś, pokażcie na co was rzeczywiście stać, to może się do was przyłączymy"*. Tego typu postawę, co tu dużo mówić, w wielu środowiskach dominującą wciąż, określono mianem „specyficznego szantażu". Myślę, iż tego typu uogólnienia, jak i twierdzenie, iż postawa taka jest li tylko „prowokacją do rozmieniania ruchu na drobne", są przejawami zbyt impulsywnej reakcji działaczy PRON na społeczną obojętność, a nawet niechęć, sceptycyzm, które mają głębsze źródła niż tylko niewiarę w realne możliwości i polityczne szanse nowego ruchu.

Nie to jest zresztą jedynym powodem niepowodzeń, a nawet porażek aktywistów PRON. Kilkakrotnie w dyskusji powracał problem właściwego rozumienia pojęcia partnerstwa w życiu społecznym. Żalono się, iż jeszcze zbyt często inicjatywy, działania PRON, szczególnie w sprawach interwencyjnych rozbijają się o bariery bezduszności i biurokratyzmu terenowej administracji. Za niedopuszczalny uznano fakt, iż naczelnicy nie zawsze znają i rozumieją problemy swoich dzielnic, miast i gmin. Jak słusznie stwierdził jeden z dyskutantów: *„częstokroć ocena pracy administracji, tej pierwszej instancji państwa, łączona bywa w świadomości obywateli z oceną socjalizmu"*.

Ale i w samym ruchu tkwią jeszcze bariery i przeszkody na drodze wzmożenia jego aktywności. J. Krzekotowski, przewodniczący zespołu zjazdowego, podkreślił, iż *„nie może być w PRON podziału na organy do myślenia i do codziennej roboty. Każdy działacz ruchu powinien być twórcą i jednocześnie realizatorem jego programu"*. Jako niedostateczny oceniono system wewnętrznej informacji. Za pilne uznano sprawy prawidłowego ułożenia relacji między ogniwami PRON a samorządem mieszkańców, znalezienia właściwego miejsca dla komórek ruchu w zakładach pracy oraz sprecyzowania roli tzw. zbiorowych uczestników PRON, którzy często *„luksusowo, bo bezczynnie deklarują swój udział w ruchu"*.

Licznym słowom krytki i samokrytyki towarzyszyła wielokrotnie troska o przyszłość PRON. Z tego samego powodu przestrzegano przed odruchem przenoszenia do nowego ruchu metod dawnego bezdusznego uniwersalizmu, schematyzmu, nie liczącego się ani z rzeczywistymi potrzebami, ani aktualnymi możliwościami. Tego typu praktyki grożą „wpędzeniem ruchu w zaułek fasadowości" — przypomniano.

Kierowano też słowa krytyki pod adresem władz centralnych ruchu. Przedstawiciel ChSS stwierdził, iż *„roztropność, ale i nieruchawość to cnota, którą szczególnie ukochali niektórzy członkowie Rady Krajowej"*. Ten sam mówca uznał, iż PRON jest jednym ze współodpowiedzialnych za to, iż *„obecny stan procesu budowy porozumienia narodowego odbiega od społecznych oczekiwań"*. Stąd też padło pytanie: czy PRON jest jedynym, czy jednym z przejawów koalicyjnego systemu sprawowania władzy?

J. Urbański, przedstawiciel PAX, podjął w swoim głosie w dyskusji problem roli sygnatariuszy PRON w tym ruchu. Stwierdził, iż *„jednym z warunków pogłębienia wiarygodności nowego ruchu będzie fakt, że sygnatariusze będą partnerami, a nie szefasadowości"* — przypomniano.

Wszyscy dyskutanci zgodni byli co do tego, iż PRON winien stać się przede wszystkim płaszczyzną procesu odrodzenia moralnego narodu. W tym obszarze społecznych działań zarówno potrzeby, jak i możliwości są olbrzymie. Sprawy te znalazły również ważne miejsce w uchwalonym na II Zjeździe programie pracy Rady Łódzkiej PRON. Wiele miejsca w tym dokumencie znalazły takie problemy, jak: wychowanie społeczno-polityczne i patriotyczne obywateli, szczególnie zaś młodzieży, udział ruchu w doskonaleniu demokracji i procesów zarządzania państwem, inicjatywy na rzecz ochrony zdrowia i środowiska, rozwoju kultury narodowej.

Osobne miejsce zajmuje określenie zadań ruchu w ogólnospołecznym działaniu na rzecz wychodzenia z kryzysu. Podkreślono, iż kryzys, który wciąż przeżywamy, to wspólny do rozwiązania problem, a nie jeszcze jedna płaszczyzna konfrontacji. Równocześnie jednak stwierdza się w dokumencie, iż „PRON nie kwestionuje zasadności wejścia na drogę reformy, ale zwraca uwagę na brak dostatecznego oddziaływania mechanizmów reformy na efektywność organizacji gospodarczych, słabe oddziaływanie na postawy załóg, brak autentycznej presji na wykorzystanie postępu technicznego, organizacyjnego i ekonomicznego". Zwrócono też uwagę na pilną potrzebę zbadania możliwości poprawy zaopatrzenia rynku łódzkiego.

Zarówno w dyskusji, jak i programie, który przyjął II Zjazd PRON, znalazły odbicie troska i niepokój o kwestie przyszłości, jak i udręki codziennego życia. Warunkiem znalezienia dla nich pozytywnego, trwałego rozwiązania jest zbudowanie rzeczywistego porozumienia na zasadach akceptowanych przez większość Polaków. Zarówno jego fasadowość, jak i złudzenie porozumienia oraz odgrzewane tu i ówdzie, na różnych szczeblach administracji ciągoty do „władzy absolutnej", jak podkreślano: *„stać się mogą zarzewiem dla nowych konfliktów za lat kilka"*. A przecież nie o takie porozumienie, nie o taktyczny manewr, jak również nie o tani, aklasowy solidaryzm społeczny winniśmy zabiegać, szukając sposobów uwiarygodnienia i zyskania autentycznego poparcia w społeczeństwie naszego regionu dla PRON.

F. J. S.

Od dyktatury proletariatu do samorządu

Dokończenie ze strony 1

ceniu. Była to prawidłowość, a nie odstępstwo. Bowiem życie, praktyka społeczno-polityczna, rodziły nowe problemy, sprzeczności i potrzeby, wobec których twórcy pierwszego państwa socjalistycznego nie mogli pozostać obojętni. Było to również zgodne z logiką dialektyki marksistowskiej. Marksizm bowiem — jak trzeba pamiętać — nie jest zastygłym zbiorem formuł i definicji, czy też dekalogiem odpowiedzi na wszystkie pytania, które niesie z sobą życie, lecz stale żywą, twórczą teorią. Jest także marksizm-leninizm skomplikowaną praktyką przekształcania idei w rzeczywistość we wciąż dynamicznie zmieniających się warunkach, a nie — jak chcieliby niektórzy — statycznym modelem doktrynalnym.

REWOLUCJA... I CO DALEJ?

Socjalizm, rozumiany jako system całościowych, zamkniętych jakościowo przeobrażeń ustrojowo-politycznych musi od kapitalizmu przedzielać etap przejściowy. W okresie tym winny dokonać się procesy znamionujące zasadniczą rewolucję społeczną oraz powinien zostać utrwalony socjalistyczny sposób produkcji. Socjalizm więc to społeczeństwo, w którym utrwaliły się stosunki i instytucje klasowego, robotniczego panowania politycznego i ideologicznego oraz realizują w pełni socjalistyczne stosunki produkcji i podziału.

K. Marks, w „Krytyce Programu Gotajskiego", pisał: *„między społeczeństwem kapitalistycznym a komunistycznym leży okres rewolucyjnego przeobrażania pierwszego w drugie. Temu okresowi odpowiada też przejściowy okres polityczny i państwo tego okresu nie może być niczym innym, jak tylko rewolucyjną dyktaturą proletariatu"*. Podobnie i W. Lenin zakładał, wyjaśniając sens nowej polityki ekonomicznej (1921 r.), iż *„proces przechodzenia od społeczeństwa kapitalistycznego do pierwszego chociażby szczebla wiodącego do społeczeństwa komunistycznego będzie siłą rzeczy procesem długotrwałym i skomplikowanym (i to tym bardziej długotrwałym, im mniej rozwinięte jest społeczeństwo)"*. Wcześniej zaś, w tym samym referacie wygłoszonym na II zjeździe komitetów polityczno-oświatowych, przyznaje: *„Omyliliśmy się (...) Częściowo na skutek zadań wojennych, które na nas spadły, oraz rozpaczliwej, zdawałoby się, sytuacji w jakiej republika znajdowała się wtedy, w chwili zakończenia wojny imperialistycznej — na skutek tych i wielu innych okoliczności popełniliśmy ten błąd, że postanowiliśmy przejść bezpośrednio do komunistycznego sposobu produkcji i podziału"*. Próby bezpośredniego przejścia od rewolucji do komunizmu przyniosły najwięcej strat w gospodarce; były one dotkliwe i niebezpieczne.

Tak więc teoria sugerowała, zaś praktyka potwierdziła konieczność określenia etapu przejściowego od rewolucji i doby bezpośrednio postrewolucyjnej poprzez socjalizm do komunizmu. Przyjęło się przyjmować następującą terminologię dla tego procesu:

— rewolucja (zbrojne lub pokojowe wyjście z formacji kapitalistycznej),

— dyktatura proletariatu (bywa, że z czasowym stosowaniem cech tzw. komunizmu wojennego),

— okres przejściowy, w którym niweluje się wszystkie dysproporcje w społecznym, politycznym i gospodarczym rozwoju kraju,

— rozwinięty socjalizm.

Ten ostatni etap bywa definiowany tak:

Socjalizm rozwinięty to etap, na którym społeczeństwo przekształca się w jednolity organizm społeczno-polityczny, podporządkowujący powszechnie zasadom i normom kolektywizmu (uspołecznienia) różne sfery życia społecznego, politycznego i gospodarczego. Na tym etapie realizuje się w pełni podmiotowość polityczna klasy robotniczej oraz spełnia postulat państwa ogólnonarodowego.

W drugim numerze „Ideologii i Polityki" z 1976 r. w artykule S. Widerszpila możemy znaleźć siedem podstawowych przesłanek charakteryzujących społeczeństwo rozwiniętego socjalizmu.

Termin *„rozwinięty socjalizm"* pojawił się w teorii marksistowsko-leninowskiej oraz w dokumentach partyjnych stosunkowo niedawno. Po raz pierwszy użyto go w oświadczeniu Narady Partii Komunistycznych i Robotniczych, która obradowała w Moskwie w 1960 roku. Wkrótce też zaniechano używania terminu *„socjalistyczne społeczeństwo przemysłowe"*, jako nie odpowiadającego istocie zjawiska.

W połowie lat sześćdziesiątych, głównie z uwagi na niemożliwość przeprowadzenia realnego uspołecznienia środków produkcji (kolektywizacji rolnictwa), zaniechano wysuwania jako nieodległej perspektywy zbudowania w Polsce rozwiniętego socjalizmu. Powrócono zaś do tego hasła przy okazji programu „drugiej Polski", kiedy to na I Krajowej Konferencji Partyjnej, grubo przesadzono, twierdząc, iż *„mamy wszystkie przesłanki ku temu, aby opracować i wcielić w życie w ciągu dwóch dziesięcioleci program zbudowania w naszym kraju rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego"*.

Była to oczywiście iluzja, polityczna hochsztaplerka. Tylko, że ową iluzją był nie etap w budownictwie socjalistycznym, tylko nakreślenie tak bliskiej perspektywy jego osiągnięcia.

Każda próba przyspieszenia budowy socjalizmu, przeskakiwania etapów, ignorowania obiektywnych warunków kończyła się jeśli nie całkowitym fiaskiem, to pociągała za sobą olbrzymie koszty społeczne. Nie warto skracać perspektywy historycznej, uczy tego teoria marksizmu-leninizmu i doświadczenie. Jest to jednak jakby chroniczna choroba większości rewolucjonistów. Nie ustrzegł się jej nawet K. Marks. F. Mehring pisze o nim, iż „rewolucyjna niecierpliwość" powodowała, że *„tak wyraźnie widział drogę rozwoju, że nie docenił długości tej drogi"*. Jak mówił o tym na sesji poświęconej 100 rocznicy śmierci K. Marksa, dr E. Lewandowski: *„postawa taka jest psychologicznie zrozumiała, ponieważ życie człowieka upływa zbyt szybko wobec tempa przemian społecznych. Zapomina się więc, że okres powstawania nowych formacji trwał przez kilka pokoleń"*. W istocie, u nas zaś, w latach „wielkich pięciolatek" próbowano zbudować socjalizm za życia i wysiłkiem jednego pokolenia. Był to trud daremny, a koszty olbrzymie. Do dziś zbieramy polityczne żniwo tamtych błędów.

GDZIE JESTEŚMY?

To pytanie z serii tzw. prostych pytań, na które równie trudno prosto a jednoznacznie odpowiedzieć.

Na wstępie chciałbym się zastrzec, iż jestem przeciwnikiem „teorii dwu prawd", tj. uprawiania w analizie zjawisk społecznych praktyki nazywania ich inaczej na użytek ruchu (partii), a drugi raz (wylakierowany) — do wiedzy publicznej. To już lepiej nic nikomu nie mówić, albo po prostu przyznać się, że tak naprawdę, to niewiele ma się do powiedzenia lub też, że powiedzieć wszystkiego dziś jeszcze nie sposób.

A wracając do zasadniczego pytania. Próbując na nie udzielić „bezpiecznej" odpowiedzi mógłbym odsyłać czytelnika do materiałów z XIII Plenum KC PZPR, gdzie w referacie Biura Politycznego, czytamy:

„W konsultacjach przed obecnym plenum KC kwestia określenia obecnego etapu rozwojowego w Polsce budziła wiele dyskusji. Prosta formuła nie może wyczerpać oceny złożonej rzeczywistości naszego kraju. Jedno jest pewne: zrealizowaliśmy w Polsce większość zadań okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu. Oznacza to istnienie trwałego układu socjalistycznego w życiu gospodarczym i społeczno-politycznym".

Ocena ta jest słuszna, choć zapewne mało precyzyjna, jeśli próbować na jej podstawie określić dokładnie, na którym z wymienionych etapów konkretnie się znajdujemy. Tym bardziej jest to trudne, jeśli zważymy, że jeszcze nie tak dawno aktualnym do naszej sytuacji było stwierdzenie W. Lenina sprzed XI Zjazdu RKP(b) (1922 r.), kiedy to w liście do Mołotowa, pisał:

„Jeżeli nie mamy zamykać oczu na rzeczywistość, to musimy stwierdzić, że w chwili obecnej, o proletariackiej polityce partii decyduje nie jej skład, lecz autorytet tej cienkiej warstwy, którą nazwać można starą gwardią partyjną. Wystarczy niewielka walka wewnętrzna w łonie tej warstwy, a autorytet jej będzie jeśli nie podważony, to w każdym bądź razie osłabiony o tyle, że decyzja nie będzie już od niej zależała".

Czyż z podobną do tej sytuacją nie mieliśmy do czynienia w okresie ostatniego kryzysu politycznego?

Ta uwaga przypomina nam m. in. o tym, że obok wszystkich społecznych, ekonomicznych i ideowych czynników, pozwalających klasyfikować poszczególne etapy społecznego rozwoju, określać miejsce na nich tego czy innego kraju, rzeczą nader istotną jest zakres zdolności i umiejętności wypełniania przez partię marksistowską, komunistyczną swej przewodniej i kierowniczej roli w społeczeństwie. Rola ta, będąca fundamentalną zasadą naszego ustroju winna pozostawać niezmienna w swojej treści. Co zaś się tyczy metod jej wypełniania, to muszą być one różnorodne na poszczególnych etapach socjalistycznego rozwoju. Inne są bowiem pozycja i zadania partii komunistycznej na etapie rewolucji, a znacznie odmienne od nich w fazie rozwiniętego socjalizmu. Umacnianiu i doskonaleniu metod sprawowania kierowniczej i przewodniej roli partii komunistycznej winno towarzyszyć systematyczne demokratyzowanie wszystkich dziedzin życia społecznego.

W. Lenin definiując pojęcie polityki w warunkach socjalizmu stwierdził, iż jest ona m. in. braniem udziału społeczeństwa w sprawach państwa, braniem bezpośredniego udziału w sprawach instytucji państwowych i politycznych, czyli inaczej — jest to kwestia faktycznego dostępu klasy robotniczej i całego społeczeństwa do władzy politycznej oraz mechanizmów jej kontroli. Nie jest to więc jedynie sprawa *„sprawowania władzy w imieniu ludu"*, ale wykonywanie tejże władzy przez sam lud, przez klasę robotniczą, przez społeczeństwo. Jest to więc problem realizacji zadania związanego z przejściem od dyktatury proletariatu, której cechą jest ograniczony zakres demokracji, do społeczeństwa samorządowego w rozwiniętym socjalizmie. Przejście to nie powinno dokonywać się „skokowo", ani tym bardziej metodą „wstrząsów" i „zakrętów", cykliczności tzw. odnów, ale winno być naturalnym procesem przerastania zmian ilościowych w jakościowe (tak w sferze rozwoju świadomości i aspiracji społecznych, jak i możliwości ich spełniania). Każdorazowo opóźnienia w tym procesie stają się przesłanką napięć i konfliktów społecznych, zakłóceń na linii społeczeństwo — władza. Równocześnie pozostawanie tych przeobrażeń poza kontrolą kierowniczej i przewodniej siły społecznej grozi anarchizacją życia politycznego, degradacją siły (skuteczności) władzy i jej autorytetu.

Dowodów na powyższe dostarczyły aż nadto doświadczenia tzw. zakrętów w najnowszych dziejach PRL.

Jednakże nasze 40-lecie powojenne, to nie tylko pasmo kryzysów, jak próbują nam imputować nasi przeciwnicy, ale także określone doświadczenia, dorobek i sukcesy w budowie socjalizmu. Cóż więc osiągnęliśmy, gdzie jesteśmy na drodze przechodzenia od kapitalizmu do socjalizmu?

Wiele zaświadcza za tym, iż znajdujemy się aktualnie, w drugiej fazie dyktatury proletariatu, tj. okresu zrealizowania większości zadań z zakresu tzw. podstaw socjalizmu, fundamentów nowego ustroju. Fundamenty te okazały się być mocne, trwałe, choć gmachem wstrząsało już kilkakrotnie W naszym realnym socjaliźmie tkwią jeszcze jednak cechy komunizmu wojennego (reglamentacja, rygory ustawodawstwa nadzwyczajnego itp.), jak również zaobserwować można sporo starych i nowych cech tzw. kapitalizmu państwowego, Do starych należy zaliczyć takie, jak: przewaga metod centralistycznych w kierowaniu gospodarką, które tylko w części zostały zastąpione mechanizmami reformy, a przede wszystkim stosunki produkcji i podziału, w których dopiero zdobywa sobie obywatelstwo — i to nie bez oporów — czynnik samorządowy.

Cech kapitalizmu państwowego nabiera polityka w stosunku do klasy chłopskiej (m. in. konstytucyjne gwarancje własności rodzinnej), a także do rodzimych i zagranicznych elementów drobnokapitalistycznych w mieście.

O tego rodzaju „cofaniu się" w budownictwie socjalizmu mówił Lenin na XI Zjeździe RKP(b) w marcu 1922 r. wyjaśniając, że *„kapitalizm państwowy — to kapitalizm, który potrafimy ograniczyć, którego ramy potrafimy ustalić; ten kapitalizm związany jest z państwem, a państwo to robotnicy, to przodująca część klasy robotniczej..."*. Przestrzegał równocześnie, że nie będzie to proces ani prosty, ani łatwy do zrozumienia przez część działaczy, bowiem, jak przyznawał, o kapitalizmie państwowym w warunkach socjalizmu niewiele napisano. *„Nawet Marks nie wpadł na myśl, by napisać na ten temat choć jedno słowo, i zmarł, nie pozostawiając ani jednego ściśle sformułowanego cytatu, ani też wskazań nie do obalenia. Dlatego też musimy teraz radzić sobie jakoś sami"* — konstatował twórca pierwszego państwa socjalistycznego.

Dlaczego stało się tak, jak przewidywał Lenin? Skąd owa obiektywna konieczność wykonania przysłowiowych dwu kroków w tył, i jakie są teoretyczne oraz praktyczne reperkusje tego dziś, tu i teraz, dla nas, o tym należałoby już — z uwagi na złożoność problemu — napisać w kolejnej publikacji.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

MARIAN WILK

Radziecka strategia pokoju

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że jednym z istotnych czynników warunkujących trwałość osiągnięć rewolucji październikowej była umiejętna polityka zagraniczna państwa radzieckiego. Sytuacja międzynarodowa, w jakiej znalazła się młoda republika była bardzo niekorzystna. Państwa kapitalistyczne nie ukrywały bowiem swej wrogości wobec faktu zwycięstwa rewolucji proletariackiej i różnymi sposobami starały się przeszkadzać umacnianiu nowego porządku. Bojkot, blokada gospodarcza, izolacja dyplomatyczna i interwencja zbrojna — to główne instrumenty różnorodnych nacisków na Rosję radziecką. 2 grudnia 1919 r. na VIII Ogólnorosyjskiej Konferencji RKP(b) mówił na ten temat Włodzimierz Lenin: *„Utrzymać się przez dwa lata wiedy, gdy wszyscy nasi wrogowie mieli bezpośrednie i pośrednie poparcie początkowo imperializmu niemieckiego, a następnie jeszcze silniejszego imperializmu, jakim jest imperializm Ententy niepodzielnie zagarniający cały świat; utrzymać się przez dwa lata w kraju tak bardzo wyniszczonym i zacofanym — to zadanie, którego wykonanie było niewątpliwie cudem".*

W niniejszym szkicu pragniemy, biorąc za punkt wyjścia wydarzenia z 1917 r., zastanowić się nad głównymi cechami radzieckiej polityki zagranicznej, która realizowana konsekwentnie od zarania radzieckiej państwowości doprowadziła ZSRR do uzyskania zajmowanej dzisiaj pozycji międzynarodowej.

Śledząc różnorodne poczynania dyplomacji radzieckiej stwierdzamy, iż na plan pierwszy wysuwała ona kwestię utrzymania w Europie i na świecie pokoju. Śmiałe i konsekwentne stawianie propozycji pokojowych leżało w interesie nie tylko Rosji, ale i całej umęczonej wojną Europy. Nieprzypadkowo zatem już w pierwszym dniu po zwycięstwie powstania zbrojnego w Piotrogrodzie II Zjazd Rad uchwalił na wniosek Lenina „Dekret o pokoju", w którym zwracano się do wszystkich narodów i państw z propozycją „niezwłocznego, demokratycznego pokoju". Zgodnie z tą wytyczną rząd radziecki (Rada Komisarzy Ludowych) zwrócił się do państw Ententy z propozycją rozpoczęcia pertraktacji pokojowych; to samo powiedziane było w nocie do państw neutralnych. Strona radziecka nie doczekała się odpowiedzi na zgłoszone propozycje, zaproponowała zatem rządom państw centralnych zawarcie rozejmu i wszczęcie pertraktacji w sprawie pokoju bez aneksji i kontrybucji. Idei takiego właśnie pokoju bronił rząd radziecki w trudnych rokowaniach z Niemcami. W latach późniejszych Związek Radziecki każdorazowo deklarował wolę pokoju zwracając się do rządów nowo powstałych państw i proponując ustanowienie dobrosąsiedzkich stosunków. Systematycznie powtarzane propozycje pokojowe nieraz wytrącały broń z ręki zwolenników wojny i interwencji. Była to prawdziwa „ofensywa pokojowa", tak właśnie określana przez przyjaciół i wrogów ZSRR.

W tym miejscu należy podkreślić, że w pierwszych latach istnienia państwa radzieckiego, wysunięta została koncepcja pokojowego współistnienia. W czerwcu 1920 r. tak mówił o niej ludowy komisarz spraw zagranicznych Gieorgij Cziczerin: *„Jedno było i pozostaje naszym hasłem — pokojowe współistnienie z drugimi rządami, bez względu na to, jakie one są. Rzeczywistość sama narzuciła nam i drugim państwom niezbędność stworzenia długotrwałych stosunków pomiędzy rządem robotniczo-chłopskim a rządami kapitalistycznymi. Te długotrwałe stosunki dykutują nam w ten sposób realia ekonomiczne".*

W polityce zagranicznej rząd radziecki otwarcie wysunął zasadę sprawiedliwości i równości oraz poszanowania interesów wszystkich narodów. W odróżnieniu od polityki zagranicznej Rosji carskiej, zerwano z tajną dyplomacją, czego najlepszym przykładem stało się ogłoszenie poufnych dokumentów rządu carskiego i tymczasowego.

Przykładem innego traktowania narodów ujarzmionych była polityka wschodnia Rosji radzieckiej. Rada Komisarzy Ludowych anulowała nierównoprawne traktaty podpisane przez rząd carski z sąsiednimi państwami azjatyckimi. Podobnie odniesiono się do sąsiadów na Zachodzie uznając ich prawo do niepodległości. Konkretnym przykładem było anulowanie, zgodnie z dekretem Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 r. traktatów rozbiorowych Polski.

Dużym sukcesem dyplomacji radzieckiej było podpisanie 2 lutego 1920 r. traktatu pokojowego z Estonią. Tym samym uczyniono wyłom w izolacji dyplomatycznej trwającej przez cały rok 1919. Rząd radziecki wyraził zgodę na bardzo korzystne dla Estonii warunki pokoju. Odnosiło się to zarówno do ustępstw terytorialnych, jak i koncesji gospodarczych. M.in. postanowiono przekazać Estonii 15 mln rubli w złocie. Wkrótce podpisano traktaty z Litwą (11.VII.), Łotwą (11.VIII.) i Finlandią (11.X.1920 r.).

Na okres ten przypadają także ważne wydarzenia w stosunkach polsko-radzieckich. Po działaniach wojennych trwających z mniejszym lub większym natężeniem w okresie od lutego 1919 r. do października 1920 r. podpisany został w stolicy Łotwy — Rydze — polsko-radziecki traktat pokojowy Było to porozumienie kompromisowe, gdyż żadna ze stron walczących nie posiadała dostatecznej siły do narzucenia swoich warunków stronie przeciwnej. Kompromisowy charakter pokoju ryskiego wynikał również z jego klauzul terytorialnych. Na wschodzie Polska uzyskała mniej więcej granice ustalone z Rosją po drugim rozbiorze. W granicach Rzeczypospolitej pozostało ok. 4,3—5,1 mln osób narodowości ukraińskiej i ok. 0,9—2,0 mln Białorusinów.

Traktat ryski poprawił w sposób istotny międzynarodową pozycję Rosji Radzieckiej, gdyż Polska uznawała de facto i de jure nowe władze w Rosji. Z postanowień traktatu ryskiego warto wymienić ponadto te, które mówiły o ustanowieniu granicy, nawiązaniu stosunków dyplomatycznych, konieczności zawarcia konwencji konsularnej, kolejowej, sanitarnej, pocztowej i telegraficznej, zobowiązania Rosji do zwrócenia Polsce dzieł sztuki, archiwów, bibliotek oraz wypłacenia Polsce w ciągu roku 30 mln rubli w złocie z tytułu aktywnego bilansu ziem polskich.

Można przyjąć, że marzec 1921 r. kończył pierwszy etap w dziejach radzieckiej dyplomacji, który charakteryzował się niezbyt jeszcze precyzyjnie określoną koncepcją działań na arenie międzynarodowej. Rzecz bowiem w tym, że trzeba było brać pod uwagę także możliwość wybuchu rewolucji w innych krajach europejskich. Politycy radzieccy musieli zatem godzić dwie kwestie: utrwalenia pokoju oraz internacjonalistycznej pomocy dla proletariatu państw Europy Zachodniej. Nowe elementy miał wnieść w tej kwestii X Zjazd RKP(b) obradujący w marcu 1921 r. Biorąc pod uwagę malejącą falę rewolucyjną na Zachodzie uznano, że należy szukać szerszych kontaktów ze światem kapitalistycznym. Rozpoczynał się okres dużego otwarcia na zewnątrz trwającego do 1924 r.

Rząd radziecki przywiązywał szczególną wagę do stosunków z Niemcami. Zaważył na tym głównie fakt negatywnej oceny systemu wersalskiego i Ligi Narodów, którą uznano za instytucję skierowaną przeciwko władzy radzieckiej. Strona radziecka zdawała sobie sprawę z tego, że Niemcy po traktacie wersalskim mogą być potencjalnym ogniskiem zapalnym w Europie, ale równocześnie było to jedyne państwo zachodnie, które mogło wesprzeć Rosję w walce o wyjście z izolacji politycznej i gospodarczej. W kwietniu 1922 r. w trakcie trwania europejskiej konferencji gospodarczej w Genui, doszło do podpisania układu radziecko-niemieckiego zwanego także rappalskim (Rapallo — przedmieście Genui). Dla państw zachodnich był to dosłownie szok, gdyż tym samym Rosja unikała narzucenia jej rozwiązań gospodarczych niezgodnych z radziecką racją stanu. Układ w Rapallo składał się z trzech zasadniczych punktów, w których oprócz deklaracji o nawiązaniu normalnych stosunków dyplomatycznych mówiono również o wzajemnym zrzeczeniu się wszystkich przedwojennych długów i wszelkich zobowiązań finansowych. Obie strony przyznały sobie klauzulę największego uprzywilejowania w wymianie handlowej. Zrzeczenie się przez Niemcy wszelkich odszkodowań od Rosji było dla rządu radzieckiego ważnym precedensem w przyszłych rokowaniach z państwami Zachodu.

Układ rappalski stawiał pod znakiem zapytania całą politykę izolacji republik radzieckich. Rosja odciągnęła też Niemcy od Zachodu, co stwarzało szansę skłócenia aliantów i niedopuszczenia do powstania frontu antyradzieckiego. Była to praktyczna realizacja wypowiedzi Lenina co do konieczności wykorzystywania sprzeczności między wrogami. Przywódca państwa radzieckiego mówił na ten temat w grudniu 1920 r. na naradzie aktywu partyjnego Moskwy: *„dopóki pod względem ekonomicznym i militarnym jesteśmy słabsi od pozostałego świata kapitalistycznego, dopóty należy trzymać się zasady: trzeba umieć wykorzystać sprzeczności i przeciwieństwa między imperialistami".*

Ważnym elementem sukcesów dyplomacji radzieckiej była stale przestrzegana jedność działań politycznych i ekonomicznych. W pierwszych latach istnienia państwa radzieckiego atuty ekonomiczne poprzedzały rozmowy w sprawach politycznych. Później, gdy pozycja międzynarodowa ZSRR umocniła się, sprawy gospodarcze stały się naturalnym składnikiem kontaktów gospodarczych, wspierały i ułatwiały działalność dyplomatyczną. Umowy gospodarcze przyczyniły się do uznania dyplomatycznego ZSRR.

Koncepcja izolacji państwa radzieckiego ponosiła klęskę. Pod koniec maja 1923 r. przybyli do ZSRR przedstawiciele kół gospodarczych USA, mimo że Stany Zjednoczone nie uznawały Związku Radzieckiego aż do 1933 roku. Natomiast w 1924 r. nastąpiła istna fala uznań i nawiązania stosunków dyplomatycznych z ZSRR. Uczyniły to: Wielka Brytania, Włochy, Norwegia, Grecja, Austria, Szwecja, Chiny, Dania, Francja oraz Meksyk i Japonia.

Po roku 1924 uległo widocznej zmianie stanowisko Związku Radzieckiego wobec Ligi Narodów. Rozpoczynał się kilkuletni okres ograniczonej współpracy z tą organizacją w sprawach dotyczących rozbrojenia. Znalazło to wyraz w udziale delegacji radzieckiej na konferencjach poświęconych problematyce rozbrojeniowej w Rzymie (1924) i Genewie (1927).

W latach następnych aktywność dyplomacji radzieckiej wzrosła jeszcze bardziej. Wraz z próbami tworzenia regionalnego systemu bezpieczeństwa podejmowano wysiłki zmierzające do umocnienia stosunków dwustronnych. 24 kwietnia 1926 r. podpisana została radziecko-niemiecka umowa o przyjaźni i neutralności. Układ stanowił dalszy impuls do rozwoju wielostronnej współpracy, która do roku 1934 była bardzo żywa. Szereg umów podpisano w 1932 r., kolejno: z Finlandią, Łotwą, Estonią, Polską i Francją. W tymże roku delegacja Związku Radzieckiego wzięła udział w Światowej Konferencji Rozbrojeniowej obradującej w lutym w Genewie.

W trakcie Konferencji Rozbrojeniowej Komitet Centralny WKP(b) podjął 12.12.1933 r. ważne decyzje odnoszące się do polityki zagranicznej. Biorąc pod uwagę agresywne deklaracje niemieckie, m.in. także zdanie Hitlera, że stosunki radziecko-niemieckie nie mogą rozwijać się w duchu Rapalla, a Niemcy mają mało ziemi i ową przestrzeń życiową muszą zdobyć głównie kosztem Rosji, władze partyjne zalecały aparatowi dyplomatycznemu podjęcie działań mających na celu ochronę pokoju w Europie. Oznaczało to możliwość wejścia ZSRR do Ligi Narodów oraz zawieranie układów regionalnych o pomocy wzajemnej i obronie przed agresją.

Oficjalne przyjęcie ZSRR do Ligi Narodów nastąpiło 18.09. 1934 r. W tym samym roku ZSRR został uznany przez Węgry, Czechosłowację, Rumunię, Bułgarię i Albanię. Działalność Związku Radzieckiego w Lidze Narodów stanowi oddzielny temat. Tu można jedynie podkreślić, że najważniejszym było działanie zmierzające do ograniczenia zbrojeń, zachowania pokoju na świecie i lokalizacji konfliktów.

W nowych warunkach historycznych, jakie powstały w wyniku zasadniczej zmiany w układzie sił na świecie po drugiej wojnie światowej, Związek Radziecki w ścisłej współpracy z krajami socjalistycznymi prowadzi aktywną działalność zmierzającą do ograniczenia zbrojeń, rozbrojenia i wyeliminowania groźby wojny nuklearnej. Głównym kierunkiem europejskiej polityki Związku Radzieckiego było uznanie za nieodwracalne skutków drugiej wojny światowej, a więc przede wszystkim nienaruszalności granic oraz warunków społeczno-ustrojowych. Radziecka ofensywa pokojowa narażona była na różne przeciwdziałania i ataki. Po konferencji w Helsinkach w 1975 r. właśnie na Zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych przeciwnicy odprężenia starali się lansować tezę, jakoby ZSRR i inne kraje socjalistyczne traktowały ideę pokojowego współistnienia w sposób instrumentalny i taktyczny.

Lata powojenne, szczególnie zaś 60-te i 70-te przyniosły polityce radzieckiej w dziedzinie pokojowego współistnienia i odprężenia w Europie oraz na świecie wiele sukcesów. Związek Radziecki traktował europejski kontynent jako nie wyizolowany układ, lecz w pełni wkomponowany w całość spornych i skomplikowanych spraw współczesnego świata. Radziecka myśl polityczna wielokrotnie akcentowała, że punktem wyjścia do wszelkich konstruktywnych prac, jakie miały utrwalić powojenne statut quo, powinien być argument o tym, że po doświadczeniach dwóch wojen światowych narody Europy pragną pokoju, a obowiązkiem rządów jest realizować wolę narodów.

Szczególnie doniosłą rolę w tej kwestii odegrały uchwały XXIV zjazdu KPZR i przyjęty wówczas Program Pokoju. Za problemy wymagające niezwłocznego rozwiązania uznano: likwidację ognisk wojny w Azji Południowo-Wschodniej i na Bliskim Wschodzie, wyrzeczenie się użycia siły i groźby jej użycia dla rozwiązywania spornych zagadnień życia międzynarodowego, zapewnienie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie, zawarcie układu w sprawie zakazu broni nuklearnej, chemicznej i bakteriologicznej, zaktywizowanie walki o położenie kresu wszelkiego rodzaju wyścigów zbrojeń, całkowite wcielenia w życie uchwał ONZ w sprawie likwidacji reżimów kolonialnych i rozszerzenia wzajemnie korzystnej współpracy we wszystkich dziedzinach z państwami o różnych systemach społecznych.

Radziecki plan pokoju posiada znaczenie uniwersalne, oddziałuje na cały świat, ale szczególnie istotnym jego elementem jest aspekt europejski. Pełne finalizowanie radzieckiej ofensywy pokojowej wymagało wielu dwustronnych i wielostronnych konsultacji. Były one przeprowadzane, a ich efekty miały wymiar konkretny. Największym było doprowadzenie do odbycia w 1975 r. konferencji bezpieczeństwa i współpracy w Europie (Helsinki) na najwyższym szczeblu. W latach następnych dyplomacja radziecka nie ustawała w wysiłkach, aby proces odprężenia międzynarodowego kontynuować.

Radziecką politykę zagraniczną zawsze cechował realizm i konsekwencja. Umiejętność przechodzenia od spraw szczegółowych, wymagających natychmiastowego działania, do negocjacji, wspólnego wypracowywania rozwiązań zgodnych z zasadami prawa międzynarodowego. Dyplomacja radziecka, począwszy od roku 1917 zawsze stykała się z problemami złożonymi. Kierując się zasadą wytrwałości potrafiła jednak rozwiązywać najtrudniejsze nawet kwestie. Jakże aktualnie brzmią słowa Cziczerina: *„Dyplomacja powinna uruchamiać miliony różnych środków, aby kroczyć naprzód, a nie dreptać na miejscu; działać aktywnie, a nie tylko reagować na to, co robi strona przeciwna. Nie powinniśmy zakładać, że wszyscy rzucać się będą nam w objęcia, ale musimy aktywnie przygotowywać grunt do zbliżenia z nami".*

Patrząc z perspektywy dziesięcioleci na dokonania radzieckiej polityki zagranicznej można wyrazić przekonanie, że i na obecnym niezwykle skomplikowanym etapie rozwoju świata znajdzie ona środki dla złagodzenia napięcia międzynarodowego.

W. W. Worowski, M. M. Litwinow i G. W. Cziczerin w Genui

Wręczenie w Moskwie listów uwierzytelniających posłom francuskim

Przewodniczący Rady Najwyższej — M. Kalinin przyjmuje ambasadora japońskiego

Firmy polonijne: legenda i rzeczywistość

Dokończenie ze str. 1

nastąpić — wymagał nowej lepszej regulacji prawnej. W lipcu ub. roku Sejm uchwalił ustawę „O zasadach prowadzenia na terytorium PRL działalności gospodarczej w zakresie drobnej wytwórczości przez zagraniczne osoby prawne i fizyczne". Uchwalenie ustawy zbiegło się z okresem bardzo szybkiego rozwoju firm zagranicznych. W czasie trwania stanu wojennego — który dla kandydatów do tego rodzaju działalności stanowił swego rodzaju gwarancję stabilizacji — zarejestrowano 230 nowych firm. Obecnie w kraju działa 380 Przedsiębiorstw Polonijno-Zagranicznych, na rejestrację czeka 360 kolejnych wniosków.

Wydawałoby się więc, że wszystko w porządku; ustawa jest, chętni do działania są, towary na półkach widać, nie ma więc przeszkód, aby PPZ stały się, obok zakładów państwowych, spółdzielczych i prywatnych-rzemieślniczych, kolejnym, trwałym elementem polskiej gospodarki, rozwijającym się harmonijnie i w sposób najbardziej korzystny, uzupełniającym rozmaite luki zaopatrzeniowe. Sytuacja jednak nie jest aż tak dobra. Wszystko wskazuje na to, że przedsiębiorstwa te, o ile w ciągu kilku najbliższych lat nie ulegną likwidacji, nie unikną typowej dla pozostałych sektorów, mocno zygzakowatej drogi rozwoju.

Podczas gdy w szybkim tempie powstawały owe PPZ w kraju pogłębiał się kryzys, a jednocześnie w sposób diametralny zmieniał się nastrój wokół „kapitalistów", którym zarzucano coraz więcej rzeczy. A więc przede wszystkim nadmierne bogacenie się. Zarzut ten dotyczył zarówno pracowników firm zagranicznych, którzy bez względu na zajmowane stanowisko, od dyrektora do sprzątaczki, zarabiają rzekomo kilkakrotnie więcej niż osoby na podobnych stanowiskach w sektorze państwowym i spółdzielczym. Odnoszono go również do firm jako całości, pomawiając o kolosalne, nieuzasadnione zyski, wynikające z nadmiernie wyśrubowanych cen. Mówiło się — i mówi nadal — o złej jakości wyrobów rynkowych, o tym, że PPZ pochłaniają krajowe surowce, których brakuje nawet w dużych zakładach przemysłu kluczowego, że podkupują ludzi, powodując duże, dodatkowe trudności zwłaszcza w przemyśle lekkim, gdzie kłopoty kadrowe są w ostatnich latach szczególnie ostro odczuwane. Pada nawet dość bezsensowny zarzut, że firmy zagraniczne skupują dolary, dokonując ich nielegalnego transferu do państw macierzystych ich właścicieli, a tym samym powodując, również godzącą w interes społeczny, zwyżkę czarnorynkowego kursu dewiz. Spotkałam się także z opinią, że przedsiębiorstwa zagraniczne są takimi tylko z nazwy, że założyli je co obrotniejsi polscy „milionerzy dewizowi", fundując jakąś sumę cudzoziemcowi, aby zgodził się firmować całą zabawę własnym nazwiskiem.

Nieco mniej popularny, ale przecież nie jednostkowy, jest pogląd, że u podstaw decyzji o możliwości tworzenia takich firm legła chęć zapewnienia odpowiednio dochodowych miejsc pracy rozmaitym prominentom średniego i wyższego szczebla, którzy musieli rozstać się z dotychczasowymi, ciepłymi posadami.

Padają ponadto od czasu do czasu zarzuty o nadmiernym, wręcz kapitalistycznym wyzysku robotników, zatrudnionych w tych firmach, o hulaszczym, obrażającym moralność ludzi, którym nie starcza pieniędzy na wczasy, trybie życia kadry kierowniczej tych firm. Rozważania tego rodzaju kończą się często pytaniem pryncypialnym: czy „coś takiego" powinno egzystować w ustroju socjalistycznym. Pytanie to zadają zarówno ludzie autentycznie zatroskani o dalszy rozwój sytuacji gospodarczej i politycznej w kraju, jak i ci, którzy nadal bezkrytycznie zachwycając się nieznanym im „Zachodem" chcieliby pozbyć się jego, nielicznych przecież, przedstawicieli tylko dlatego, że potrafią więcej zarobić.

Najlepszą porą na dyskusje o charakterze politycznym był czas, zanim zapadła decyzja o dopuszczeniu obcego kapitału. Z chwilą, gdy powstała pierwsza firma polonijna, dyskusję należałoby ograniczyć do rozważań, jak — w sposób najbardziej efektywny — wykorzystać to nowe zjawisko gospodarcze.

Czy pod szyldem firm zagranicznych chowają się „kapitaliści znad Wisły"? Tę tezę równie trudno udowodnić, jak obalić. Być może znalazłyby się takie jednostkowe przypadki, wiara w zdrowy rozsądek zagranicznych inwestorów nie pozwala jednak przypuszczać, aby znalazło się wielu chętnych do firmowania własną osobą — a w razie czego, także własnym kapitałem — tak niepewnego interesu.

Są czy nie są PPZ azylem dla byłych prominentów — dyskusja na ten temat nie ma nic wspólnego ze sferą ekonomiczną, a osoby szczególnie zainteresowane problemem mogą przecież dokładnie sprawdzić personalia pełnomocników i dyrektorów firm, a także ustalić, gdzie pracowali poprzednio. Znajdą się na tych stanowiskach ludzie poprzednio sprawujący funkcje kierownicze (nawet dyrektorów naczelnych) w zakładach uspołecznionych czy zjednoczeniach, także ludzie o dosyć znanych z różnych dziedzin życia nazwiskach. Czy jednak są to właśnie byli prominenci? Ponadto nie wydaje mi się, aby warto było tracić czas na dyskusję o tych aspektach sprawy. Do ludzi, którzy byłych prominentów gotowi są tropić wszędzie, przy czym uznają za takich wszystkich, którzy, bez względu na wkład pracy, mają dochody wyższe od średniej statystycznej, nie trafią żadne argumenty. Podobnie nie uważam za celowe rozważań, czy zjawisko zwyżki czarnorynkowego kursu dolara — bez względu na to, jakimi czynnikami spowodowane — jest społecznie szkodliwe. W rozmowach i potocznych ocenach działalności PPZ pojawiają się jednak zdania i argumenty, które warto dokładniej przeanalizować.

Jednym z nich jest niewątpliwie twierdzenie, że PPZ zubożają nasz potencjał surowcowy, produkując z tego, co z powodzeniem mogłyby wykorzystać państwowe i spółdzielcze zakłady.

Z treści ustawy o przedsiębiorstwach zagranicznych wynika, iż podejmowana przez nie produkcja artykułów nie wytwarzanych dotąd w kraju będzie oparta na imporcie brakujących surowców, a także iż ulegnie intensyfikacji wykorzystanie krajowych surowców i materiałów w oparciu o sprowadzane technologie i urządzenia. Korzystają więc PPZ zarówno ze źródeł zagranicznych, jak i z przydziałów krajowych, przy czym tych ostatnich jest nie więcej, niż 15—20 proc. W niektórych branżach, np. kosmetycznej, konfekcyjnej, dziewiarskiej, udział materiałów krajowych jest praktycznie zerowy, w innych — m. in. przetwórstwa spożywczego — wyższy niż podana średnia.

Dla przykładu — potrzeby firm spożywczych wynoszą 8 tys. ton cukru, z czego w ramach przydziałów otrzymują 2,5 tys. ton. Cukier nie jest zresztą surowcem, którego nam aktualnie brakuje. Oczywiście nie sprowadzają przedsiębiorstwa takich surowców, jak owoce czy warzywa rosnące u nas, trudno jednak uznać, iż następuje tym sposobem ogołacanie rynku. Przeciwnie, można przypuszczać, choćby na przykładzie wędrujących po kraju i w końcu wyrzucanych pomidorów, które w obecnym sezonie szczególnie obrodziły, że gdyby nie działalność PPZ znacznie więcej warzyw i owoców po prostu by się zmarnowało.

W przypadku innych surowców i materiałów kupowanych w kraju PPZ zawsze ponoszą pełny koszt wsadu dewizowego. W I półroczu br. firmy zagraniczne wyeksportowały — za pośrednictwem państwowych central handlu zagranicznego — towary za 5,559 mln dolarów USA, natomiast import surowców i materiałów w tym samym czasie zamknął się kwotą 6,554 mln dolarów, przy zawartej do końca roku kontraktacji sięgającej blisko 18 mln dolarów. Nie jest to co prawda suma pozwalająca na zapełnienie sklepowych półek wszystkimi brakującymi artykułami, wymagającymi udziału importowanych surowców (nie taka jest zresztą rola przedsiębiorstw zagranicznych), na tyle jednak duża, aby niektóre dziury w widoczny sposób załatać.

Kolejna sprawa to „podkupywanie" ludzi z przemysłu państwowego przy pomocy znacznie wyższych zarobków. Jest faktem, że pracownicy firm zagranicznych zarabiają więcej, niż otrzymywali w poprzednich miejscach pracy. Nie są to jednak, wbrew powszechnej opinii, zarobki wielokrotnie wyższe. Posłużę się przykładem firmy „Revis", produkującej konfekcję, przede wszystkim spodnie. Podobna sytuacja występuje w innych przedsiębiorstwach tej branży.

Średnia płaca w przedsiębiorstwie wynosi 16 tys. zł. Oprócz zarobków robotników na średnią wpływają również wysokie płace kierownictwa (dyrektor naczelny — 35 tys. zł, pozostali dyrektorzy i główny księgowy — 30 tys. zł, pracownicy administracji średnio 18 tys. zł). Dużo to czy mało? Na pewno więcej, niż wynosi zarobek szwaczki w zakładzie uspołecznionym (choć jednostkowo można wskazać także odwrotne przypadki), ale... Robotnice mają w ciągu 8 godzin pracy trzy przerwy — dwudziestominutową na śniadanie oraz dwie pięciominutowe. Trzy linie technologiczne ustawione są w ten sposób, że wymuszają wysoką, indywidualną wydajność. Nie ma przestojów, spowodowanych częstymi awariami, brakiem części zamiennych do uszkodzonej maszyny, brakiem surowców. Jest to więc czas autentycznej pracy. Mimo surowo przestrzeganej dyscypliny fluktuacja w zakładzie jest niewielka — 4 proc.

Teraz wróćmy na chwilę do sprawy wyzysku robotników. We wszystkich instytucjach w Polsce — bez względu na sektor — obowiązuje ten sam Kodeks Pracy, którego muszą, choćby nie chciały, przestrzegać także firmy zagraniczne. Nie ma więc mowy o wydłużaniu ponad ustawową normę czasu pracy, skracaniu urlopów czy pozbawianiu pracownika jakichkolwiek świadczeń socjalnych. Wymaganie, aby każdy pracował w godzinach, w których pracować powinien, trudno uznać za wyzysk. A jednak — w niektórych zakładach ludzie rzeczywiście czują się nadmiernie eksploatowani, przeciwko czemu protestują, po prostu porzucając pracę. Tak jest np. w branży budowlanej. Również i tu robotnik ma szansę zarobić więcej, niż w zakładzie państwowym. Ale — podobnie jak we wszystkich PPZ — surowo przestrzegana jest szeroko pojęta dyscyplina pracy, natomiast jej organizacja nie pozwala na obijanie się czy dodatkowe „fuchy", w czasie normalnych, opłacanych przez pracodawcę godzin. W tych firmach od początku ich istnienia panuje gigantyczna, większa niż w państwowym przemyśle, fluktuacja. Ludzie, skuszeni mirażem wysokich zarobków, wracają do przedsiębiorstw uspołecznionych (gdzie zawsze czekają na nich wolne miejsca), stwierdzając, że... nie opłaca się. Aby skończyć sprawę zarobków warto jeszcze dodać, że wydajność w PPZ jest — biorąc pod uwagę wartość produkcji na jednego zatrudnionego — czterokrotnie wyższa, niż w spółdzielczych zakładach drobnej wytwórczości. Co prawda miernik wartościowy nie jest zbyt precyzyjny, jednak w tym przypadku wydaje się wystarczający do porównania, bowiem ceny wyrobów pochodzących z obu sektorów także niewiele się różnią.

Czy jest więc powód do zazdroszczenia zarobków pracownikom firm zagranicznych? Oczywiście można zazdrościć wszystkiego i wszystkim, trudno jednak uznać za słuszne pretensje, że ludzie, którzy pracują wydajniej, uzyskują za swój trud lepsze wynagrodzenia.

Zarobki nie są zresztą jedynym motywem, skłaniającym ludzi do podejmowania pracy w PPZ. W przypadku kadry inżynieryjnej czy kierowniczej jest nim również możliwość pełniejszego zaprezentowania własnych możliwości i wykorzystania inicjatywy. Przykład (a jest takich więcej): dwa patenty polskich inżynierów na urządzenia elektroniczne, które przez dłuższy czas nie mogły doczekać się wdrożenia w kraju, zostały natychmiast wykorzystane w firmie Dżydżykompoler. Zainteresowanie odbiorców zagranicznych wyrobami, w których je zastosowano znacznie przekracza możliwości produkcyjne firmy i przynosi niezłe zyski wszystkim zainteresowanym.

Czy zresztą można mówić o odpływie kadr z gospodarki uspołecznionej do Przedsiębiorstw Polonijno-Zagranicznych na tyle znaczącym, aby groziło to obniżeniem produkcji w tych pierwszych, skoro wszystkie PPZ zatrudniają łącznie 19631 osób, w tym 13771 robotników? Wobec ponad 8 mln pracujących w sektorze uspołecznionym stanowi to tak nikły ułamek (około 0,02), że nawet zakładając, iż wszyscy robotnicy trafili tu bezpośrednio z zakładów kluczowych, żadna gałąź przemysłu nie może odczuć tego ubytku zbyt dotkliwie.

Aby skończyć z tematem — czego firmy zagraniczne nie zabierają lub co zabierają społeczeństwu przejdźmy do innego aspektu sprawy: co dzięki nim zyskujemy. Do przeważających asortymentów w działalności PPZ należą: odzież, kosmetyki, wyroby dziewiarskie, galanteryjne, kuśnierskie, zabawki, urządzenia elektrotechniczne i elektroniczne oraz usługi motoryzacyjne i budowlane. Obok tych towarów rynkowych — także sprzęt medyczny, nawozy sztuczne, urządzenia dla rolnictwa. Coraz szerzej rozwija się również współpraca z firmami państwowymi w wielu dziedzinach, które trudno wyliczyć.

W I półroczu br. sprzedaż towarów na rynek wyniosła 10,902 mld zł. Ta imponująca suma stanowi jednak tylko 5 proc. drobnej produkcji wszystkich sektorów oraz zaledwie 0,5 proc. globalnych dostaw rynkowych. Nie jest to więc — zwłaszcza w porównaniu z szumem, jaki narasta wokół PPZ — zbyt wiele. Z drugiej strony jednak — wyobraźmy sobie, że dostawy rynkowe z dnia na dzień maleją właśnie o owe 0,5 proc. Zniknęłyby z półek produkty spożywcze o znaczeniu co prawda nie podstawowym, ale przecież potrzebne, jak rozmaite sosy, soki i przyprawy, zubożałby o dość atrakcyjne towary asortyment odzieży, znowu z wielkim trudem kupowalibyśmy wodę kolońską i wiele innych, choć nie niezbędnych drobiazgów.

Tu spodziewam się zarzutu, że i tak nie wszyscy to kupują, nie każdego bowiem stać na zapłacenie tak wysokich cen. Rozważania, czy każdego powinno być stać na wszystko należą do zupełnie innego tematu, nie mającego związku z firmami zagranicznymi, podobnie jak dyskusja o właściwych relacjach między dochodami a poziomem cen w ogóle. Powtarzając opinię, że PPZ produkują bardzo drogo, nie zdajemy sobie na ogół sprawy, że wpływa na nią również czynnik psychologiczny, mianowicie przyzwyczajenie. Ceny towarów firm zagranicznych nie ulegają praktycznie podwyżkom od chwili ukazywania się ich na rynku. Ponieważ niektóre z nich można było kupić jeszcze przed generalną podwyżką cen, jaka nastąpiła w 1981 r. — ich ceny, w porównaniu z innymi, rzeczywiście szokowały. Opinia pozostała, choć obecnie ceny te — rzeczywiście wysokie — nie są jednak aż tak rażące, a ponadto bardzo zbliżone do cen artykułów o podobnym przeznaczeniu, produkowanych przez spółdzielnie czy krajowych rzemieślników. W niektórych przypadkach są one niższe, a przy tym towary wykonane są z lepszej jakości surowców.

I tu przechodzimy do następnej, popularnej opinii: produkują byle co, byle jak. Opinie rzeczoznawców różnią się w tej mierze od opinii wyrażanej przez część konsumentów. Rynek tak chłonny, jak nasz obecnie nie skłania do nadmiernej troski o jakość i zdarzają się producenci, którzy próbują tę sytuację wykorzystać. Pojawiają się towary nietrafione czy po prostu buble — nie tylko zresztą z firm zagranicznych. Rada na to jest prosta — nie kupować. Przedsiębiorca zagraniczny zareaguje na to znacznie szybciej, niż państwowy gigant. Dobrym przykładem są tu szampony — zbyt drogie i nieudane. Jeszcze kilkanaście miesięcy temu były to co prawda jedyne szampony, dostępne w sklepach, ale z chwilą pojawienia się na rynku innych popyt na nie gwałtownie zmalał. Równie szybko producenci, uderzeni po kieszeni, zrezygnowali z tego asortymentu, uruchamiając produkcję innych, bardziej poszukiwanych wyrobów. Obecnie zaczynają odkładać się niektóre wyroby 20 zakładów branży spożywczej, (wśród nich — przyprawy). Firmy te, próbując zlikwidować trudności ze zbytem, już obniżyły cenę wyrobów i zmieniają asortyment, dostosowując go bardziej do potrzeb rynku, co tylko nam, klientom wychodzi na dobre. Mechanizm taki w odniesieniu do PPZ będzie występował zawsze, bowiem wszystkie potknięcia odczuwane są dotkliwie przez właściciela przedsiębiorstwa, który nie może liczyć na żadne dotacje, subsydia, dodatkowe kredyty itp.

Próbując polemizować z negatywną opinią o PPZ, daleka jestem od popadania w drugą skrajność i twierdzenia, że wszystko, co produkują jest znakomite, a wszystkie firmy pracują bez zarzutu, zatrudniając na kierowniczych stanowiskach wyłącznie ludzi skromnych i kryształowo uczciwych, myślących jedynie o podnoszeniu poziomu życia i gospodarki w goszczącym ich kraju. Błędy, łamanie przepisów prawa, chęć nadmiernego zysku, zdarzają się w tym sektorze nie częściej jednak, niż we wszystkich pozostałych. Każdy taki przypadek należy jednak oceniać indywidualnie, nie opatrując swej opinii o jednym wyrobie, jednym dyrektorze, czy jednej firmie etykietą „wszyscy".

O PPZ mówi się w ostatnim okresie chyba zbyt wiele, nie czekając, aż zajmą one w naszej gospodarce, a tym samym na rynku, pozycję bardziej znaczącą. Nazbyt chętnie również przedsiębiorstwa te obarcza się winą za negatywne zjawiska, występujące w gospodarce i życiu społecznym. Przy czym wydaje się, że następuje tu niekiedy mylenie skutku z przyczyną. To nie PPZ spowodowały kryzys, lecz odwrotnie — na jego tle ich działalność staje się bardziej widoczna, wyraźniejsza nie tylko dla ludzi z racji zajmowanych stanowisk zainteresowanych ich dalszymi losami, lecz także dla szerokich kręgów społeczeństwa. Można również przypuszczać, że temat stał się swego rodzaju bezpiecznikiem, rozładowującym złe nastroje społeczne, spowodowane różnymi czynnikami. Bo czyż warte jakiejkolwiek uwagi byłyby np. dżinsy produkcji zagranicznej firmy — bez względu na ich cenę i jakość — gdyby obok na półce leżało dużo innych — lepszych i gorszych, tańszych i droższych — spodni?

Stosunek opinii społecznej — a w każdym razie dość znacznych grup ludności — do PPZ jest obecnie negatywny, z tendencją do pogłębiania krytycznych ocen. Druga strona tego samego zagadnienia — to relacje PPZ a państwo. Jest to jednak temat zasługujący na odrębne, szersze omówienie.

TERESA JERZYKOWSKA

Już nie biją!

EDWARD BRYL

I. JAK BYŁO!

„Nagą owinięto mnie w dwa mokre koce i położono na podłodze. Bielicki bił zmoczonym, skręconym ręcznikiem po pośladkach. Próbowałam się szarpać, więc siostra Szczepańska usiadła na mnie okrakiem. Wołałam głośno o pomoc. Wtedy dyrektorka, Eugenia Rusek, wepchnęła mi w usta inny mokry ręcznik. Kneblowała mnie też watą i szczotką do mycia butelek. Kiedy przestano bić, zostałam przewieziona na blok „B".

Zeznanie z akt sądowych wraz ze wstrząsającym reportażem „Dom za drutami", opublikowane przed dwoma laty w „Prawie i Życiu" wywołało falę protestów, oburzyli się święcie pracownicy miejsca kaźni — Państwowego Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych w Wiśniowej Górze. Oburzyli się i ich ówcześni zwierzchnicy w łódzkim Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej. Ale za późno było na zatuszowanie skandalu. W prokuratorskiej teczce zebrały się niepodważalne dowody, że w Wiśniowej Górze uciążliwych chorych głodzono, bito, zamykano w izolatkach, przywiązywano do gołych sprężyn. Szpikowano lekami psychotropowymi bez zlecenia lekarzy. Kiedy korytarzem szła siostra Anna Bejtlich, nieszczęśnicy pierzchali do sal, umykali jak szczute zwierzęta — nosiła przy sobie pejcz, z którego często robiła użytek. Wszystkiego osobiście doglądała dyrektorka Eugenia Rusek, wyróżniona odznaczeniem zasłużonego pracownika służby zdrowia i przełożona pielęgniarek Halina Szczepańska.

Prawda, że wówczas nie wszyscy pracownicy włączali się w te okrucieństwa. Ale skargom i zażaleniom wysyłanym do Wydziału Zdrowia Urzędu m. Łodzi, ministerstwa, KC PZPR odmawiano słuszności. Jeżeli nawet ktoś się nimi zainteresował, sprawę ostatecznie tłumił ówczesny lekarz wojewódzki informując, że piszą je chorzy psychicznie i przedstawione w nich wydarzenia są jedynie wytworem niezdrowej wyobraźni.

Tymczasem w domu w Wiśniowej Górze tylko część pensjonariuszy cierpi na różnego rodzaju psychozy, schizofrenię, etc., większość to nędzarze, którzy znaleźli tu wreszcie dach nad głową. Nikt z kompetentnych nie pofatygował się na miejsce, aby ustalić prawdę — dyrektorka cieszyła się nieposzlakowaną opinią, a gehenna ludzi trwała latami. Dopiero, kiedy podopieczna Maria Ł., pobita, głodzona, próbowała ucieczki oknem i spadła, doznając złamań, wkroczyła prokuratura. Sprawa ciągnęła się bardzo długo. Padły wyroki skazujące: obie pielęgniarki otrzymały po półtora roku pozbawienia wolności z zawieszeniem. Jedynie dyrektorka Eugenia Rusek uciekła przed wymiarem sprawiedliwości w „chorobę psychiczną". Ten bezpieczny azyl nie przeszkadza jej w licznych wojażach, także zagranicznych.

Wszyscy zamieszani musieli odejść. Nie tylko oprawcy w białych fartuchach: Halina Szczepańska, przełożona pielęgniarek i Anna Bejtlich — pielęgniarka oddziałowa, także nieszczęśni pensjonariusze: Maria Ł., Jerzy S., Zdzisław K. Przeniesiono ich do innych zakładów, co ponoć jest ogólnie przyjętym postępowaniem w takich przypadkach.

Zmieniły się władze łódzkiego Wydziału Zdrowia, dyrektor i inspektor wojewódzki, który sprawował bezpośrednią pieczę nad tymi placówkami. Decyzją prezydenta Łodzi, Józefa Niewiadomskiego, dla wzmocnienia kontroli zostały powołane stanowiska zastępcy dyr. Wydziału Zdrowia do spraw Opieki Społecznej i pielęgniarka wojewódzka do spraw Opieki Społecznej.

Szok, jaki przeżyli pensjonariusze Domu miał i ten skutek, że niektórzy postanowili opuścić jego progi i próbować żyć w normalnym środowisku. Tak zadecydowało małżeństwo Rudziszów. Otrzymali mieszkanie w gminie Andrespol. Przy rozstaniu z Wiśniową Górą wręczono im paczkę z zimowym ubraniem. Nikt więcej już się ich losem nie interesował, choć do takich spraw powołany jest Ośrodek Opiekuna Społecznego. Obydwoje kalecy, niezbyt sprawni, całymi tygodniami utrzymywali się z jednej niewysokiej renty. Na domiar złego pieniądze, z powodu zmiany adresu, długo nie trafiały do Haliny Rudzisz. Potem były kłopoty z wyrównaniem. Rudziszowie żyli w skrajnej nędzy. Brakowało im wszystkiego, węgla, sprzętu domowego, nawet garnków... Święta Bożego Narodzenia 1982 roku spędziliby przy skibce suchego chleba, gdyby nie pomoc sąsiadów. Żaden pracownik socjalny z Ośrodka Opiekuna Społecznego Łódź-Widzew nie pofatygował się sprawdzić, jak żyją ludzie, którzy po tak ciężkich przejściach opuścili zakład w Wiśniowej Górze, mimo że od ich wyjścia do świąt minęły długie tygodnie.

II. JAK JEST TERAZ!

Stosunek nowego dyrektora Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych w Wiśniowej Górze — Tadeusza Kubiaka — do wydarzeń bezpośrednio poprzedzających jego przybycie jest jednoznaczny:

— *Pański artykuł był szukaniem taniej sensacji... Dobrze, że teraz dziennikarz musi pisać tak jak trzeba! Bezpowrotnie skończyły się czasy sobiepaństwa i warcholstwa. Na teren zakładu może pan wejść tylko za moją zgodą i po uprzednim zgłoszeniu. Żadnych dzikich odwiedzin!*

Z inicjatywy Tadeusza Kubiaka redakcja „Prawa i Życia" otrzymała list potępiający „szkalowanie dobrego imienia" pracowników domu w Wiśniowej Górze. Podpisał go dyrektor, jego zastępca i parę zaufanych osób.

Udało mi się w końcu porozmawiać z pensjonariuszami. Pomogła wysoka protekcja zastępcy dyrektora Wydziału Zdrowia w Łodzi, dr Włodzimierza Petrenko.

— *Zmieniło się — jest lepiej, już nie biją!* — powiedział jeden z chorych.

Rzeczywiście, poprawę widać ogromną. Bardzo wzrosła liczba personelu — do 82 osób. Obecnie pracuje 21 pielęgniarek (w czasie opisywanych wydarzeń było zaledwie pięć) i 22 salowe. Jest to obsada wyjątkowa, podobnej nie ma żadna placówka opieki społecznej w Łodzi. Zawdzięczać ją należy byłej wykładowczyni szkoły pielęgniarskiej, a obecnej przełożonej domu w Wiśniowej Górze, Krystynie Płużek, której zaangażowanie i ofiarność są gwarancją, że do powtórnych anomalii już tu nie dojdzie.

Lekarza jednak na etacie nadal nie ma. Z doskoku opiekuje się chorymi dwóch internistów i jeden psychiatra. St. sierżant E. Zajdler — funkcjonariusz posterunku MO w Wiśniowej Górze mówi:

— *Często zaglądam do tego domu. Rozmawiam z pensjonariuszami i personelem. To nie to co dawniej! W zachowaniu ludzi nie widać już strachu. Jedzenie też się znacznie poprawiło. I opieka chyba lepsza. Nic skandalicznego się nie dzieje, nikt nie głodzi chorych, nie przywiązuje do łóżek.*

W Wiśniowej Górze przebywa obecnie 100 pensjonariuszy. Dyrektor zadbał o remonty. Nowa, doskonale wyposażona kuchnia, przestronna stołówka, funkcjonalna pralnia, kotłownia są dumą zakładu. W starym pawilonie, gdzie mieszczą się mężczyźni, niestety, jest ciasno, ale wszędzie czysto, zadbane. Kuchnia oddziałowa przebudowana, już bez wanny, węglowego pieca. Obok wydzielona łazienka. Szkoda tylko, że nowy szef, zafascynowany udoskonalaniem, pochłonięty licznymi troskami gospodarza administracyjnego, ma zbyt mało czasu na zajęcie się problemami pensjonariuszy. A brakuje im w dostatecznej ilości odzieży, bielizny, skarpet. Handel nie reaguje na zamówienia. Zakład nie ma żadnych przydziałów. Chorzy skazani są na przypadkowe wsparcie — czasami GS w Andrespolu sprzeda parę skarpet czy trochę bielizny.

Problemy chorych upośledzonych umysłowo nie są traktowane serio, żadna instytucja, zakład produkcyjny nie chcą przyjść im z pomocą. Nie ma również materiałów odpadowych do terapii zajęciowej. Wszystko sprzedawane jest z zyskiem spółdzielniom rzemieślniczym, prywatnym wytwórcom. Wygląda to tak, jakby w dobie kryzysu chorym psychicznie nie należało się nic, jakby stanowili balast społeczny.

Lekceważenie to przejawia się różnie, nawet w drobiazgach. W Wiśniowej Górze brakuje „kaczek", „basenów". O maszynę do szycia walczono dwa lata. To samo z żelazkami, w końcu udało się zdobyć dwa. Zresztą dom ma jeszcze inne poważne problemy. Dla lekarza wojewódzkiego, Ryszarda Machnikowskiego, są to nieistotne drobiazgi, szukanie dziury w całym. Oświadczył mi: on takich spraw nie musi znać, są od tego inni, którym płaci (?), w ogóle nie musi udzielać żadnych informacji! Ale dr R. Machnikowski w Wiśniowej Górze nigdy nie był. A szkoda! Do niedawna dom miał ogromne kłopoty ze starą „nysą" dowożącą ludzi, zaopatrzenie. Często psuła się w drodze. Mimo próśb o przydział nowej, Wydział Zdrowia nie reagował — ponoć były trudności obiektywne. Dopiero po wizycie w zakładzie wiceprezydenta Jana Nosko, 17 września 1983 r., wiadomość wreszcie, bez sztucznej blokady, dotarła do dyrektora Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego, Włodzimierza Hulewicza, który błyskawicznie załatwił sprawę, po prostu dał nowy samochód. Przy okazji zlikwidował także inny uciążliwy problem — przydzielił sanitarkę, która będzie wozić chorych na konsultacje, zabiegi, etc.

Dom nadal ma problemy z umieszczeniem swoich podopiecznych w szpitalach. Rejonowy im. Sonnenberga (dla dzielnicy Widzew) wcale nie chce ich przyjmować i dla tamtejszych lekarzy zupełnie nie jest ważne, że ludzie ci cierpią na różne schorzenia somatyczne. Ta sprawa również leży poza zainteresowaniami Wydziału Zdrowia, wydaje się jednak, że w końcu będzie musiał się nią zająć. Nowy wiceprezydent resortowy jest bardzo dociekliwy, szybko dociera do wielu skrzętnie ukrywanych nieprawidłowości.

III. CZEGO JESZCZE POTRZEBA!

Nigdy też nie odwiedził domu „za drutami" w Wiśniowej Górze minister zdrowia i opieki społecznej. Resort potraktował ujawnione skandaliczne fakty jak incydenty. W którymś z ubiegłorocznych wywiadów minister oznajmił publicznie, że psychiatria uzyskała już wszelkie możliwe preferencje, również płacowe, nie cierpi także na brak kadry. Oto skutki nieruszania się zza biurka.

Dobrze byłoby, aby ktoś z resortu obejrzał osobiście tzw. szpitale prowincjonalne, te poza dużymi aglomeracjami miejskimi pozbawionymi ośrodków akademickich, klinik. Na przykład w Warcie, Sieniawce, Lubiążu. Zapoznał się z warunkami leczenia i życia chorych, ogromnymi kłopotami kadrowymi, z jakimi borykają się te placówki.

Dopóki psychiatria nie odzyska swoich preferencji — 6-tygodniowego urlopu, dodatku psychiatrycznego, etc., nie można liczyć na napływ chętnych. Praca w szpitalach jest, poczynając od lekarzy a kończąc na salowych, niezwykle trudna, wymagająca szczególnych predyspozycji. Tym trudniejsza, że w nielicznym gronie.

W jeszcze gorszej sytuacji są domy pomocy społecznej o tym profilu. Są wyłącznie przechowalnią ludzi w najgorszym tego słowa znaczeniu. A trafiają tam najbiedniejsi, pozbawieni rodzin, wszelkiej pomocy, opieki — ludzie, o których się nikt nie upomni. I jeżeli znajdzie się personel podobny temu, jaki działał w Wiśniowej Górze do roku 1981, życie — pożal się Boże — podopiecznych staje się nie do zniesienia i trzeba rzeczywiście przypadku, aby je unormować. Minister Tadeusz Szelachowski, ustosunkowując się do mojego reportażu o Wiśniowej Górze w „Prawie i Życiu", wyraził współczucie bitym, głodzonym, uronił kilka łez nad ich losem, ale równocześnie zarzucił autorowi tanią sensację i bujną wyobraźnię, mimo iż miał na biurku prawomocne wyroki skazujące.

Czy trzeba następnego skoku przez okno, aby opinia publiczna dowiedziała się, że takich „Wiśniowych Gór" jest więcej?

Nie remontuj swego wraka

Przez długie miesiące bezskutecznie poszukiwałam w sklepie aluminiowego garnka średnich rozmiarów. Wreszcie znalazłam. Bez kolejki. Ekspedientka lojalnie uprzedziła: nikt prawie tych garnuszków nie kupuje, bo nie wyjmują się pokrywki. Uznałam, że to drobiazg bez znaczenia. Skoro pokrywki były robione na miarę garnków, na dodatek przez tak znany w tej dziedzinie zakład w Olkuszu — to na pewno wszystko jest w porządku. Tym bardziej, że na metce widniało wyraźnie „jakość I".

W domu próbowałam różnie: wyciągnąć za uchwyt palcami, potem obcęgami, podgrzać na gazie, oziębić pod strumieniem wody, podważyć nożem. Wreszcie rąbnęłam ciężkim młotkiem.

Pogięta pokrywa wyskoczyła i garnek, co prawda trochę porysowany i zdeformowany, został. Już przy pierwszym użyciu okazało się, że zbyt szczelnie dopasowana pokrywka nie jest jego jedyną wadą. Uchwyty, wykonane ze specjalnego tworzywa, mającego chronić przed poparzeniem rąk, rozgrzewają się strasznie, bowiem przez całą ich długość przechodzą śruby mocujące. Przypalane w ten sposób tworzywo śmierdzi w czasie gotowania w całym domu, śruby co kilka dni wypadają. Mam więc garnek-bubel, ale mimo to cieszę się, że go mam, bowiem naczynia kuchenne należą do tych, podstawowych przecież, towarów, których brakuje na rynku.

Co prawda na ostatnich, jesiennych targach w Poznaniu, pokazano bardzo udaną kolekcję naczyń — funkcjonalnych i ładnych, ale... producenci nie umieścili na metkach informacyjnych proponowanych ilości swych wyrobów. Ekspozycja nie była ofertą — jak być powinno na targach — lecz pokazem możliwości. Dodajmy — możliwości znanych od lat, bowiem dokładnie takie same (a może nawet te same?) naczynia pokazywano w roku ubiegłym i jeszcze dawniej. W sklepach natomiast pojawiały się czasem — choć rzadko — równie udane egzemplarze garnków pojedynczych, nigdy natomiast nie udało mi się zobaczyć (nie mówiąc już o kupieniu) kompletu. Nie widziałam go również u żadnej ze znajomych.

Naczynia kuchenne były jednym z bardzo niewielu wyrobów, którymi przemysł elektromaszynowy zaznaczył swą obecność na najpoważniejszej przecież imprezie handlowej w kraju. A przecież w tej branży powstaje szereg różnorodnych i bardzo poszukiwanych towarów — od wspomnianych już naczyń, poprzez zmechanizowany sprzęt gospodarstwa domowego, sprzęt elektroniczny, RTV, maszyny, urządzenia i narzędzia dla rolnictwa aż po pojazdy jedno- i dwuśladowe. Ich brak w Poznaniu świadczy chyba o tym, że przemysł elektromaszynowy niewiele ma nam do zaoferowania. Potwierdzają to wędrówki po sklepach.

Tymczasem konferencja z przedstawicielami resortu Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego, w której uczestniczyli również dyrektorzy kilku dużych fabryk, produkujących towary rynkowe, upłynęła w atmosferze optymizmu i wiary w lepsze jutro. Bo np. czy można mówić, że jest bardzo źle, skoro w roku bieżącym z ponad 200 zakładów tej branży, produkujących wyrób finalny, trafiło na rynek 20 proc. towarów więcej, niż w roku ubiegłym? (Wzrost, co prawda, liczony jest wartościowo, nie zaś w sztukach, ale zawsze...). Na dodatek coraz więcej jest towarów dobrych i bardzo dobrych (ze znakiem „Q" i „1" w r. ub. trafiło na rynek wyrobów za 50 mld zł, w br. — za 59 mld). Są one co najmniej tak dobre, jak mój garnek w I gatunku. Pralki automatyczne i telewizory, zwłaszcza kolorowe, rodzimej produkcji, na które tak narzekamy, są — jak się okazuje — wcale nie najgorsze, tyle że nam trudno to zauważyć. Ich międzyawaryjny czas pracy (tzn. ilość godzin między jedną a drugą naprawą) jest dłuższy, niż podobnych urządzeń produkowanych za granicą, zarówno w krajach socjalistycznych, jak i kapitalistycznych. Czyżbyśmy mieli jednak wkrótce zagrozić pod tym względem Japonii? Trafiają się oczywiście buble, ale część z nich nie dociera nawet do sklepów — są wycofywane w czasie odbioru zewnętrznego. Te właśnie, po naprawie — można kupić taniej niż w sklepie (co prawda bez gwarancji) od pracowników zakładu, który taki nieudolny wyrób wyprodukował. Jest to więc dla załogi pewna forma „premii za jakość". Te pralki z psującymi się natychmiast programatorami czy telewizory z rozmaitymi wadami, które jednak trafiły do klientów, objęte są oczywiście systemem napraw gwarancyjnych. Często trwają one bardzo długo, bowiem brakuje części zamiennych. Korzyść z tego dla użytkownika, bowiem gdy urządzenie stoi w punkcie usługowym, przynajmniej się nie zużywa.

Brak części nie jest bynajmniej wynikiem kryzysu. Jest to sprawa nie rozwiązana od wielu lat — chyba równie długo, jak istnieje przemysł elektromaszynowy. Mszczą się tu błędy, popełnione już przy projektowaniu mocy produkcyjnych nowych zakładów (nikt przy tym nie pomyślał o budowie — wraz z gigantem — kilku małych, wyłącznie na części nastawionych zakładzików), ale w dużym stopniu winni są również... klienci. Po prostu zapotrzebowanie na części zamienne jest u nas duże, znacznie większe niż gdzie indziej, co widać jaskrawo zwłaszcza na przykładzie samochodów czy ciągników. Otóż w czasie, gdy „normalny" użytkownik samochodu odstawia swój pojazd na złom — my „rzucamy się" na części, próbując w nieskończoność przedłużać jego żywot. Nasza rzeczywistość wymaga ponoć innego niż w całym świecie spojrzenia na problem części. No to spójrzmy wreszcie nie tracąc czasu na szukanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego do tej pory nikt w sposób właściwy nie spojrzał.

To tyle o tym, że jest nieźle, a teraz kilka słów o tym, że będzie lepiej. Otóż w latach 1984—85 ma nastąpić 50-procentowy wzrost produkcji rynkowej przemysłu elektromaszynowego (w warunkach porównywalnych), m. in. poprzez zmiany programów produkcyjnych w niektórych fabrykach, zwiększenie efektywności pracy (taki zamiar objawiają zresztą wszystkie resorty), oraz dzięki polityce preferencyjnej państwa. M.in. zamówieniami rządowymi na rok przyszły objęto kilkadziesiąt podstawowych wyrobów, wśród nich pralki, lodówki, naczynia. Tych ostatnich ma być w roku 1984 — 42 mln (Dla porównania w roku 1980 — 44,5 mln, w br. 19 mln). Nie oznacza to, że będą je mogli kupić wszyscy chętni. Gdy w czasie konferencji padło pytanie, za ile lat przewiduje się zrównoważenie podaży i popytu na podstawowe artykuły przemysłu elektromaszynowego odpowiedź była również w formie pytania: czy rzeczywiście wszyscy muszą mieć automatyczną pralkę? Pewno, że nie wszyscy. Ja nawet nie chcę. Chciałabym tylko, aby w tym 50-procentowym wzroście dostaw znalazł się dla mnie garnuszek.

KLIENTKA

JACEK BINKOWSKI

Agonia?

W niektórych europejskich miastach Lunapark, czyli popularne „wesołe miasteczko" nadaje ton miastu, wyróżnia metropolię Wiedeń kojarzy się z legendarnym już Praterem Kopenhaga z Tivoli. Natomiast w Polsce może z wyjątkiem miasteczka w Chorzowie, tradycje Lunaparków są raczej znikome Również w Łodzi. Kiedy w 1975 roku Szwedzi sprowadzili swoje urządzenia i stworzyli polsko-szwedzką spółkę wszystko trzymało się kupy. Urządzenia były raczej nowe i nie wymagały generalnych remontów. Krótko mówiąc w parku na Zdrowiu było rzeczywiście wesoło, dzieci miały frajdę, dorośli kłopot z wymyślaniem rozrywek i form spędzania wolnego czasu dla swoich pociech z głowy. Nawet odejścia od spółki firm szwedzkich nikt nie przyjmował ze strachem.

Dzisiaj sytuacja łódzkiego Lunaparku wygląda nie najweselej. Przyszedł czas, kiedy nowe kiedyś urządzenia stały się nagle starymi, a te kupione jako używane zamieniły się w kupy najzwyczajniejszego złomu. Nad kierownictwem Lunaparku zawisł problem generalnych remontów. Cykliczne konserwacje przestały nagle wystarczać.

Mirosław Gliwiński — kierownik Lunaparku — powiada, że niektóre urządzenia należałoby po prostu zastąpić nowymi, do jeszcze innych dorobić całkowicie nowe części, a w ogóle większość poddać kapitalnym remontom.

— Na silniku jednej z naszych „imprez" konserwatorzy odkryli rok produkcji — 1920. Jak łatwo policzyć od chwili jej wykonania minęło kilkadziesiąt lat. Nic więc dziwnego, że się systematycznie psuje. W tym roku eksperci nieomal warunkowo dopuścili do ruchu kolejkę górską. Wiadomo przecież, że głównie chodzi o bezpieczeństwo korzystających z urządzeń. Jak będzie w przyszłym roku — nie wiadomo. Kolejka górska jest najatrakcyjniejszą imprezą Lunaparku, jej wycofanie z użytku byłoby olbrzymią stratą dla odwiedzających.

Właścicielem łódzkiego Lunaparku są Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. Do ZPR-ów należy większość znajdujących się na Zdrowiu urządzeń, część jest własnością prywatnych agentów oraz miasta. Własnością miasta jest również teren, za który ZPR-y płacą dzierżawę i 20-procentowy podatek od obrotów. Łącznie około 2,5 miliona złotych rocznie. I praktycznie rzecz biorąc do pobierania tych pieniędzy ograniczały się władze miasta. Dzisiaj natomiast Lunapark potrzebuje pomocy. Potrzebuje pieniędzy na remonty, nowe urządzenia, zagospodarowanie terenu i inne prace. Jak wyliczono w ZPR-ach na same remonty starych urządzeń potrzeba przynajmniej 10 milionów złotych, nie mówiąc już o zakupach, skoro sama karuzela kosztuje do 16 mln zł Tymczasem możliwości finansowe tej firmy to 1,5 mln rocznie na inwestycje.

W maju br. sporządzono Raport o stanie Lunaparku w Łodzi. Sporządzono Raport z myślą o szerszym zapoznaniu określonych władz z sytuacją, jaka w chwili obecnej panuje na terenie Lunaparku i znalezieniu konkretnych rozwiązań.

Z Raportu wynika, że na terenie Lunaparku znajdują się 42 imprezy oszacowane na 36 mln zł. Z Raportu wynika też, że praktycznie wszystkie urządzenia są w złym stanie technicznym. Wycofano z użytku karting z powodu braku możliwości remontu silników, wycofano ślizg duży z powodu spaczenia płyt ślizgowych, wycofano młyn hiszpański z powodu złego stanu technicznego konstrukcji. Od lat nie funkcjonuje karuzela uchylna „Calipso" z powodu zużycia przekładni gondoi. Remontów wymagają pawilony gastronomiczne, radiofonia i oświetlenie terenu.

„Podstawowym problemem istnienia i rozwoju Lunaparku w Łodzi jest utworzenie jasnego i stałego statusu prawnego tj. głównego gospodarza i bezterminowego czasu działania na zasadzie wieczystej dzierżawy... — piszą twórcy Raportu.

I dalej:

„... Jedną z podstawowych przyczyn obecnego kryzysu w Lunaparku były wcześniejsze propozycje zmiany lokalizacji, zmiany głównego użytkownika zabrania mu pomieszczeń warsztatowych przy ul. Konstantynowskiej, jak również wytwarzana za pośrednictwem łódzkiej prasy atmosfera, jakoby Lunapark był wielkim zagrożeniem dla środowiska naturalnego parku na Zdrowiu.

Wszystkim autorom wspomnianych wyżej propozycji z całą odpowiedzialnością odpowiadamy, że przenoszenie Lunaparku na mało atrakcyjne obrzeże miasta oznaczać będzie jego koniec..."

Zastępca dyrektora d/s techniczno-eksploatacyjnych ZPR mgr Stanisław Kusztelak:

— Właściwie do tej pory nie jest wyjaśniona sprawa lokalizacji Lunaparku. Były propozycje, żeby go przenieść na teren Brusu. Uważamy, że przeniesienie Lunaparku w tamte rejony nie ma najmniejszego sensu, na całym świecie „wesołe miasteczka" są w centrum metropolii i nikomu to nie przeszkadza. Wprost przeciwnie — jest wygodny dojazd. Argumenty przeciw są po prostu dziwne. Do Naczelnika Dzielnicy wpływają pisma od mieszkańców Osiedla im. Mireckiego, że w związku z naszą działalnością naruszana zostaje równowaga biologiczna wśród ptaków. Skarżą się też emeryci, że muzyka z naszego radiowęzła bardzo im przeszkadza.

Inny problem to przeniesienie wszystkich urządzeń w inne miejsce W przypadku wielu „imprez" jest to po prostu niemożliwe ponadto samo uzbrojenie nowego terenu pod Lunapark kosztowałoby około 50 mln zł. Krótko mówiąc, jedynym miejscem jest obecne. Osiem hektarów powierzchni, bo taką posiadamy, w zupełności wystarczy nawet na rozbudowę.

Po uzyskaniu niezbędnego statusu prawnego i stałej lokalizacji pozostaje sprawa remontów. Na pytanie, czy grozi Lunaparkowi całkowity rozpad — dyrektor Kusztelak odpowiada twierdząco. Zaprzestanie działalności jest całkowicie realne w przypadku niepodjęcia natychmiastowych działań. Któż może bowiem przewidzieć czy jutro nie „wysiądzie" następne urządzenie, czy eksperci dopuszczą je do eksploatacji.

— Liczymy na pomoc ze strony zakładów pracy, które mogą nam wykonać wiele części zamiennych. Taki kontakt, jak na razie, nawiązaliśmy z widzewską „Wifamą". Powinniśmy być przecież wspólnie zainteresowani funkcjonowaniem Lunaparku, doprowadzić do tego, żeby było to atrakcyjne miejsce w naszym mieście.

Kierownik obiektu — Mirosław Gliwiński — twierdzi, że niezbędne jest rozbudowanie bazy gastronomicznej, wybudowanie przynajmniej jednego piętrowego baru-kawiarni. Umożliwiłoby to dłuższe przebywanie na terenie Lunaparku wycieczkom, które są ograniczone posiłkami. Trzeba też pomyśleć o zakupie nowych i bardziej atrakcyjnych urządzeń...

Na razie jednak brakuje dziesięciu milionów na remontowanie starych, brakuje wykonawców, części i... większego zainteresowania określonych władz. Sądzę, że do tej pory traktowano łódzkie „wesołe miasteczko" z przymrużeniem oka, z niejakim pobłażaniem. Że wszystko na Zdrowiu jakoś się kręci, przynosi nawet dochód i nie ma żadnej sprawy. Wynikało to również z braku tradycji i dystansu władz miasta do tego typu imprez, chociaż wiadomo, że dzieciaki kochają swoje „wesołe miasteczko", że w dni wolne od pracy klientów liczy się już w tysiącach, a dochód w setkach tysięcy. Chociaż, nie o dochód, sądzę, głównie w tym wszystkim chodzi.

Kierownik Gliwiński:

— Frekwencja była u nas zawsze, nie było niedzieli bez kolejek przy kasie. Prawie każda wycieczka, która przyjeżdża do Łodzi nie omija ZOO i Lunaparku. Ludzie pytają dlaczego niektóre urządzenia nie są czynne. Tłumaczymy, że to chwilowo, że niedługo będą działały. Trochę na wyrost, bo przecież w gruncie rzeczy nie nie wiadomo.

Chcielibyśmy ten łódzki Lunapark uatrakcyjnić, spowodować, żeby nadawał ton miastu...

Cytowany wcześniej raport mówi:

„Warto rozważyć propozycje wybudowania kilku obiektów stałych na terenie Lunaparku i prowadzenia działalności przez cały rok, jak również propozycję powołania spółki polonijnej w zakresie rozrywki tego typu. Proponuje się:

— obiekt stały dla „skcotera", kręgielnię z kawiarnią, sztuczne lodowisko, wybudowanie gwiazdy wznoszącej się ponad drzewostan, karuzeli z gondolami pływającymi po wodzie w fosie oraz stałego pawilonu gier zręcznościowych i automatów losowych..."

O ile generalne remonty urządzeń można wykonać za złotówki i przy pomocy zakładów pracy, to zakup nowych wymaga, jak wiadomo, dewiz. Rodzime urządzenia do Lunaparków wykonywane w Szydłowcu są stosunkowo kiepskie i astronomicznie drogie. Wiadomo więc, że rozbudowa łódzkiego „wesołego miasteczka" jest, póki co, tylko pobożnym życzeniem i odległą propozycją. Pozostaje jeszcze możliwość budowy nowych „imprez" systemem gospodarczym w zakładach pracy.

Tylko, jak na razie, realia są zupełnie inne. Jak do tej pory nie ma żadnego odzewu władz na sporządzony przez ZPR-y i kierownictwo Lunaparku Raport. Sprawa, jak to się popularnie mówi, najprawdopodobniej dojrzewa. Tymczasem urządzenia z dnia na dzień niszczeją, zainteresowane Lunaparkiem osoby cały czas nie wychodzą poza pytanie „być albo nie być" i zastanawiają się czy jest to już agonia, czy też trwanie. Siłą rozpędu, bezwładności i nadziei. Dopiero przecież skończył się kolejny sezon i jest jeszcze sporo czasu do rozpoczęcia działalności w przyszłym roku. Może w określaniu dzisiejszej sytuacji jako agonii jest dużo histerii i niepotrzebnych wrzasków. Czy wreszcie miasto nie ma poważniejszych problemów niż jakiś tam Lunapark, wątpliwa rozrywka naszych miłusińskich?

Foto: M. Zajdler

Żywy góral i pieczony baran...

Na zatłoczonej stronie ogłoszeniowej w gazecie puste miejsce momentalnie rzucało się w oczy. Prawdę powiedziawszy nie było całkiem puste, bo okolone ramką zachęcało u samego dołu drobnym drukiem do korzystania z usług prywatnej agencji turystycznej „Atlas". Krótka reklama sugerowała — oprócz wczasów i weekendów — podróże poślubne, pieczonego barana i żywego górala....

Ciekawa sprawa — wszak w turystyce, tej krajowej, wymyślono już wszystko, lub prawie wszystko. — W zależności od pory roku we wszelkiej maści biurach turystycznych przykłada się do klienta szablon, według którego wypoczywał on identycznie parę lat temu i obecnie. Sezony płyną — nic się nie zmienia, latem morze, zimą góry, po dwa tygodnie, no może minimalnie ceny wzrosły. Aż tu raptem zaczyna ktoś jakieś nowości klientowi proponować, utarte metody zmieniać, na pieczonego barana zapraszać! Krótko mówiąc postanowiłem sprawdzić, czy to tylko chwyt reklamowy, czy może małymi kroczkami w turystyce „idzie nowe"...

Agencja „Atlas" zajmuje niewielki pokoik w jednym z bloków przy ulicy Wierzbowej. Dwaj młodzi ludzie pochyleni nad maszyną do pisania kończą redagować szczegóły najnowszej „bomby" turystycznej — podróży poślubnych. Sugerują nieograniczone możliwości: „zaciszną leśniczówkę z pełnym komfortem, bacówkę bez komfortu, ale za to ze źródlaną wodą", a także dla chętnych — „czterogwiazdkowy hotel „Mrągowia" z sauną, basenem i łożem małżeńskim o rozmiarach przekraczających wyobraźnię".

Zerkam im przez ramię, notując w pamięci proponowane środki transportu: rower tandem z bagażnikiem, wagon sypialny, polonez w kolorze do wyboru, taxi do dyspozycji przez 24 godziny na dobę, na specjalne życzenie wóz drabiniasty...

— Z tą ostatnią pozycją chyba jednak przesadziliście — jakoś nie daję wiary ich możliwościom.

— Zaręczam panu, że nie przesadziliśmy i wóz także jest realny — jeden z szefów firmy, Kostek Szwemberg, lekko się zaperza. Pracowałem przez wiele lat przy produkcji filmów, wiele kontaktów zachowałem do dziś i rzeczy trudne załatwiamy od ręki, a niemożliwe — w parę godzin. Jeśli ktoś życzy sobie bardziej oryginalny środek transportu — będzie go miał. Podobnie z wyżywieniem w trakcie podróży poślubnej — od kawioru i polędwicy — do bryndzy i pieczonego barana.

— Bez szampana?

— Jest i szampan, na koszt firmy!...

— To jeszcze drobny szczegół: ceny?

— W zależności od sugestii zainteresowanych. Dla przykładu tylko podam, że tydzień w komfortowych warunkach kosztuje dwie osoby w granicach piętnastu tysięcy, w „Mrągowii" czy w bungalowie z klimatyzacją, ale jeśli zdecydują się na przytulną bacówkę w Gorcach — „zmieszczą się" w paru tysiącach raptem.

Istnieją od 17 grudnia ubiegłego roku, czyli dość krótko. Ale zacięcie turystyczne, pomysłowość i rzetelność w realizacji wszystkich propozycji sprawiła, że okres „raczkowania" mają dawno za sobą, a z ich usług skrzystało już ponad 2,5 tysiąca osób. Z tego 4, słownie: cztery osoby miały niewielkie zastrzeżenia co do szczegółów imprezy, a w Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług mają wciąż czyste konto.

— Każdy klient jest u nas traktowany indywidualnie — wtrąca drugi szef Grzegorz Rachaus.

— Toż to właśnie klasyczny stereotyp, którym chętnie szermują wszystkie biura turystyczne w kraju — ripostuję.

— U nas jest to realne i wierzę, że będzie zawsze, a propozycji mamy naprawdę dużo. My nie siedzimy tu, w biurze, niemal bez przerwy jesteśmy w podróżach, szukamy kontrahentów, podpisujemy umowy, sprawdzamy najpierw na własnej skórze możliwości wprowadzenia nowych form wypoczynku.

— No dobrze, przed nami sezon zimowy, rzućcie parę ciekawszych propozycji...

— Jest tego naprawdę dużo. Oprócz klasycznych wczasów w różnego rodzaju pensjonatach, mniej lub bardziej komfortowych, różnorodne obozy narciarskie (także z instruktorem), zimowiska, dla rodziców z dziećmi i dla samej młodzieży. Nasza główna baza zimowa to Karpacz, tam mamy sporo miejsc, ale jest i Lądek Zdrój, gdzie wyciąg narciarski rusza dosłownie spod pensjonatu. Chcemy być naprawdę nietypowi — nie sugerujemy Zakopanego i jego utytułowanych okolic, ale Gorce, równie piękne, a czystsze i tańsze. Właśnie wspomnianego barana i prawdziwego górala proponujemy w Ochotnicy, Kamienicy, Szczawie.

— Ale parę szczegółów; na przykład w Karpaczu ktoś pragnie spędzić dwa tygodnie w godziwym standardzie.

— Proszę bardzo: nowy pensjonat, pokoje z łazienkami, na miejscu stołówka (kartki zostawiamy w domu...), sala telewizyjna z kominkiem, sauna i maleńki basen. Koszt, w granicach 11 tysięcy, biorąc pod uwagę ewentualną refundację zakładu pracy, nie jest chyba zbyt wysoki.

— Oferujecie także słynny z zastraszających cen hotel „Mrągowia". Czy to nie jest zbędna propozycja?

— Nie, z „Mrągowią" doskonale nam się współpracuje, kierownictwo obiektu ma znakomite wyczucie sytuacji i wspólnie staramy się unikać szablonu. A ceny? Faktem jest, że w sezonie dwuosobowy pokój kosztuje za dobę 1600 złotych, ale po sezonie ten sam „spada" do 900 złotych. U nas „Mrągowia" jest poza tym tańsza niż wykupiona w „Orbisie", bowiem nie bierzemy tak wysokiej marży.

— Wyczarterowaliście ponoć od konkurencji autokar?

— Tak, było z tym sporo zachodu, ale mamy autokar.

Chcemy w nim zainstalować telewizor i — być może — nawet magnetowid, by nasi klienci mogli w trakcie podróży oglądać atrakcyjne filmy.

— Na brak pomysłów nie narzekacie jeszcze?

— O nie, aby się tylko wszystkie udało zrealizować. Mamy dla przykładu w planach wycieczki do wszystkich najlepszych teatrów w kraju, na najbardziej atrakcyjne spektakle. Dogrywamy szczegóły wypraw na kabaret „Pod Egidą" do krakowskiej „Piwnicy pod Baranami", poznańskiej galerii pani Lorentz. Będzie i yoga na wczasach i wypoczynek z gimnastyką czyli aerobic, współpracujemy już z galerią Andrzeja Mleczki i uczestnicy naszych wycieczek do Krakowa otrzymują jego kapitalne książeczki z własnoręczną dedykacją pana Andrzeja.

Propozycji mają więcej, lecz świadomie ich nie wymieniam. Zdaję sobie bowiem sprawę, że „wychylanie" się ponad szarzyznę i przeciętność często kończy się katastrofą. Głośna sprawa innego łódzkiego biura turystycznego wkrótce znajdzie swój finał w Naczelnym Sądzie Administracyjnym. Urzędasy, bo tylko tak można ich nazwać, usiłują wszelkimi metodami zlikwidować biuro, które ich zdaniem powinno swą działalnością turystyczną obejmować jedynie teren miasta. A może tylko kilku ulic?! Ręce opadają.

Pełni werwy szefowie agencji „Atlas" oczekują także na weryfikację, której mają być poddane wszystkie w kraju prywatne biura podróży. A póki co — zapraszają na pieczonego barana. I nie tylko.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Jerzy Wawrzak

Jeszcze warto trochę poumierać razem

Jeszcze warto powiedzieć dwa słowa o miłości
wszystko inne nie warte jest nawet wspomnienia
było przeszło umarło jak złamana gałąź
w proch się rozsypało z wiatrem uleciało

Jeszcze warto przywołać tę leśną polanę
ognisko twego brzucha w trawach zatopione
słony potu strumyczek w białej delcie szyi
ucieczkę drzew wstydliwych w granatową chmurę

Jeszcze warto łzę nierozumną pochwycić językiem
na dnie oka wypatrzyć kropelkę bursztynu
posłuchać jak milczy twe bezbronne ciało
strwożone i czujne nad skrajem przepaści

Jeszcze warto trochę poumierać razem
pomodlić się do siebie pożegnać nadzieje
smaku warg szukać w dotknięciu chłodnego metalu
przed nocą wejść ukradkiem na sam szczyt południa

Jeszcze warto powiedzieć dwa słowa o miłości
wszystko inne nie warte jest nawet wspomnienia
na dwóch krańcach odległości zostaniemy razem
wszystko inne już było — nic się już nie zdarzy.
X. 1983.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Jerzy Waleńczyk

Rymy sieradzkie

Gdzież nam do świetnej Norwida ironii,
Gdzież nam, my, którzy bokiem, boczkiem,
Gdzież nam do Wyżyn Patagonii,
Stulecie przecież nie mija przez chwilkę,
Sukienką klasztorną błyskają cystersi,
Może na Sieradzu panowali pierwsi,
Gdzież nam, gdy Świętych Wszystkich jeszcze nie czas,
Gdzież nam, gdy słońce ledwo nam przyświeca,
Kiedy rycerskość wobec dam tu bywa
Daleka, jak ruiny Niniwy,
Jak Babilonu sprawy,
Gdzież nam, gdy jaszczurki grzeją się na murach,
Gdzież nam, gdy ptaki rzucają nam pióra,
I rycerska tarcza targować się godzi,
Gdzież nam do świetnej jazdy ponad-Duchów,
Gdy zło nam mówi, że się żyć opłaca,
Że Warta płynie, czyżby nurt jej wracał,
Z północy na południe od ujścia do źródeł?
My cisi, mnisi jak dominikanie.
Mówimy: „Wielbimy Cię tu, Chryste Panie",
Mówimy: „Z powietrza łódzki dym i sadza",
Mówimy: „Jedziem jedziem do Sieradza".
Towarzysze rynsztunków, Achillesa tarczy,
Towarzysze rymów, wolni i folwarczni,
Towarzysze przesądów, zabobonów.
A Warta idzie do Odry, jak za Klonowicza,
I flisacy śpiewają albo czasem milczą.
Za opłotkiem co jest, może błękit jakiś,
Może Krakowskie Przedmieście dla niepoznaki,
Bucefał, czyj koń, może Aleksandra,
Kasztanka, czyj koń, minionego Wodza,
Krótka Rzecz-Pospolita, odgryza się przecież,
Krakowskie Przedmieście z Sieradza,
Czy Sieradz z Krakowskiego Przedmieścia?
Na targ coś wiozą Może rybę, leszcza,
Kościół Ducha Świętego asceze upiększa,
To co brakuje, czy laurów do wiersza?
Pogoda niech dopisze barometry także,
Śmiech czasem ascetyczny A Warta zaszczyca
Flisaków pana Sebastiana Klonowicza.
A zając, póki jeszcze nie pasztet zajęczy,
Funkcja osobową niech drogę uwieńczy,
Bo co chcieć?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Saksońskie skojarzenia

Saksonia po tamtej stronie granicy nazywa się Sachsen. Starszym czytelnikom kojarzy się ta nazwa z pewnością z jeżdżeniem „na saksy", choć przedstawiciele ostatniej z narodowych emigracji zarobkowych — tej sprzed paru lat — wyraźnie woleli w takich razach Dolną Saksonię, położoną dobre kilkaset kilometrów dalej na zachód.

Historia Saksonii sięga głęboko w przeszłość — księstwo istniejące w Niemczech w średniowieczu rozpadło się po upadku Henryka Lwa. Zresztą nie jestem w tym wszystkim zbyt mocny, ale na szczęście nie piszę podręcznika do historii. Mocnym natomiast nazywano Augusta II Fryderyka, elektora saskiego, który zasiadł na polskim tronie zapoczątkowując tym samym unię personalną z Polską.

Saksońska dynastia wyssała z Polski ostatnie soki na niedługo przed rozbiorami. Sama tymczasem rosła w siłę i znaczenie, a mimo to, to Polska jest dziś samodzielnym państwem, a nie dawna Saksonia.

Za oknem sypialnego wagonu ciemno, ale nie na tyle, abym nie dostrzegł, że przejeżdżamy przez most na rzece. Pewnie Nysa Łużycka — myślę. I rzeczywiście — za chwilę pociąg zwalnia i zatrzymuje się na stacji. Na zewnątrz wagonu słyszę znów charakterystyczne brzmienie języka, którego ani w ząb nie mogę się nauczyć nawet w stopniu minimalnym. Jesteśmy w Görlitz.

☆

August to w tych stronach było chyba ulubione imię możnowładców. Na ziemi saksońskiej jest nawet małe miasteczko, które nazywa się Augustusburg. Leży na sporej górce — ponad pół tysiąca metrów nad poziomem morza. Wypełnionym samochodem osobowym bardzo trudno tam dojechać, bo wzniesienie jest znaczne. Szynowa kolejka na stalowej linie składająca się z jednego wagonika (są takie i u nas) wspina się powoli i jednostajnie przez malowniczy las. Po drugiej stronie łąki. To tutaj — jak informują gospodarze — mieszkańcy okolicznych miast przyjeżdżają na narty.

Wąskie uliczki miasta. Nieduże, czyste domki z ogródkami. Trochę kluczymy i na koniec wjeżdżamy na dziedziniec białego zamku, który było widać z daleka, nawet kilkanaście kilometrów stąd. Ma on ponad czterysta lat i został zbudowany przez Kurfirsta Augusta I. Spełniał rolę reprezentacyjnego zamku myśliwskiego. Patrząc dzisiaj z wysokiego Schellenbergu na daleki krajobraz Rudaw (stąd dwa kroki do Czechosłowacji), zapomina się na moment o tym, że feudalny zamek z białej i czerwonej cegły mający kształt czworoboku (budowa odpowiada odcinkom czasu w ciągu roku np. są 52 komnaty, bo rok liczy tyleż tygodni, 365 okien, gdyż tyle jest w roku dni itd.) budowało wiele tysięcy robotników pańszczyźnianych i rzemieślników. Samej wody dla zamkowej studni szukano przez siedem lat drążąc twardą skałę na głębokość 129 metrów. Tuż obok zamku stoi jeszcze niemy świadek tamtych czasów — Lipa Zamkowa, pomnik przyrody posadzony tutaj w 1421 roku. Lipa-staruszka, która mogłaby iść w parze z naszym „Bartkiem", ma blisko osiem metrów obwodu pnia popękanego i szczelinowatego.

Co dziś dzieje się na zamku? Jest on przystosowany do zwiedzania przez turystów. Mała kawiarnia w zamkowych salach, piwnica zamkowa przerobiona na urokliwą, choć drogą restaurację, sklep z pamiątkami — to wszystko sprawia, że niedzielny gość nie czuje się tu obco. Najciekawsze są jednak stałe ekspozycje muzealne. Pierwsza z nich stanowi dla mnie szokującą nieco zbitkę. Oto w zamku sprzed paru stuleci istnieje Muzeum Motocykli Dwusuwowych. W dziesięciu solidnej wielkości pomieszczeniach przedstawiono jedna z dziedzin rozwoju pojazdów mechanicznych. Począwszy od eksponatów najdawniejszych, bodaj z połowy XIX wieku, a skończywszy na najnowocześniejszych jednośladach rozwijających zawrotne szybkości Przechodzimy do sąsiedniego skrzydła zamku, gdzie mieści się Muzeum Łowiectwa i Ornitologii Rudaw. Nastrojowe, przyciemnione światło, a za oświetlonymi od wewnątrz szybami w każdej z sal wypchane zwierzęta — mieszkańcy lasów w tych stronach. Pokazane są niejako w swoich naturalnych warunkach: są tutaj pnie, gałęzie, trawa... Każda z szyb ma za sobą pewien obrazek, inscenizację z życia zwierząt jakby zatrzymanych wpół kroku. Dalej, w dwóch wielkich pomieszczeniach byłej stajni obejrzeć można kolekcję powozów z XVIII i XIX wieku wraz z galowymi uprzężami, mundurami woźniców, ubiorami podróżnych z dawnych czasów.

Osobną atrakcją jest kaplica zamkowa, jedna z nielicznych niemieckich kaplic renesansowych z interesującym drewnianym ołtarzem wzbogaconym przez dwa obrazy pędzla Lucasa Cranacha Młodszego. Osobliwe organy barokowe, niewielkie w przestrzeni całej kaplicy, znajdują się nad ołtarzem, a pochodzą z pierwszej połowy XVIII wieku. Siadamy, by wysłuchać organowego koncertu. Kaplica wypełnia się, przeważa młodzież, której do słuchania tej pięknej muzyki nikt nie namawia, nie zmusza i nie pilnuje. Czeski organista, dr Ferdinand Klinda zasiada przy klawiaturze. Tak zaczyna się przedostatni koncert z cyklu „Dni Silbermanna".

☆

Gottfried Silbermann był jednym z najgłośniejszych konstruktorów organów. Podobno dziełem jego życia były organy w kościele św. Piotra w Strasburgu, jednak większą część życia spędził Silbermann właśnie w Saksonii: uczył się w Görlitz, później osiadł na resztę życia we Freibergu.

„Dni Silbermanna" odbywają się co dwa lata na przełomie lata i jesieni. 5. Gottfried-Silbermann-Tage 1983 trwały przez dni dziesięć: w wielu saksońskich miastach i miasteczkach odbywały się koncerty organowe i muzyki kameralnej z udziałem artystów z NRD i z zagranicy. Publiczności nie brakowało, gdyż niemieccy słuchacze wysoko cenią sobie dobrą muzykę.

Organizatorem „Dni Silbermanna" była Konzert- und Gastspieldirektion w Karl-Marx-Stadt. Jest to instytucja o profilu działania zbliżonym nieco do tego, co robią u nas przedsiębiorstwa estradowe, choć sfera dokonań nie ogranicza się wyłącznie do serwowania imprez o charakterze rozrywkowym. To właśnie na zaproszenie władz kulturalnych miasta Karola Marksa w ramach wymiany i współpracy pomiędzy Konzert- und Gastspieldirektion a „Estradą Łódzką" mieliśmy okazję wyjechać do NRD wraz z dyrektorem Filharmonii Łódzkiej — Kazimierzem Mikołajczakiem i niezastąpioną panią Ewą, która pośredniczyła jako tłumacz w naszych rozmowach z niemieckimi przyjaciółmi.

☆

Piękna gotycka katedra we Freibergu. To rodzinne z wyboru miasto Gottfrieda Silbermanna. Publiczność wypełniła już katedrę. Jest sobotni wieczór. Za nami organy zbudowane ręką mistrza. Nim zabrzmią, pośrodku ewangelickiego kościoła zajmuje miejsce orkiestra kameralna z Weimaru. Dyrygent Dieter Gerhard Worm daje znak. Płynie muzyka, a ludzie — bardzo dużo młodzieży, nawet zakochane parki — siedzą zasłuchani. „Dobra jest ta kapela" — myślę sobie w duchu. „Podoba mi się ten zespół" — nachyla się do mnie dyrektor Mikołajczak. Jest w tym coś niepowtarzalnego, coś, co przywodzi na myśl schludne, ocienione kamieniczki przy wąskich ulicach, którymi szliśmy przed chwilą do tej świątyni. Muzyka licząca kilkaset lat, muzyka nie starzejąca się, wypełnia nawy i zdaje się być już gdzieś w nas samych.

Na zmianę z orkiestrą gra tutejszy organista Hans Otto, a przepiękny dźwięk jakby „stereofonicznych" organów wywołuje zachwyt. Dzieła, jakie pozostawił nam w spadku Gottfried Silbermann są ciągle doskonałe. W kościele panuje cisza i zasłuchanie. Trochę brakuje nam oklasków, co zdarza się niejednokrotnie w kościołach, tutaj jednak aplauz jest wyrażany poprzez zadumę. Muzycy i słuchacze mają widać taką niemą umowę.

Kończy się utworem Bacha finałowy koncert „Dni Silbermanna". Następne odbędą się za dwa lata. Chciałbym tu wówczas wrócić — myślę podczas niedużego bankietu przygotowanego zaraz po zakończeniu koncertu — i wypijam symboliczną lampkę wytrawnego wina z panią Karin Uhlmann, szefową Konzert- und Gastspieldirektion Karl-Marx-Stadt.

☆

Dyrekcja zaprzyjaźnionego z „Estradą Łódzką" przedsiębiorstwa znajduje się przy ulicy Brühl. Jest to jedna z uliczek starówki będących deptakami dla spacerowiczów. Zresztą z tą starówką to bluff: po prostu w Karl-Marx-Stadt nie było starego miasta, a prześlicznie odrestaurowane, pomalowane i... zbudowane domy są interesującą stylizacją uzupełniającą obraz miasta. Karl-Marx-Stadt zdaniem wielu (pomijając może ową „starówkę") przypomina trochę Łódź, stąd może współpraca na wielu szczeblach pomiędzy tymi miastami. Kiedyś to miasto nazywało się Chemnitz, ale by podkreślić zasługi wielkiego syna niemieckiego narodu zmieniono nazwę. Dziś Karl-Marx-Stadt liczy blisko czterysta tysięcy mieszkańców i pretenduje do miana saksońskiej metropolii. Jest stolicą jednego z okręgów Niemieckiej Republiki Demokratycznej Zresztą nie chcę tutaj przekazywać folderowej wizytówki miasta.

Mieszkaliśmy na głównym placu miasta — Karl-Marx-Platz, tuż obok Stadthalle — sali, której możemy mu pozazdrościć, w dwudziestopięciopiętrowym internacjonalnym hotelu „Kongress". Standard apartamentu, który podobno kosztował w przypadku cudzoziemców aż 340 marek za dobę, naprawdę wysoki: dwa pokoje, dwie łazienki, duży kolorowy telewizor, lodówka, dywany itd. Wszystko na wysoki połysk. I jakoś dziwnie kojarzyło mi się w tym mającym już dziesięć lat hotelu, ile czasu wystarczyłoby u nas, by doprowadzić do dewastacji takiego budynku. Chyba niewiele.

Augustusburg

☆

„Dni Silbermanna" zbiegły się w czasie z inną dużą imprezą organizowaną w stolicy Saksonii — Dreźnie. Odbywał się tam coroczny Międzynarodowy Festiwal Przebojów. W dobie zawieszenia na czas bliżej nieokreślony festiwali sopockich i po decyzji przygotowywania „Złotego Orfeusza" w Słonecznym Brzegu co dwa lata, „Dresden '83" pozostało jednym z nielicznych festiwalowych spędów piosenkarskich w tym roku w tej części Europy. Nie da się ukryć, że spęd to stosunkowo niewielki, bowiem ograniczający się z reguły do zaproszenia po dwóch wykonawców z każdego kraju demokracji ludowej. Ranga festiwalu nie jest może zbyt duża, niemniej jednak można się zorientować, czym na dziś estrada takiego czy innego państwa dysponuje. Z Polski w tym roku w drezdeńskim (skoro spolszczyliśmy nazwę miasta winno być chyba — dreźnieńskim) Kulturpalast wystąpili w konkursie: Krystyna Prońko oraz Gayga z zespołem „Pro Rock". Ta pierwsza otrzymała od jury trzecią nagrodę i nagrodę za interpretację piosenki „Jesteś lekiem na całe zło" (dziwne, ale od kiedy napisałem o tym tekście w „Odgłosach", piosenkarka nie śpiewa już o „niewyjętym"). Znajdujący się pod opieką „Estrady Łódzkiej" — Gayga i „Pro Rock" wywołali podobno w łonie jury tyle kontrowersji, że od przyszłego roku w ramach Internationales Schlager Festival ma być jeden dzień rockowy celem stworzenia płaszczyzny do porównania zespołów uprawiających ten gatunek muzyczny. Tym razem główną nagrodę festiwalu zdobył enerdowski zespół „Neumis Rockzirkus", którego występ dzień wcześniej miałem okazję oglądać na ekranie telewizora tuż po siatkarskim meczu NRD—Polska.

Przyglądałem się z bliska festiwalowi, który jakże odbiegał od przyjętych u nas wyobrażeń o piosenkarskich konfrontacjach. Przede wszystkim odbywał się w pięknej, dużej, lecz zamkniętej sali, a nie w amfiteatrze. W foyer serwowano kieliszki szampana. U wejścia grała dęta orkiestra. W hallu rozmieszczone były straganiki z płytami, kasetami, pamiątkami. Nikt się nie pchał, nikt nie krzyczał, nie widziałem żadnego podpitego wyrostka — słowem: zwykły saksoński festiwal piosenki. Ileż nasza publiczność festiwalowa mogłaby się od tamtej nauczyć?

Zresztą przyznać muszę, że reakcje publiczności podczas koncertu również są zastanawiające. Po prostu widzowie-słuchacze nie przeszkadzają artystom. Po wykonanej piosence wyrażają swoje uznanie oklaskami, które jednakowoż milkną niezależnie od natężenia w momencie, gdy głos ponownie zabiera konferansjer. Ciekawa sprawa, na tyle piosenek w koncercie laureatów nie było ani jednego bisu. A może utwory nie były takie znów rewelacyjne?

Wychodząc z Pałacu Kultury w Dreźnie ma się świadomość bliskości Galerii Drezdeńskiej, słynnej w całym świecie ze skarbów kultury, które są tam zgromadzone. Wielu Polaków już tam było i ci przyznają mi rację, że tego nie da się opisać — trzeba to zobaczyć.

☆

Gdy wyjeżdżałem do NRD, paru znajomych prosiło mnie, bym kupił im tam buty, bowiem nasi zachodni sąsiedzi słyną z wyjątkowo bogatego wyboru tego asortymentu. Odmawiałem, twierdząc, że buty kupuje się na nogę, a nie na gębę. Mimo że własne nogi miałem z sobą, nie dokonałem również zakupu ani jednej pary obuwia dla siebie. Co wcale nie znaczy, że nie można było ich dostać. Zresztą jeśli chodzi o zaopatrzenie, to w Niemieckiej Republice Demokratycznej z reguły nie ma z nim kłopotów. Ale to już osobna historia.

Nie byłem w NRD przez ponad jedenaście lat, nie licząc krótkiego pobytu na lotnisku Schoenefeld, po którym samolot mój udał się w dalszą drogę, a zastałem tam jakby ten sam kraj i tych samych ludzi — tylko cokolwiek dalej. Cokolwiek dalej we właściwą stronę. Ten kraj idzie naprzód i to widać z każdego miejsca: i z Berlina wówczas, i teraz z Saksonii.

Z półki recenzenta

OPOWIADANIA BELGIJSKIE

Dwa niewielkie tomiki opowiadań pisarzy belgijskich stanowią nie lada gratkę dla czytelników przedkładających krótkie formy literackie nad opasłe powieści. Mamy oto bowiem przegląd literatury powstającej w dwóch językach: francuskim i niderlandzkim. Ta dwoistość — wynik podziału Belgii na walońską i flandryjską — sprawia, iż trudno mówić o istnieniu jednolitej literatury, choć powstaje na obszarze zakreślonym ściśle granicami administracyjnymi. Z drugiej strony podział ten determinuje całą literaturę belgijską, która przez ten sam fakt jest chyba ewenementem w Europie.

Znad Skaldy i Mozy — antologia opowiadań belgijskich, tomy I i II. PIW 1983 r. Str. 568. Cena 230 zł.

WSPOMNIENIA IWASZKIEWICZA

To już czwarte wydanie książki opowiadającej o epoce jaka odeszła w przeszłość: epoce rodziny Szymanowskich, Młodej Polski, Skamandra... Iwaszkiewicz — urodzony na Ukrainie — przywołuje w swoich wspomnieniach to wszystko, co zaważyło i ukształtowało jego późniejszą osobowość pisarską. Roi się tu od nazwisk znanych w naszej kulturze i polityce, od barwnych, a przecież rzeczowych opisów wędrówek po Polsce, która pojawiła się na mapie Europy po półtorawiecznej na niej nieobecności. I jeszcze jedno: Iwaszkiewicz posiadał niezwykły dar: dar doskonałej pamięci, który aż do śmierci autora „Sławy i chwały" tak zadziwiał współczesnych.

Jarosław Iwaszkiewicz: Książka moich wspomnień. Wyd. Lit. 1983 r. Str. 422. Cena 160 zł.

KAREL CAPEK

Wydawać by się mogło, że twórczość czeskiego prozaika i dramaturga Karela Capka została w całości zaprezentowana polskiemu czytelnikowi, że niczym już więcej nie można zaskoczyć miłośników jego pisarstwa. Okazuje się, że można. Oto wydawnictwo „Śląsk" — propagator literatury naszych południowych sąsiadów — wydało „Bajki i przypowiastki" autora „Inwazji jaszczurów". Myliłby się jednak ten, kto by sądził, iż są to utwory przeznaczone dla dziatwy. Adresatem prezentowanego zbioru jest najszerzej pojmowany odbiorca słowa drukowanego, czytelnik, szukający w utworach czegoś więcej niż naturalistycznego opisu.

Przekład: Anna Joanna Bluszcz.

Karel Capek: Bajki i przypowiastki. Wyd. Śląsk. 1983 r. Str. 168. Cena 90 zł.

KTT

Tę książkę polecam szczególnie gorąco, bowiem jest ona nie tylko kroniką niedawnych, burzliwych wydarzeń, ale określonym sposobem widzenia tychże spraw. Mowa jest o wydanej przez PIW książce Krzysztofa Teodora Toeplitza „16 miesięcy", a zawierającej felietony autora publikowane w „Kulturze" od sierpnia 1980 do grudnia 1981. Już te dwie daty wyjaśniają wiele. I nie jest to wybór, lecz absolutna całość tego, co w tamtych miesiącach wyszło spod pióra jednego z największych naszych felietonistów, KTT we wstępie napisał: „Czasy są zbyt poważne, aby cokolwiek odkładać na później". Podzielam ten pogląd. Czasy są zbyt poważne, by zapominać o dniu wczorajszym jeśli chcemy aby dzień jutrzejszy nie dostarczył nam błędów zaistniałych w przeszłości.

Krzysztof Teodor Toeplitz: 16 miesięcy, PIW 1983. Str. 292. Cena 120 zł.

NA ROZDROŻU

Tym razem chodzi o antologię opowiadań pisarzy czeskich z lat 1960—1980, wydanych przez Wydawnictwo „Śląsk" w cyklu „Biblioteki Pisarzy Czeskich i Słowackich". Książka zawiera 29 opowiadań 19 autorów i jest prezentacją aktualnych tendencji i możliwości czeskiej literatury. Należy wierzyć wydawcy na słowo, że dokonał właściwego wyboru, bo przecież żadna antologia nie jest dokładnym odzwierciedleniem bogatego dorobku literatury pisarzy mieszkających po drugiej stronie Tatr i Sudetów. Co prawda, Petr Posledni, autor wyboru i wstępu dość obszernie uzasadnia powody, dla których wzmiankowana antologia jest taka a nie inna. Natomiast dla czytelnika jest to wyśmienita lektura i literatura wysokiej, sprawdzonej próby.

Antologia opowiadań czeskich 1960—1980. Wyd. Śląsk 1983 r. Str. 320. Cena 130 zł.

Hanna Bedryńska, Piotr Krukowski i Janusz Kubicki w „Rodzinie" Słonimskiego

Foto: Andrzej Brustman

Kłopotliwa rodzinka

O tym, iż dowcip Antoniego Słonimskiego nie miał sobie równych, śpieszy dziś donieść każdy z piszących i nie będę się z tej opinii wyłamywał. Od siebie dorzuciłbym tylko, że był to (a raczej — jest, bo nadal funkcjonuje) dowcip pogłębiony intelektualnie, posługujący się często metodą doprowadzania zwalczanych poglądów ad absurdum, ale i w tym poglądzie nie będę zapewne dość oryginalny. Przypomnę jeszcze, że błyskotliwe pióro Słonimskiego wykazywało swoje zalety w różnorodnej twórczości: poezji i krytyce, w felietonistyce i prozie z kręgu science fiction, a wreszcie i w komediach, służąc zawsze z dużą skutecznością jego humanistycznemu światopoglądowi, wyczulonemu na polityczną materię życia, a trzeba zaakcentować, iż był to humanizm liberała, człowieka określonej formacji, co nie pozostawało oczywiście bez wpływu na wypowiadane przez niego oceny.

Z czterech swoich komedii, napisanych przed wojną, najwyżej podobno cenił Słonimski „Rodzinę", grywaną też wówczas najczęściej, a obecnie przypomnianą na dużej scenie Teatru Nowego. Przyznam się od razu, że z typowo mieszanymi wrażeniami odbierałem tekst tej sztuki, opartej zresztą na świetnym komediowym pomyśle, charakteryzującej się znacznym „zagęszczeniem" sytuacji i potoczystością dialogu, pełnego celnych powiedzeń, a jednak publicystycznie przegadanej, przeładowanej politycznymi tyradami o szlachetnej wprawdzie, lecz zbyt chwilami natrętnie wyłożonej dydaktyce. W utworach o politycznym założeniu autor zazwyczaj większą wagę przywiązuje do celności argumentacji niż do psychologicznego wyposażenia postaci.

Te niebezpieczeństwa czyhały przez cały czas, a chwilami dawały o sobie znać całkiem jawnie, ale i tak udawało się autorowi przykuwać uwagę widowni. Jest to, jak powiedziano, sztuka na wskroś polityczna, nacechowana najświeższą wówczas aktualnością (rok dojścia Hitlera do władzy), traktująca analitycznie proces faszyzacji Europy, który nie omija także sytuacji wewnętrznej i życia umysłowego Polski. Łatwo sobie wyobrazić, że była to tematyka rozpalająca najżywsze namiętności i że wzbudzała wokół osoby autora entuzjazm, a zarazem ściągała na jego głowę nienawiść, zależnie od politycznej orientacji widzów. Ale chyba przeważał oddźwięk pozytywny, ta bowiem garstka przedwojennego społeczeństwa, która stanowiła widownię teatrów dramatycznych w przedwojennej Polsce rekrutowała się głównie z liberalnej bądź lewicowej inteligencji, w znacznej mierze żydowskiego pochodzenia.

Słonimski — liberał i „integralny" demokrata — atakuje w sztuce wszelki totalitaryzm, z nieporównanie jednak większą zajadłością ten z prawa niż z lewa, bo choć jednym tchem krytykuje ideologię „rasy" i ideologię „klasy", to jakby przeczuwając, że samo życie dowiedzie — w postaci wielkiej koalicji antyfaszystowskiej, jak w rzeczywistości przebiegają podziały.

Bardzo znamienna i jednocześnie zaskakująca wydaje się idealizacja polskiego wielkopańskiego dworu, jako ostoi myśli światłej i szerokich horyzontów ideowo-politycznych, choć ziemiaństwo dostarczyło przywódczej kadry stronnictwu „narodowych", tak w sztuce namiętnie oskarżanych i wyszydzanych. Za to na wskroś typowa wydaje się sytuacja materialna dworu, zadłużonego po uszy i zdeklasowanego do roli pensjonatu dla nowobogackich. Bo majątek ziemski, wbrew dzisiejszym wyobrażeniom, był stale w tarapatach, jak i cała wieś nie znajdując w mieście nabywców na swoje produkty żywnościowe, miasto bowiem nie miało gotówki (odwrotnie niż dzisiaj).

Ktoś się pewnie żachnie, że tyle uwagi poświęcam społeczno-politycznemu tłu sztuki, ale przecież oczywisty jest zamysł autora osadzenia tej swojej komedii w politycznych realiach krajowych i międzynarodowych, a w kreśleniu sylwetek bohaterów — dbałość o ich środowiskową reprezentatywność. I poza nietypową postacią Tomasza Lekcickiego — dziedzica — intelektualisty, libertyna wolnego od uprzedzeń wobec chłopów i Żydów (widocznie miał Słonimski szczęście do takich właśnie kontaktów towarzyskich ze dworem), inne postacie wydają się pod tym względem bardzo celnie „utrafione", jak np. polskich faszystów o drobnomieszczańskim i kupieckim rodowodzie, umysłowych i kulturalnych prymitywów. Bo przed wojną nawet fabrykant, jeśli nie dość wykształcony i towarzysko obyty, traktowany był przez „dziedziczną" inteligencję (często „gołą") z dystansem. A dziś, proszę państwa, pieniądz u nas w większym poważaniu niż kiedykolwiek.

Pod gościnnym dachem polskiego dworu dochodzi do spotkania ludzi o najróżniejszych światopoglądach i o różnej pozycji społecznej, a nawet o różnej przynależności państwowej, choć wszyscy oni wywodzą się z pobliskich prowincjonalnych opłotków, z wyjątkiem rządowych dygnitarzy, nie tylko obcych na tym terenie, ale jakby w ogóle z życia ludzkiej społeczności wyalienowanych. Co do krajanów natomiast, to okazuje się, że są połączeni z sobą w znacznym stopniu więzami krwi, w czym walna zasługa męskiej jurności Lekcickiego.

Dzięki tym różnym zaszłościom dochodzi oto teraz do przedziwnych spotkań ludzi, którzy o swoim wzajemnym istnieniu i o łączących ich więzach mało co lub wcale nie wiedzieli, następuje także konfrontacja sprzecznych postaw i poglądów, lecz ostatnie słowo należy do Lekcickiego, będącego wyraźnie porte parole autora. Wywodzący się z tych stron młody hitlerowiec dowiaduje się ku swemu przerażeniu, że jest synem Żyda, radziecki dyplomata nie bez zadowolenia przyjmuje do wiadomości, iż tylko z matki jest pochodzenia żydowsko-plebejskiego, po ojcu natomiast jest polskim arystokratą z nieprawego łoża. Ale chodzi o coś więcej, niż o zabawne qui pro quo, przede wszystkim o przestrogę przed obcym i rodzimym faszyzmem.

„Rodzina" Słonimskiego w odmienionej przez pół wieku sytuacji straciła na pewno wiele ze swej świeżości, a to m.in. dlatego, że obciążająca dialogi publicystyka nie jest już dla nas tak odkrywcza jak była niegdyś. Niejedno więc zdanie, mające kiedyś swoje merytoryczne uzasadnienie, brzmi obecnie deklaratywnie, a nie wiem, z jaką surowością działał tu ołówek reżysera. Przedstawienie toczyło się na ogół wartko, aktorzy pointowali swoje kwestie należycie, poruszali się w sposób niewymuszony.

Nie mógł chyba skorzystać z żadnych wzorców tworząc postać Lekcickiego **JANUSZ KUBICKI**, nie ma bowiem, jak mi się wydaje, w naszej tradycji teatralnej (czy literackiej) połączenia w jednej postaci pozytywnych cech intelektualnych z obyczajową swobodą czy zwłaszcza rozwiązłością, a przy tym bez celebrowania tradycji. U nas przecież, jak już ktoś pozytywny, to od razu przepełniony wszelkimi cnotami, a zwłaszcza dewocyjno-kontuszowymi. Z tradycyjnych postaw praktykuje Lekcicki tylko jedną: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Sądzę, że Kubicki skreślił przekonującą sylwetkę Lekcickiego, jego wielkopańskość, zamiłowanie do niezależności i wewnętrznego komfortu, wyrozumiałego dla ludzkich słabostek, także własnych, nieprzejednanego jedynie wobec tego, co zagraża prawu jednostki do życia po swojemu.

Z niewielkim, jak mi się wydaje, żarem wewnętrznym, lecz z chłodną logiką wypowiadał swoje kwestie **LUDWIK BENOIT**, jako obywatelsko uświadomiony Żyd Rosenberg, nie zapominający jednak ani na chwilę o interesach. Postać butnego i sfanatyzowanego Hansa zagrał **MAREK LIPSKI**, tak jednak zwartą, że od początku nie można było dostrzec nawet szczeliki, przez którą mogłaby wniknąć później do jego wnętrza rozmiękczająca aura polskiego dworu. Dygnitarski sposób bycia zaprezentował **WOJCIECH PILARSKI** jako **Wojewoda**, którego napuszone przemówienia ociekające werbalizmem, miały walor ponadczasowy.

Tajemniczy i jakby pozbawiony zupełnie wewnętrznego ciepła, a przez to najbardziej ze wszystkich odczłowieczony wydał mi się **Lebenbaum PIOTRA KRUKOWSKIEGO**. W kobiecą przebiegłość, ale i niewygasłą uczuciowość wyposażyła postać **Lebenbaumowej HANNA BEDRYŃSKA**. Nadmierną chyba szorstkość, bo nie dość złagodzoną komediowym ujęciem roli można było zaobserwować u służącego **Michała**, w wykonaniu **ADAMA GWARY**. W postaci **Kaczulskiego**, stworzonej przez **BOGUSŁAWA MACHA** pod powłoką obmierzłego ugrzecznienia czaiła się brutalna bezwzględność dorobkiewicza i faszysty. W roli **Kaczulskiej** chwilami jakby wychodzącej rodzajem komizmu poza konwencję przedstawienia **JANINA BOROŃSKA** roztaczała niezaprzeczalne powaby prymitywnej cielesności, tak orzeźwiająco oddziałującej na Lekcickiego.

W pozostałych rolach wystąpili: **ELŻBIETA JASIŃSKA, KRYSTYNA TOLEWSKA, STANISŁAW SZYMCZYK, STEFAN NIEMIEROWSKI, DOBROSŁAW MATER, REMIGIUSZ ROGACKI i MARIAN STANISŁAWSKI.**

W końcowej scenie komedia Słonimskiego jakby zaczyna odwoływać się do szacowniejszych paranteli. Obezwładniająca atmosfera dworu, pogrążająca wszystkich w gnuśnym marzycielstwie jakby w chocholim tańcu, zawiera w sobie przeczucie bliskiego odejścia dworu, symbolu i kwintesencji pewnej postaci polskości, w niepowrotną przeszłość.

JERZY KWIECIŃSKI

Antoni Słonimski: „Rodzina". Komedia w dwóch częściach. Reżyseria — **Edward Dziewoński**, scenografia — **Iwona Zaborowska**. Premiera 16.X.83 r. w Teatrze Nowym.

Kronika kulturalna

W DNIU 13 czerwca 1983 r. Senat Akademicki UŁ podjął uchwałę o nadaniu tytułu doktora honoris causa profesorowi drowi habil. Helmutowi Ridderowi z Uniwersytetu Justusa Liebiga w Giessen (RFN).

Prof. Ridder ur. w 1919 r. jest cenionym autorytetem naukowym, a szczególny rozgłos przyniosły mu prace z zakresu krytyki ustawodawstwa wyjątkowego RFN oraz badania w zakresie praw i wolności obywatelskich i prawa państwowego porównawczego. Jest autorem ponad 300 prac naukowych.

Prof. Ridder ma poważne osiągnięcia w pracy redaktorskiej, popularyzacji i wiedzy prawniczej, i publicystyce. Jest współwydawcą czasopism: „Neue Politische Literatur", „Blätter für deutsche und auswartige Politik", „Demokratie und Recht".

Prof. Ridder był m. in. docentem i profesorem Uniwersytetów we Frankfurcie nad Menem, Bonn i Berlinie Zachodnim. Od 1965 r. jest profesorem zwyczajnym Uniwersytetu w Giessen, z którym UŁ ma umowę o bezpośredniej współpracy.

Był wieloletnim wiceprzewodniczącym, obecnie zaś przewodniczącym Towarzystwa Niemiecko-Polskiego z siedzibą w Düsseldorfie. Występuje jako rzecznik normalizacji stosunków PRL—RFN na podstawie Układu z 7 grudnia 1970 r.

W DNIACH 10 i 11 października w Domu Pracy Twórczej Adwokata w Grzegorzewicach odbyło się ogólne zebranie członków Klubu Adwokatów Pisarzy.

Pierwszy dzień obrad poświęcony był sprawom organizacyjno-programowym. Dokonano wyboru nowych władz Klubu. Prezesem został ponownie adw. **Alfred Dreszer.** W skład Zarządu weszli ponadto adw. adw. **Maria Barciszewska, Witold Kotowski, Henryk Nowogródzki, Karol Pędowski, Halina Piekarska** oraz **Ludomir Sierakowski.** Do Komisji Rewizyjnej powołani zostali: adw. **Tadeusz Mazurkiewicz** jako przewodniczący oraz jako członkowie — adw. **Wiesław Godziemski i Wiesław Uptas.**

W dniu tym wręczono nagrody i wyróżnienia laureatom konkursu, rozpisanego przez Zarząd Klubu na utwór prozą, tematycznie związany z okresem ostatniej wojny i okupacji. Aktu wręczenia dokonał przewodniczący jury — adw. **Zygmunt Skoczek,** redaktor naczelny „Palestry". Pierwszą nagrodę otrzymał adw. **Aleksander Czaplicki** z Radomia za utwór pt. „Ciężar ziemi", drugą adw. **Józef Malcen** z Łodzi za utwór pt. „Tryptyk nadwiślański", laureatką trzeciej nagrody była nieobecna podczas zebrania adw. **Zofia Skupińska** z Wrocławia za utwór pt. „W kręgu piekła". Wyróżnienia otrzymali: **Maria Barciszewska** (wobec chwilowego pobytu za granicą nieobecna na zebraniu), **Aleksander Czaplicki, Henryk Nowogródzki** z Warszawy, dwa **Karol Pędowski** z Warszawy, **Halina Piekarska** z Warszawy.

Treścią drugiego dnia obrad było omawianie twórczości adwokatów pisarzy w ostatnich latach oraz prezentacja swoich utworów przez adw. adw. Aleksandra Czaplickiego, Józefa Malcena, Janusza Waliszewskiego, Janinę Kruszewską, Wiesława Uptasa, Karola Pędowskiego, Wiktora Łyszczaka, Wandę Klott i Alfreda Dreszera.

Jedyny chyba taki Klub — nie tylko w Polsce — rozpoczyna więc swoją nową kadencję. Zapowiada drugi kolejny numer „Palestry literackiej" i opracowanie anegdoty sądowo-adwokackiej.

DN. 26 PAŹDZIERNIKA w Dużej Sali Teatru Nowego wystąpił gościnnie Théatre du Chapeau Rouge z Paryża. Przedstawił on sztukę pt. „Gevrey — Chambertin" **Alaina Gautré**, w inscenizacji **Pierre'a Pradinas**, z muzyką **Alberta Marcoeur.**

---

19 PAŹDZIERNIKA w DDK Łódź-Bałuty odbył się pokaz filmów o Juliuszu Verne i otwarcie wystawy „Juliusz Verne prorok naszych czasów". Organizatorem konkursu jest Oddział Łódzki Towarzystwa Juliusza Verne'a.

---

24 PAŹDZIERNIKA w DDK Łódź-Bałuty „Rondo" odbył się „Wieczór Trzech Muz". Prezentowano na nim rysunki Marii Kondek, rzeźby Wacława Kondka i wiersze Marii Kondek.

---

22 PAŹDZIERNIKA w Domu Kultury w Strykowie odbyła się inauguracja roku kulturalnego 1983/1984 w Klubach Prasy i Książki.

Sny i marzenia

PRZED PREMIERĄ

Trzeciego października br. w Zespołach Filmowych w Warszawie, przy ul. Puławskiej 61 odbył się pokaz prasowy nowego polskiego filmu fabularnego pt. „SNY I MARZENIA", w skład którego wchodzą dwie nowele: „Sen o Violetcie" w reż. Pawła Pitery i „Do widzenia, kochani" w reż. Janusza Petelskiego.

Był to chyba najbardziej reklamowany film dyplomowy (obaj młodzi reżyserzy są absolwentami Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi) w ostatnich latach. Może dlatego, że będąc pracą dyplomową był w założeniu realizacyjnym przeznaczony do rozpowszechniania w kinach (co nieczęsto się zdarza), a może dlatego, że bohaterką pierwszej noweli była... Violetta Villas? Legendarną artystkę w wizerunku „1983" można zobaczyć tylko w tym filmie, być może ostatni już raz...

Filmowi Pitery towarzyszyłem od początku jego powstawania, odwiedzając go w WFF we Wrocławiu, skąd pochodzą reportaże (m.in. „Sen o villi i Villas" na łamach wielkanocnej „Panoramy" czy ostatni artykuł „Ja jestem Violetta" na łamach „Tygodnika Kulturalnego").

21 września br. w warszawskim kinie „Kultura" odbyła się kolaudacja filmu, na której ostatecznie zadecydowano, że „Sny i marzenia" można pokazać szerokiej, ogólnopolskiej widowni w kinach. Wcześniej były różnego typu zastrzeżenia i zastanawiano się czy filmu nie pozostawić na etapie dyplomu reżyserskiego lub pokazać go jednorazowo w telewizji.

Dziś wiadomo, że „Sny i marzenia", pierwotny tytuł „Marzenia po polsku", drugi „Tabletki nasenne", będzie rozpowszechniany w kinach.

Zanim odbędzie się warszawska premiera (i lokalne też), zapraszamy czytelników „Odgłosów" na „wizję lokalną" tego nietypowego, szalenie interesującego, ostrego, mocnego w wymowie filmu (ośmieszenie reliktów „gierkowskich", naszych wyobrażeń, snów, marzeń o ideale piękna robotniczego i tegoż samego w mieszczańskim, inteligenckim wydaniu).

Ponieważ bardzo zainteresowała mnie nowela „Sen o Violetcie", jej poświęcę więcej miejsca, nie ukrywając, że jej bohaterka Violetta Villas, kuriozum, unikat, mit, legenda w skali i wymiarze niespotykanym jakby na polskie warunki, raz jeszcze zafascynowała mnie i zainspirowała do napisania chyba już ostatniego artykułu na jej temat.

GENEZA „SNU O VIOLETCIE"

Pomysł na zrobienie filmu o gwieździe i z gwiazdą grającą samą siebie narodził się na podstawie mini-opowiadania pt. „List do Beaty Tyszkiewicz", autorstwa młodego robotnika, opublikowanego na łamach „Literatury" Paweł Pitera stwierdził, że to ciekawy pomysł — zrobić film o Beacie Tyszkiewicz i zafascynowanym jej osobą (mitem) robotniku. Pokazać ich razem, mieszkających w jednym pokoju (senne marzenia robotnika) Analizując i transponując ten pomysł na zrobienie filmu znalazł gwiazdę, która bardziej niż Tyszkiewicz przystaje jako zjawisko artystyczne, socjologiczne do popularnej kultury masowej będąc przy tym najbardziej mitycznym, legendarnym, bulwersującym jej elementem. To Violetta Villas. Mało tego, analizując głębiej zjawisko pn. „Violetta Villas" Paweł Pitera zrozumiał, że jest ona jedynym mitem naszej pop-kultury, który oprócz tego, że powstał, egzystował przez lata, to do dziś znakomicie funkcjonuje w naszej wyobraźni.

A że to mit reprezentujący w swojej postaci elementy tandety, szmiry i kiczu, to już zupełnie oddzielny problem i temat. I nie samą artystkę należy winić, choć gust miała, niestety, właśnie taki, lecz animatorów życia rozrywkowego, mass-mediów, którzy właśnie taką ją lansowali. Po sławetnym powrocie Violetty Villas z Las Vegas nastąpiła w kraju konsternacja: kto to jest — wielka gwiazda amerykańska czy polski Kopciuszek przebrany za bogatą lady?

Atrybuty bogactwa (chętnie i przy każdej okazji je demonstrowała) typu: białe futro z norek (możemy je obejrzeć w filmie), brylanty w uszach, topazy na palcach, diamenty na szyi, biały Mercedes, żółta willa w sosnowym lesie, stały się dla pewnej grupy rodaków ideałem i szczytem marzeń. Wszystko to podparte legendą o sukcesach w Las Vegas, w której była mowa o słoniu, na którym Violetta wjeżdżała na estradę w rewii „Casino de Paris" i samolocie, który do jej dyspozycji kupił amerykański milioner Fryderyk Apcar, jej odkrywca i wielbiciel.

I oto teraz nadarzyła się okazja, żeby mit pn. „Violetta Villas" pokazać na ekranie, powierzyć jej rolę samej siebie, za partnera dać hydraulika piszącego w wolnych chwilach nowelę na konkurs literacki, której bohaterką jest wyśniona, ukochana Gwiazda.

Znakomitym odtwórcą roli Jana Karolaka (hydraulika obsługującego wiślaną pogłębiarkę) okazał się JANUSZ KŁOSIŃSKI (nie mylić z aktorem), aktor-naturszczyk, o zdolnościach literackich, wielbiciel Villas, również grający w filmie samego siebie.

Ktoś może powiedzieć: toż to krzywe zwierciadło, prawie groteska. Odpowiadam: Tak, właśnie o to chodziło reżyserowi, który z premedytacją i na zimno przystąpił do kręcenia filmu „Sen o Violetcie".

ZAGLĄDAJĄC DO SCENOPISU I SPOGLĄDAJĄC NA EKRAN...

Prolog.

Nieokreślony kontur. Burza na ekranie. Odjazd kamery. W konturze rozpoznajemy Violettę Villas. Początek jej wokalizy.

Na ekranie burza jasnych włosów pokręconych w miliony pukli, mocno stapirowanych, gigantycznych w swojej wielkości i obfitości, ułożonych w charakterystyczną lwią grzywę. Ich właścicielka stopniowo odwraca się w stronę kamery. Rozpoznajemy samą Violettę Villas. Kilogramowy tusz na sztucznych rzęsach, oczy bez wyrazu, za to z jakimś niesamowitym obłędem (Villas gra bez szkieł kontaktowych, bez których prawie nic nie widzi) patrzące tępo przed siebie. Zniszczona, jakby lekko napuchnięta twarz, której rysy są zniekształcone z uwagi na wymianę górnych zębów) sławetne perły rodem z Hollywoodu straciły swoją ważność). Nie jest to już twarz uroczej, zalotnej sex-bomby, znanej nam z filmu telewizyjnego Konstantego Ciciszwilego lub kinowej komedii Jerzego Gruzy.

Oglądamy najnowszy wizerunek Violetty Villas, która po latach nieobecności na planie filmowym zdecydowała się nareszcie pokazać. Gusty publiczności są różne i być może nowe oblicze VV będzie się niektórym osobom podobało, ale nie sądzę, aby kontrowersje, jakie na pewno powstaną teraz, po roli w „Snach i marzeniach", należały do zachwytów i podziwu, obawiam się, że reakcje publiczności będą bezlitosne, a mit gwiazdy zachwieje się w swojej wielkości, o ile w ogóle nie rozpadnie.

Violetta biegnie po łące, ubrana w szafirową suknię z mgły na ciągle opadających ramiączkach. A jej gigantycznej wielkości piersi skaczą rytmicznie jak nadmuchane piłki. Burza włosów rozwiewa się na wietrze, diaboliczny uśmiech pędzącej jak lokomotywa gwiazdy.

Karolak biegnie z bukietem kwiatów z drugiej strony łąki, spieszy się na spotkanie z wyśnioną gwiazdą. Biegną tak ku sobie. W tle słychać boski, syreni trel Violetty Villas.

„Spójrz, prosto w oczy spójrz,
to miłość
Chcesz miły, chcesz czy nie,
to miłość"

Karolak i Violetta spotykają się na środku kadru. Karolak porywa Violettę na ręce. Ale ponieważ sam jest straszliwą chudziną i nie poradzi sobie w utrzymaniu choćby na chwilę wyjątkowo oblej w kształtach i przy pokaźnej tuszy Violetty, obraca się z nią. Spleceni w miłosnym uścisku szaleją po zielonej łące (warszawskich Łazienek).

„Do widzenia, kochani", Olo — Krzysztof Pietrzykowski, Fotomodelka — Lidia Michałuszek
Foto: Janusz Zachwajewski

Ta pierwsza scena z prologu robi tak niesamowite wrażenie, że po wyjściu z sali kinowej, pamięta się przede wszystkim ją i oczywiście Violettę Villas, budzącą swoją obecną postacią najdziwniejsze uczucia: od podziwu poprzez strach do litościwego, współczującego uśmiechu.

Terkot budzika.

Jak to dobrze. Kończy się straszny sen Jana Karolaka i znajdujemy się w jego mieszkaniu. Pokój wytapetowany jest zdjęciami Violetty Villas.

Scen z udziałem Villas jest kilka. Wszystkie pokazane w relacji snu hydraulika Karolaka, ale z bardzo realistycznym ich potraktowaniem.

Przy pracy Karolaka nad nowelą o Violetcie na konkurs wydawnictwa „Kultura" w walce o laur „Złotego Wawrzynu". Violetta całuje Jana w policzek i zamienia z nim kilka słów.

Przy pogłębiarce, kiedy gapi się na czerpaki. Na brzegu stoi Violetta. W ręku nosiki z obiadem dla niego.

Aż do końcowej sceny, rozgrywającej się w studio telewizyjnym.

Show.

Rząd girlsów schodzi, nierówno, z kretyńskim uśmiechem, po schodach. Zamierają. Zbiegają po schodach. Przebiegają koło Karolaka, który stoi przy kamerze.

Prezenter (PIOTR FRONCZEWSKI): *Była to nasza pocztówka dźwiękowa dla górniczej braci Dolnego Śląska. Proszę państwa, gościem naszego Studia jest jeden z tych, którzy codzienną, żmudną pracą pomnażają dobrobyt naszego kraju. Pan Jan Karolak. Prosimy panie Janie.*

Inspicjent wypycha Karolaka przed kamerę.

Prezenter: *Pan Karolak jest laureatem konkursu ogłoszonego przez wydawnictwo „Kultura", autorem wielu monodramów i utworów scenicznych.*

Karolak: *No właściwie...*

Prezenter: *Panie Januszu, jak pan ocenia aktualną sytuację wśród robotników piszących?*

Karolak: *Właściwie, to — nie znam ich dużo...*

Prezenter: *A jak pan, panie Januszu, łączy obowiązki służbowe z pracą na niwie literackiej?*

Karolak: *Ja piszę po godzinach. W domu.*

Prezenter: *Słusznie. Obowiązki służbowe przede wszystkim. Domyślam się, że kierownictwo pańskiego zakładu pracy ze zrozumieniem podchodzi do Pańskiej twórczości, powiedzmy działalności na dwóch frontach. A o to właśnie chodzi: menażerowie naszego przemysłu popierają rozwój samorodnej twórczości literackiej. Panie Janie, bohaterką pańskiej noweli jest Violetta Villas. Dlaczego właśnie ona?*

Karolak: *Wie pan, lubię jak śpiewa...*

Prezenter: *A więc można powiedzieć, że jest pan jeszcze jednym członkiem wielomilionowego Fan-Clubu pani Violetty! — I właśnie dla pana i dla wszystkich państwa śpiewać będzie Violetta Villas!*

Inspicjent wypycha Karolaka sprzed kamery.

Inspicjent: *Znakomicie, kochany.*

Karolak zauważa na monitorze śpiewającą Villas.

Jest wniebowzięty. Trąca go kamera.

Inspicjent: *Na boczek, kochany, na boczek.*

Kamera odsłania żywą Violettę Villas, która w purpurowej sukni ze srebrnym wężem, pająkiem, może karaluchem przypiętym do dekoltu, w czerwonych jak krew, długich rękawiczkach, w towarzystwie baletu męskiego — śpiewa jeden ze swoich najbardziej kiczowatych przebojów sprzed lat: „Pucybut z Rio".

„Nosił dziurawe sombrero i spodnie w strzępach do pięt. Szczotki w skrzyneczkę zabierał i boso z nią do portu szedł. Tam nad butami się biedził. Każdy but aż lśnił, gdy wyszedł z jego rąk. Lecz ku okrętom na redzie leciał pucybuta tęskny wzrok.

ref. *Oceany, kokosowe palmy. Kraj nieznanych pieśni. I znowu cudzy but, i znowu lewy but jak lustro w słońcu się lśnił.*

Karolak robi krok w kierunku Violetty. Ale łapie go inspicjent.

Inspicjent: *Dokąd kochany, dokąd? Tam jest wyjście.*

Śpiewa Violetta Villas *„Oceany, archipelagi. Doliny szczęścia. Przesmyki cieśnin. I znowu cudzy but i znowu lewy but, jak lustro w słońcu się lśnił".*

Inspicjent wciąż odpycha Karolaka. Karolak wygląda zza czegoś tam.

A tu...

Prezenter: *Śpiewała dla państwa Violetta Villas. A teraz nasz nowy gość.*

Na ekranie Violetta kończy „Pucybuta", podchodzi do stolika prezentera i robi głęboki ukłon w stronę kolejnego gościa programu.

Jan Karolak nie dotknął wyśnionej Violetty Villas, a ona nawet nie spojrzała na niego swym niewidzącym niczego wzrokiem.

Mit musi żyć, trwać, gdyby tak naprawdę zszedł do swoich wielbicieli, przestałby prawdopodobnie być mitem.

Robotniku! Możesz sobie śnić swój sen o Violetcie Villas, ale będzie to tylko sen, bo pamiętaj, że gwiazdy są niedotykalne, choćby znajdowały się obok Ciebie, w zasięgu ręki.

W filmie Pawła Pitery jest wiele różnych wątków, które łączy ze sobą postać bohatera — Jana Karolaka.

Spotykamy więc majstra Rebko, który awansuje na dyrektora, a Karolak (przy nim) na kierownika działu. Poznajemy tajemniczych Kurpiów, którzy jak mówi Rebko: „To jest sitwa. Przez nich cierpimy ty, ja, wy. Słuszne i pryncypialne decyzje zwierzchności sabotowane są na poziomie wykonawczym. Rozumiesz? Obnażymy ich machinacje. My zwirownicy!"

Poznajemy też literata, reżysera filmowego, dyrektora teatru. Scenki, wątki, ludzie, to wszystko Pitera potraktował służebnie w stosunku do głównego tematu swego filmu, do historyjki o małym człowieczku, który na jawie ogląda własne sny o kiczowatej gwieździe. Sądzę, że nikogo nie trzeba będzie zachęcać, aby zobaczył to na własne oczy na kinowym ekranie, w kolorze.

Przed nami kino-zwierciadło. Zajrzyjmy do niego. Nie bójmy się. Naprawdę warto.

„DO WIDZENIA, KOCHANI".

Nowela druga „Do widzenia, kochani" w reż. Janusza Petelskiego to również obrazek pewnych polskich marzeń, dążeń, tym razem umiejscowionych w środowisku mieszczańskim.

Film mówi o pieniącym się egoizmie, o panującej obłudzie, o zaniku uczuć wyższych. Prawdziwe intencje i charaktery ukrywamy za kanonami wymuszonych zachowań. Jedyną pozytywną postacią w tym filmie jest prof. Salwa wyjeżdżający na dłuższe badania za granicę.

Reżyser Janusz Petelski powiedział, że Salwa jest jedyną postacią, z którą widz mógłby się z czystym sumieniem identyfikować. Każda z osób otaczających wybitnego naukowca ma w jego wyjeździe swój interes. Ale nadziejom towarzyszy również obawa, bo nie wiadomo jak zachowa się profesor za granicą, czy na przykład nie zrezygnuje z powrotu do kraju. Wszyscy znajdują się więc na ruchomej krze. Obejrzymy na ekranie próbę komedii ironiczno-satyrycznej. Reżyser zdaje się wysłuchiwać zwierzeń młodych ludzi o wygórowanych ambicjach, cały czas śmiejąc się z nich. Bohaterami filmu są więc ludzie o negatywnych charakterach. Janusz Petelski wybrał ich, bo wychodzi z założenia, że tylko negatywne postacie posuwają akcję do przodu.

I rzeczywiście, film jest bardzo interesujący w warstwie literackiej i w samej robocie reżyserskiej. Jest wartka akcja, rysujący się coraz wyraźniej konflikt między rodziną i ludźmi związanymi życiowo z profesorem Salwą (w tej roli mało znany aktor Andrzej Karolak). Walka o mieszkanie, samochód, pieniądze, rozpoczyna się już całkowicie otwarcie, gdy przychodzi wiadomość o śmierci Salwy w Ameryce. Dyplomy, nagrody od ministra zdrowia, zasługi, splendory dla rodziny zmarłego.

Oni rosnący w dumę, pychę...

I nagle niespodzianka, szok — profesor Salwa żyje i właśnie poprosił o azyl polityczny!

Co dzieje się z ludźmi, od niedawna podwyższonymi dzięki jego nagłej śmierci w życiowo-zawodowej hierarchii? O tym przekonają się widzowie „Snów i marzeń", które oczekują na kinową premierę.

Dawno już nie było na naszych ekranach filmu tak piekielnie ciętego w sferze myślowej i warstwie obrazowej. Do głosu zaczyna dochodzić najmłodsze pokolenie naszych reżyserów. Paweł Pitera i Janusz Petelski dali dobry początek. Czekamy na następne propozycje!

„Sen o Violetcie Villas"
Foto: Janusz Zachwajewski

BOHDAN GADOMSKI

Kult św. Huberta

Co roku 3 listopada, bądź w najbliższy dzień wolny od pracy organizowane są na wszystkich kontynentach świata, nazywane przez naszych myśliwych, polowania Hubertowskie. Mają one z reguły nietypowy przebieg. Przede wszystkim strzelcy nie uganiają się za pozyskaniem jak największej liczby zajęcy czy innej zwierzyny, łowy trwają krócej, a po ich zakończeniu, jeśli pozwala na to kieszeń, urządzane są biesiady, w których uczestniczą również rodziny myśliwych i inni zaproszeni goście. W ten sposób czczony jest patron myśliwych — św. Hubert.

Kim był człowiek, któremu myśliwi oddają cześć? Kult św. Huberta rozwinął się w XV w. Już jednak w drugiej połowie I wieku naszej ery krążyły o nim legendy, które znajdują odbicie w literaturze.

Właśnie źródła pisane dowodzą, że patron myśliwych był zamożnym poganinem, oddającym się bez reszty łowom. Podczas jednej z takich wypraw wpadł w sieci, założone przez organizatorów polowania, jeleń, na którego wieńcu dojrzał Hubert Krzyż Zbawiciela misternej roboty, w promieniach jaśniejący. Cud wywarł na Hubercie tak wielkie wrażenie, że postanowił zrzec się pogaństwa i przejść na łono religii Chrystusa. Później został kapłanem, a zmarł jako biskup z Lüttich.

Po kilkudziesięciu latach ciało św. Huberta zostało przeniesione do ardeńskiej puszczy, do klasztoru mnichów z Audain, gdzie — jak pisze M. Reumann — bogobojny lud, a zwłaszcza myśliwi go odwiedzali Działo się to w listopadzie 743 r., stąd dzień 3 listopada ustanowiony został przez Kościół rzymski na cześć patrona myśliwych.

Dziejopisarz żywota św. Huberta — Jonas, biskup orleański — wyliczając różne cuda doznane przez pielgrzymów przy grobie twierdzi m. in., że *„ludzie uzdrawiali się z wścieklizny przez samo dotknięcie się ornatu, w którym święty odziany leży"*.

Wspomniałem, że kult św. Huberta rozwinął się w XV w. Do XI wieku — jak podaje cytowane źródło — powszechnym było zwyczajem u myśliwych, składać co rok na ofiarę św. Hubertowi pierwszą zdobycz z łowów oraz dziesiątą część całej ubitej zwierzyny w ciągu roku. W krajach zbyt oddalonych od wspomnianego miejsca ograniczano się do nabożeństwa z łowami, przy czym te ostatnie zwykle kończyły się myśliwską biesiadą.

W Polsce dzień świętego patrona myśliwych najokazalej obchodził król August II. W dniu 3 listopada monarcha zarządzał wielkie łowy, które trwały 8 dni.

Józef Wł. Kobylański opisuje niektóre szczegóły dotyczące patrona myśliwych. Miał on pochodzić z królewskiego rodu Merowingów. Urodzony około 655 r. wzrastał w cnotach aż do osiemnastego roku życia, kiedy to oddano go na dwór króla Frankonii, gdzie poślubił córkę Pepina z Heristal. Owocem tego szczęśliwego związku był syn Floribert, później biskup — męczennik z Liege.

Sześć lat trwało bogobojne i spokojne życie małżonków. Aż oto żona Huberta musiała odjechać do łoża umierającej matki, królowej Bathildy. Osamotniony wówczas Hubert znalazł się w towarzystwie hulaszczych rycerzy Austrazji, które wypaczyło rychło dotychczasowy, piękny tryb życia. Hulanki, a nade wszystko bez umiaru uprawiane polowania były odtąd jego nowym życiem.

Aż stało się, że dzień Bożego Narodzenia, czy jak inna legenda mówi, sam Wielki Piątek 695 roku Hubert niepomny uroczystego święta, uganiał się od świtu z paziami i wielką psiarnią, sprawiając istną rzeź wśród licznej zwierzyny w lasach gór Ardeńskich. Wówczas w głębokiej i mrocznej kniei ukazał mu się wspaniały jeleń z krzyżem, jaśniejącym niezwykłym blaskiem wśród pięknych rozłożystych rogów. Równocześnie dał się słyszeć ziemski głos: *„Hubercie, dlaczego niepokoisz biedne zwierzęta i zapominasz o zbawieniu duszy. Ukląkł w łowieckim ubraniu królewicz na leśnej polanie, a widząc wtem znak nieba, udał się do Rzymu, gdzie papież Sergiusz I nadał mu godność biskupa z Liege. Kanonizowany po śmierci, stał się św. Hubert patronem myśliwych"*.

Sądzę, że warto także przedstawić zapis inż. Leona Ossowskiego zamieszczony w „Przeglądzie Leśniczym" z 1929 r., (powtarzam za Wiesławem Krawczyńskim).

„Ogłoszenie św. Huberta patronem łowiectwa stoi w ścisłym związku z renowacją opactwa Andagium, którego założycielem był św. Beregisius, towarzysz św. Huberta. Początkowo bogaty klasztor z biegiem czasu zubożał. Okazała się potrzeba sprowadzenia relikwii jakiegoś Świętego, celem wzmożenia ruchu pielgrzymek. Dnia 3 listopada 825 r. przewieziono zwłoki biskupa Huberta do klasztoru Andagium, który od dnia tego nosi nazwę St. Hubert. Okolica klasztoru górzysta i bardzo lesista, tworzyła wspaniałe łowiska. Już za czasów pogaństwa cała ta połać kraju poświęcona była bogini Dianie, którą czczono tu pod nazwą regionalną „Diana Arduenna". Południowa część Arduennów jeszcze w VIII w. była po większej części zamieszkała przez ludność pogańską, która właśnie czciła ową Dianę.

By zniweczyć pogańskie zwyczaje, Kościół szerzył wszędzie i rozpowszechniał kult czczenia świętych chrześcijańskich w miejsce bożków. Nic więc łatwiejszego, jak ogłosić w miejsce Diany, bogini łowiectwa, św. Huberta, świętego miejscowego, patronem myśliwych.

W średniowieczu działalność mnichów nie opierała się tylko na kontemplacji, jałmużnach i na nauczaniu, ale zajmowali się oni i rolnictwem.

Lesistość Ardenów, oraz obfitość zwierzyny w lasach, miały to do siebie, że rolnictwo ściśle było związane z łowiectwem. Hodowla psów gończych znana była w całej okolicy. Opactwo St. Huberta rokrocznie przed rozpoczęciem sezonu łowieckiego ofiarowywało w darze królowi francuskiemu 7 chiens de S. Hubert (psów gończych — przyp. Z. F.) oraz jednego sokoła. Hodowla psów oraz sąsiedztwo niezliczonej wówczas ilości wilków było powodem częstych wybuchów wścieklizny. Zakonnikom znany był środek przeciwko wściekliźnie polegający na wypalaniu ran, powstałych wskutek ukąszenia przez psa wściekłego.

By podnieść znaczenie świętego, wypalali oni rany takie żelazem w formie klucza, tzw. klucza św. Huberta, który otrzymał święty od papieża, jako symbol władzy. Wypalając ranę, modlono się do świętego. Używane do wypalania ran klucze, otrzymywać miały swą siłę przez ocieranie ich o prawdziwe klucze św. Huberta. Prócz żelaza w formie kluczy, miano używać też żelaza w formie wieńców, którymi równocześnie wypalano psom tzw. znak pochodzenia, mający je zarazem chronić przed wścieklizną.

Ponieważ przez wypalanie dezynfekowano ranę i w wielu wypadkach zapobiegano wściekliźnie, sława świętego szybko rosła, tak, że już około r. 1000 Huberta oficjalnie czczono w Ardenach jako patrona łowiectwa. 3 listopada każdego roku (tj. w dniu jego śmierci oraz w dniu przewiezienia zwłok do Andagium), odbywało się solenne nabożeństwo, na które przyprowadzano i psy. Bezpośrednio po nabożeństwie odbywało się wielkie polowanie, kończące się uroczystością na cześć świętego. Zwyczaj ten wprowadzono prawdopodobnie dla kontynuowania zwyczaju Gallów, którzy dzień urodzin Diany Ardeńskiej uroczyście obchodzili polowaniem i ofiarą".

Uczestniczyłem w licznych polowaniach Hubertowskich. Ubiegły rok spisuję na straty, ponieważ obowiązki zawodowe sprawiły, że nie towarzyszyłem myśliwym w takich łowach. A są one naprawdę wspaniale organizowane, zaś biesiada myśliwska ma w sobie coś niepowtarzalnego. Nie chodzi nawet o wspaniały bigos myśliwski, tańce na leśnej polanie. Urzeka prawdziwie rodzinna atmosfera, a że myśliwi nie lubią strzępić języka po próżnicy przeto popisują się anegdotami i dowcipami, które nie zdążą wywietrzeć z pamięci do następnego polowania Hubertowskiego.

ZYGMUNT FOLTYŃSKI

Rys. SKONY (wg. obrazu J. Kossaka)

Polemiki • Listy • Opinie

WIELE SPRAW, MAŁO REZULTATÓW

Spółdzielnie mieszkaniowe, rady nadzorcze, rady spółdzielcze, rady osiedli, samorządy mieszkańców, komitety domowe, PGM, ROM — wszystkie te instytucje państwowe, spółdzielcze, samorządowe mają za zadanie czuwać bezustannie nad polepszeniem warunków mieszkalno-bytowych mieszkańców osiedla, dzielnicy, miasta. Są opracowywane plany, statuty, regulaminy, ustawy, uchwały i zarządzenia zmierzające do tego samego celu. Ale każda bodaj najlepsza ustawa, uchwała, statut czy regulamin — z biegiem czasu staje się bezwartościowym papierkiem, jeżeli nie będzie w praktyce realizowana. Stąd bierze się niezliczona ilość skarg i zażaleń, utyskiwań i narzekań na warunki bytowe, mieszkaniowe itp.

A jak to wygląda? Zacznijmy może od najniższego szczebla samorządowego, jakimi są komitety domowe mieszkańców.

Wybory praworządne, demokratyczne, przez nikogo nie narzucane z góry. Kandydaci nie są przywożeni w teczkach. Zostają nimi sami mieszkańcy bloków, domów. Ludzie pełni werwy, zapału i energii do pracy społecznej, lecz tylko w początkowym okresie. Powoli się wykruszają. Coraz mniej ludzi uczęszcza na zebrania. Daje się zauważyć jakieś zniechęcenie, marazm. Skąd to się bierze? Czy faktycznie kiedykolwiek zastanawialiśmy się nad tym? Gdzie tkwi przyczyna i źródło dalszych niepowodzeń, rozczarowań z pracy społecznej?

Przyczyna aż nazbyt prosta. Jeżeli drobne sprawy, problemy, z którymi borykają się mieszkańcy — pomimo oficjalnych zapewnień, przyrzeczeń są nie do rozwiązania, to chęć do pracy społecznej szybko wygasa.

Dziś liczą się jedynie fakty i tylko fakty. A takich faktów mamy ciągle mało. Przyczyny są różnorodne. Zawsze majdą się tysiące wybiegów, obiektywnych i subiektywnych trudności. Nie tyle wynikających z istniejących trudności społeczno-gospodarczych, ile ze złej woli, organizacji pracy, braku zdrowego myślenia w rozwiązywaniu różnych problemów.

Komisje problemowe, działające przy każdym Samorządzie Mieszkańców napotykają w swej pracy na bariery nie do pokonania. Wiele upływa czasu, poniesionego trudu, zachodu zanim uda się wreszcie coś wskórać. W zasadzie nie są to sprawy trudne do realizacji, lecz jakoś z niezrozumiałych przyczyn — niechętnie podejmowane przez zainteresowane czynniki, instytucje.

Komisja techniczno-eksploatacyjna, komunikacji i porządku publicznego posiada duże pole do działania, ale tylko teoretycznie. W praktyce jest zupełnie inaczej, chociaż staramy się ingerować w najprostsze sprawy, takie jak usytuowanie parkingów na osiedlu, przystanków autobusowych, tramwajowych, zabezpieczenia wykopów po studzienkach kanalizacyjnych, luźno leżących materiałów budowlanych, bezpiecznego poruszania się po jezdniach. Interesujemy się też oznakowaniem ulic, placów zabaw dla dzieci, infrastruktury terenu, usuwaniem usterek technicznych i całą masą innych spraw, których nie sposób jest wymienić. Nie powinno być większych trudności w realizowaniu tych potrzeb. A jednak są i to wcale niemałe.

Problemowe komisje zdrowia i opieki społecznej, mające na celu usprawnienie świadczonych usług przez placówki służby zdrowia w miejscu zamieszkania. Nierzadko wypływające z braku przystosowanych pomieszczeń, fachowej kadry medycznej, obliczonej na przyjmowanie o wiele większej ilości pacjentów. Są organizowane narady, odprawy, uzgodnienia — niestety brakuje jak zwykle konkretnego działania, realizacji ustalonych planów.

Trzeba stwierdzić obiektywnie, że za mało uwagi poświęcają komitety domowe ludziom starszym, samotnym, potrzebującym nie tyle doraźnej opieki, co ciepłego zwykłego słowa otuchy, nadziei, zainteresowania. Nie zawsze i wszędzie mogą dotrzeć do nich opiekunowie społeczni, którzy mają i tak pełne ręce roboty w zbieraniu wywiadów, opinii. Tu również mamy wielkie pole do działalności konkretnej, budującej autorytet komitetu domowego.

Kobieta starsza — nagle umiera w swoim mieszkaniu. Sąsiedzi dowiadują się o tym fakcie dopiero wówczas, gdy coś zaczyna cuchnąć. Zwłoki w rozkładzie, leżące kilka dni, tygodni. Autentyczny przypadek, jakże przykry, ponury.

Problemowa komisja pojednawcza oraz inicjatyw społecznych, ma zadania, których nie trzeba tłumaczyć. Przystosowanie, zaaklimatyzowanie w nowej ludzkiej zbiorowości — nie zawsze przebiega pomyślnie. Są to sprawy niezwykle delikatne, trudne do rozwikłania. Nierzadko dotyczą osób niegdyś bliskich sobie. Nie ma spraw nieważnych dla poszczególnych komisji. Wszystkie one są ważne ze społecznego punktu widzenia.

Integracja środowisk twórczych, ośrodków kulturalnych z mieszkańcami osiedla ma kapitalne znaczenie dla dalszego prawidłowego rozwoju tych placówek. Nie samym chlebem człowiek żyje. Dobrze, że powstają nowe kluby osiedlowe, które nie mogą jednak świecić pustkami, ziać nudą. Ważne jest wykorzystanie obiektów sportowych, rekreacyjnych dla użytku wszystkich mieszkańców: dzieci, młodzieży, dorosłych i starszych osób. Każdy z nich winien znaleźć coś dla siebie, co najbardziej mu odpowiada. Nie można czuć się tylko i wyłącznie gościem, lecz również gospodarzem osiedla.

Praca komisji jest niezwykle ciężka, absorbująca, ale konieczna, potrzebna wszystkim. Nie należy się martwić, że na posiedzeniach, zebraniach wypływają różnice zdań w tej samej sprawie. Jest to oznaką samodzielnego myślenia.

Potrzebny jest nam silny, prężny samorząd mieszkańców, komitety osiedlowe, domowe, bowiem bez ich pomocy niewiele sami zdziałamy w pojedynkę. Potrzebny nam jest również zapał i energia samych mieszkańców osiedla, dzielnicy, miasta. Potrzebne nam są inne instytucje państwowe, spółdzielcze, samorządowe, które wspomogą we wspólnym działaniu.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

NIEREFORMOWALNI

Nasze słynne 3 x S to konieczność daleko idących zmian. Wydano w tym celu całe tomy przepisów. Ale reforma to nie tylko zmiany w samym gospodarowaniu. Konieczna jest zmiana starych nawyków i przyzwyczajeń. Ale tych przepisami ująć nie można. Chociażby stosunki międzyludzkie. W nowej rzeczywistości potrzebne są nowe wzorce. A tymczasem...

Że niektórzy „działacze" dzielą ludzi na równych i równiejszych, najlepiej widać w zakładowym sklepiku. Zaobserwowałem tam pewnego razu jak młoda aktywistka, a ściślej mówiąc przewodnicząca zarządu ZSMP nie zwracając uwagi na olbrzymią kolejkę, a nawet na kobiety w ciąży (sama w ciąży nie była, a przynajmniej nic nie było widać) przepchnęła się do lady i rozpoczęła zakupy. Zrobiła to z taką naturalnością, że nietrudno było domyślić się, iż w swym postępowaniu nic złego nie widzi.

Zdarzenie to napsuło ludziom dużo krwi, i gadaniom oraz plotkom nie było końca. Epizod ten, choć drobny, przyczynił się jednak do zepsucia humorów setkom ludzi. Bywają jednak zdarzenia o większym ciężarze gatunkowym, choć nie o takim rozgłosie.

Pewien elektronik, zajmujący się na co dzień konserwacją maszyn został oddelegowany do innej pracy. Ale jego bezpośredni przełożony bardzo nie lubi tego, który o to oddelegowanie wnioskował, więc utrudniał obudwu życie, jak tylko się dało. M. in. wymyślał różne fikcyjne zajęcia dla swego pracownika, byle tylko nie wypuszczać go z warsztatu. Aż wreszcie uznał, że jego podwładny (oficjalnie delegowany) zbyt mocno angażuje się w nie swoją robotę i ... pozbawił go podwyżki. Dwukrotnie. Interwencje nic nie dały. Próba zmiany stanowiska też się nie udała. Finał? Zakład traci pracownika. Jak twierdzą współpracownicy — jednego z najlepszych w zakładzie fachowców. Ale co to obchodzi pana kierownika. Niech mu jeszcze ktoś podskoczy, to...

Znam więcej takich kwiatków. Niedawno od pewnego, jak twierdzono — bardzo nieudolnego mistrza, odeszła niemal cała brygada. Ponieważ dobrowolny werbunek z innych brygad nie udał się, więc za przejście do niechcianego mistrza zaproponowano... podwyżkę aż o dwie grupy uposażeniowe! Takich podwyżek w tym dziale, jak zakład zakładem, jeszcze nie widziano. Tak wysokich pensji nie mają ci, którzy od owego mistrza nie uciekli. Patrzą więc wilkiem „starzy" na „nowych" i mają znakomitą okazję, by stracić wszelką motywację do lepszej pracy. Pogratulować udanego posunięcia!

Jeszcze ciekawszą historię, która znakomicie nadawałaby się np. do serialu pt. „Zagryziakowie", usłyszałem od człowieka, który wygrał konkurs na stanowisko kierownika bazy sprzętu w pewnym przedsiębiorstwie obsługi rolnictwa. Owa baza przypominała (wedle jego słów) mityczną stajnię Augiasza. Wziął się więc energicznie do jej oczyszczania. Niestety, jego zarządzenia nie spodobały się wysoko postawionym osobom. Naruszały cudze kompetencje i autorytet WPO. Nieważne, że wymagał tego interes przedsiębiorstwa!

Podwładnym znowu nie podobało się, że nowy szef ostro egzekwuje dyscyplinę pracy. Poza tym nie „przystaje" do zespołu. Tłumacząc to na język realiów — nie pije w pracy alkoholu. Pracownikom zaś nie przeszkadzały żadne ograniczenia w tym zakresie — ani suche poniedziałki, ani godzina trzynasta. Nieudany był to dzień, który nie zaczynał się „połówką".

Porozumienie obu grup dało szybkie rezultaty. Załoga umocniona w swej słuszności, poczęła okazywać szefowi jawne lekceważenie. Dochodziło do odmowy wykonywania poleceń służbowych. Nie pomagały kary pieniężne i upomnienia. Zresztą WPO szybko je anulowały. W końcu szef bazy nie wytrzymał i „przemówił się" z kilkoma osobami. Na to tylko czekano. Otrzymał więc wezwanie do dyrekcji, gdzie dowiedział się, że jest osobnikiem niezrównoważonym, konfliktowym, powodującym napięcia wśród załogi. W związku z tym zostaje rozwiązana z nim umowa o pracę w terminie trzymiesięcznym. Ogólne zadowolenie. W bazie zapanowały znowu „stare, dobre porządki".

Nie uległy także zmianie, mimo nowej rzeczywistości, postawy niektórych ludzi. Nadal obowiązuje zasada — „czy się stoi...". Miałem m. in. możność obserwować brygadę robotników gospodarczych, którzy odmówili przewiezienia mebli — bo to południe za pasem, niedługo trzeba się myć, a poza tym to oni nie będą dźwigać ciężkich rzeczy! Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, iż za publiczne zwrócenie uwagi na to zdarzenie zostałem porządnie objechany przez przełożonych owej brygady, a dodatkowo wytłumaczono mi, że nie rozumiem realiów, że stawiam klasie robotniczej zbyt duże wymagania, itp. brekekeks, jak powiada Wańkowicz.

Są jednak ludzie, którzy ze wszystkich sił starają się by powierzone im odcinki pracy obsłużyć jak najlepiej. Przykład mam tuż za oknem. Codziennie do znajdującego się naprzeciw żeńskiego hotelu robotniczego ciągną grupy hydraulików, elektryków i licho wie kogo jeszcze. Tyrają przez całe osiem godzin, a nieraz i dłużej, a wychodzą... nie, nie wychodzą. Zataczają się po prostu! Aż żal patrzeć jak się męczą. Ale ich zasadą jest stałość.

STEFAN JÓŹWIAK

WSTYDLIWE KULISY SPOŁECZEŃSTWA DOBROBYTU (3)

Jacy są mężczyźni, którzy biją kobiety, podbijają im oczy, łamią kości, kopią w brzuch i grożą karabinem? Wielu z nich było prawdopodobnie bitych w dzieciństwie i to pozostawiło trwały uraz. Michael Groetsch, kierownik wydziału zwolnień warunkowych w sądzie miejskim w Nowym Orleanie, co tydzień ogląda dziesiątki mężczyzn oskarżonych o znęcanie się nad żonami.

— Istnieje bardzo ciekawa analogia między mężczyzną bijącym żonę a trzyletnim dzieckiem — mówi Groetsch. — Jego odruchy są bardzo podobne do tych, jakie mają małe dzieci; lubią np. gryźć. Wiele kobiet przychodzi do mnie ze śladami ukąszeń na rękach i nogach.

Mężczyzna bijący kobietę to często również alkoholik, chociaż, jak twierdzi Groetsch, taki mąż „pije aby móc bić, a nie odwrotnie". Bezrobocie nie jest przyczyną znęcania się, ale trudności materialne mogą wpłynąć na pogorszenie stosunków rodzinnych. I tak np. w Youngetown w stanie Ohio, gdzie wskaźnik bezrobocia wynosił w ub. r. 21 procent, liczba przypadków znęcania się wzrosła o 404 procent w porównaniu z rokiem 1979.

Craig Norberg, założyciel męskiej grupy samopomocy pod nazwą RAVEN (koniec z gwałtami i przemocą) w St. Louis, mówi że typowy „damski bokser" nie odpowiada tradycyjnym pojęciom męskości. Tradycyjna rola mężczyzny wymaga od niego stoicyzmu, opanowania i samokontroli. Taki mężczyzna powinien być sam sobie „wielkim sterem" i umieć rozwiązywać problemy. Tymczasem zaś 9 na 10 mężczyzn wykazuje brak tych cech.

W istocie oprawca kobiet często cierpi na brak pewności siebie. Jak mówi psycholog Walker, żona jest dla niego „emocjonalnym spoiwem, dzięki któremu jakoś się trzyma". W rezultacie mężczyzna panicznie boi się ją utracić. „Cały czas wiedziałem, że ona mnie porzuci — mówi William, ten który pobił żonę w czasie zabawy dla dzieci sąsiadów. Lubiła grać na pianinie piosenkę „Wymknijmy się po angielsku" i wiedziałem, że ona to zrobi". Jak wyjaśnia Dick Bathrick, psycholog szpitalny, który wraz z kolegą prowadzi program dla znęcających się nad żonami w stanie Georgia, mąż stara się utrzymać żonę przy sobie panując nad nią fizycznie — i nie zdaje sobie sprawy, że w ten sposób ją od siebie odpycha.

Kiedy William ostatni raz widział żonę, pobił ją niemal do utraty przytomności. „Potem podniosłem ją z ziemi, całowałem i przepraszałem. Chciałem odczuwać ten sam ból co ona, dlatego ją całowałem. Płakała, krew leciała jej z nosa, a ja ją bardzo kochałem".

Tego rodzaju demonstracje czułości nie należą do wyjątków.

— Mężczyzna często posyła róże żonie, która go opuściła, ale nie czyni tego z miłości, tylko z chęci odzyskania nad nią kontroli — mówi psycholog Camella Serun z Michigan.

Istotnie oprawcy są bardzo wyrachowani, zarówno jeśli idzie o postępowanie wobec żon, jak i o zachowanie się wobec władz w przypadku zatrzymania. Niekiedy bywają nawet czarujący. Jak mówi terapeuta Jeffrey Perez z Nowego Orleanu, „ci faceci są naprawdę bardzo zręczni i sprytni. Potrafią tak lawirować przed sądem, że nie ponoszą odpowiedzialności".

Pierwsza grupa samopomocy dla mężczyzn znęcających się nad żonami powstała w Bostonie w 1977 roku. Takich grup jest obecnie około 50. Bardzo niewielu mężczyzn wstępuje do nich z własnej woli. Przeważnie zgłaszają się z nakazu sądowego. Niemal każdy uważa, że nie zrobił nic złego, a niektórzy twierdzą nawet, że nigdy nie bili swych żon. Ci, którzy uciekają się do przemocy często zrzucają winę na żony. Nick, 33-letni bezrobotny z Nowego Jorku, jest bardziej szczery niż inni:

— Cały czas myślałem, że mam rację. Ona mnie prowokowała.

W toku przerabiania programu leczenia niektórzy mężczyźni mogą osiągnąć pewien stopień świadomości, który sprawia, że ich usposobienie staje się spokojniejsze. 50-letni mężczyzna imieniem Georges oświadczył po 6 tygodniach uczestnictwa w programie:

— Jeśli mąż uzyska kontrolę nad sobą, żona nigdy nie sprowokuje go do bicia.

Żona Georgesa, Susan, twierdzi że od 18 miesięcy ani razu jej nie uderzył.

— Mężczyzna bije żonę, ponieważ może to robić — mówi Richard Gelles, socjolog z uniwersytetu w Rhode Island, jeden z pionierów w dziedzinie badań nad przemocą w środowisku rodzinnym. — Istotnie, mężczyzna na ogół nie podnosi ręki na swego szefa lub kolegów, gdyż groziłyby mu zbyt poważne konsekwencje, jak utrata pracy czy postawienie przed sądem. Do niedawna uderzenie żony nie groziło konsekwencjami, ale obecnie to się zmienia. Schroniska dla katowanych kobiet zapewniają ochronę żonom, które dawniej nie odważyłyby się podać męża do sądu. Dziennikarze, sędziowie, lekarze w szpitalach, sąsiedzi, a nawet funkcjonariusze policji coraz lepiej doceniają rozmiary problemu. Co więcej, w poszczególnych stanach i miastach opracowuje się ustawy dające kobietom realną szansę uzyskania ochrony i pomocy ze strony sądów. Jak podkreśla Franci Livingston, adwokat ośrodka badań nad problemami kobiet w Waszyngtonie, „przed 10 laty nie było prawdziwych, określonych ustaw zapewniających pomoc kobietom. Gdy kobieta chciała uzyskać pomoc za pośrednictwem sądów, mogła się o to ubiegać tylko w ramach procedury rozwodowej lub separacji".

W owym czasie policja nie mogła aresztować winowajcy, jeśli naocznie nie stwierdziła aktu przemocy. Obecnie przepisy te zostały złagodzone. Np. w stanie Michigan uchwalono w 1978 roku ustawę zezwalającą policji na aresztowanie winnego aktu przemocy na zasadzie „prawdopodobnej przyczyny". Ustawa ta posłużyła na wzór dla innych stanów. W stanie Massachusetts kobieta może złożyć skargę do sądu i natychmiast otrzymuje nakaz aresztowania winnego w trybie pilnym.

Przemoc w środowisku rodzinnym po raz pierwszy została uznana za przestępstwo w programie walki ze znęcaniem się nad rodzinami, opracowanym przed czterema laty przez prokuratora Los Angeles. W ten sposób o dalszym losie oprawcy decyduje nie ofiara, lecz sąd. Jak mówi zastępca prokuratora, pani Susan Kaplan, „co roku rozpatrujemy 5 000 przypadków znęcania się nad rodzinami i 50 procent poszkodowanych pragnie wycofać skargi. Teraz możemy im powiedzieć, że skarga będzie rozpatrywana tak czy owak. Skoro mąż uświadomi sobie, że to co zrobił jest przestępstwem podlegającym karze, od razu przyzna się do winy i niepotrzebne jest świadectwo żony".

Jak wynika z danych Państwowego Ośrodka praw kobiet i rodziny, 1/3 kobiet, które zgłaszają się do schronisk była zgwałcona przez swych partnerów. Jeszcze przed czterema laty gwałty te uchodziły za tak naturalne, że senator Bob Wilson z Kalifornii zaprotestował przeciwko ustawie stanowej zezwalającej na postępowanie sądowe w przypadku gwałtu małżeńskiego. „Jeśli nie można gwałcić własnej żony, to kogo można?" — powiedział wówczas senator. Obecnie w 17 stanach zniesiono ustawy wyłączające mężów z procedury sądowej za gwałt.

Zaostrzenie ustaw dotyczących bicia żon przyczyniło się do zwiększenia liczby wyroków. W Duluth np. skazuje się 82 procent oskarżonych o gwałt na małżonkach, podczas gdy w 1979 roku skazano tylko 20 procent. Jednakże wciąż jeszcze niewiele przypadków zgłasza się władzom.

Nowa ustawa może niekiedy działać otrzeźwiająco na zbyt popędliwych małżonków. W jednym z dokumentów policyjnych czytamy: „Jest rzeczą oczywistą, że odkąd policja aresztuje winnych, przypadki recydywy zdarzają się rzadziej". Pani Karla Digirolomo z Nowego Jorku podziela ten pogląd: „Aresztowanie jest na ogół skuteczną metodą, gdyż uświadamia mężczyźnie, że zachował się nieodpowiednio, kobiecie zaś daje pewność, że nikt jej nie zostawi bez pomocy".

Jest to poważna zmiana w poglądach społeczeństwa na sprawę maltretowania żon. Kobiety nie są już osamotnione, wyłączone niejako z systemu prawnego wymierzonego przeciw nim; nie muszą już bronić się przed insynuacjami, że mają to, na co zasłużyły. Obecnie sądy i społeczeństwo stają po ich stronie — a agresywni mężowie muszą płacić koszty swej brutalności.

GWAŁT: BROŃ SEKSUALNA

Johny Carson powiedział dobranoc i wyszedł, a Jetta Young wyłączyła telewizor. W chwilę potem rozległy się kroki w przedpokoju i na progu ciemnej sypialni stanęła współlokatorka Jetty. „Nie bój się — powiedziała jakimś dziwnym, białym głosem — mamy gości".

W sypialni zabłysło światło i Jetta ujrzała straszny widok. Współlokatorka stała nieruchomo, z twarzą zupełnie szarą, a jakiś mężczyzna w niebieskiej marynarce i wąskich spodniach przykładał jej nóż do szyi. Intruz rozkazał pannie Young położyć się na wznak i odwrócić twarz do ściany. Następnie przez trzy godziny wielokrotnie ją gwałcił, podczas gdy przerażona współlokatorka leżała na podłodze.

Jetta nie stawiała oporu. Mimo strachu i bólu czuła na plecach ostrze noża.

— Postanowiłam, że jeśli przeżyję, będę się starała dowiedzieć o nim jak najwięcej — mówi ta 36-letnia pielęgniarka z pogotowia, która nieraz miała do czynienia z ofiarami gwałtu, ale nigdy sobie nie wyobrażała, że ją to może spotkać. — Stale dotykałam go rękami, próbując wykryć jakieś blizny czy inne znaki szczególne, które pozwoliłyby go rozpoznać.

Home, sweet home...

Przed odejściem gwałciciel zapytał Jettę czy ma aparat fotograficzny, gdyż chciałby zrobić zdjęcia swych ofiar. Gdy powiedziała, że nie ma aparatu, wyszedł w ciemną noc, grożąc jeszcze od progu „nie ruszajcie się przez dziesięć minut, bo wrócę". W trzy dni później policja w Los Angeles zatrzymała w pobliżu domu panny Young niejakiego Jeralda Curtisa Johnsa. Miał przy sobie aparat fotograficzny.

32-letni Johne, już raz karany za gwałt, pracował w ciągu dnia jako urzędnik w hotelu dla emerytów i prowadził grupę młodzieżową przy kościele parafialnym. Nocami przemierzał okoliczne ulice. Według ocen policji zgwałcił 100 kobiet w wieku od 24 do 71 lat, mieszkających w rejonie jego „działalności". Jedna z jego ofiar, 37-letnia Sandra Trine, umarła, gdyż w czasie gwałtu udusiła się własnymi wymiotami. 11 sierpnia br. Johne został skazany na łączną karę 142 lat więzienia. „Byłam ofiarą — powiedziała panna Young podczas rozprawy. — Nie mogłam nic uczynić w swojej obronie".

Coraz więcej ofiar gwałtów przerywa zmowę milczenia, jaka panowała wokół tych przestępstw. Nie chcą już nosić piętna współwinowajczyń. W ciągu ostatnich dziesięciu lat kobiety zyskały większe równouprawnienie i wypowiedziały walkę dotychczasowym poglądom na temat gwałtu. Ta kurcjata przyniosła rezultaty. Nastąpiła wyraźna poprawa w sposobie traktowania ofiar gwałtu przez policję, sądy i szpitale. Obecnie w całym kraju działa ponad 700 tzw. kryzysowych ośrodków zajmujących się tym problemem. W większości stanów zaostrzono ustawy zwalczające gwałt, orzeka się więcej wyroków i są one surowsze niż dawniej.

Niemniej gwałt jest nadal jednym z przestępstw wywołujących najwięcej nieporozumień i najrzadziej sygnalizowanych. Jak wynika z danych Biura Statystycznego, FBI i Państwowego Ośrodka Badań Opinii, zgłasza się tylko 3,5 do 10 procent przypadków gwałtu. Eksperci obliczają, że dla każdej kobiety możliwość zgwałcenia wynosi 1:10. Ponieważ jednak zaciera się społeczne piętno, jakie dotychczas obciążało ofiary gwałtu, mogą one odwoływać się do systemu prawnego i domagać się zadośćuczynienia na drodze sądowej. Liczba zgłaszanych przypadków stale wzrasta — w roku 1981 zarejestrowano 99 146 zgłoszeń. Mimo że według opinii władz liczba zgwałceń wzrosła ostatnio (zalicza się do nich przypadki gwałcenia dzieci i mężczyzn), to jednak za główną przyczynę wzrostu uważa się fakt, iż więcej kobiet zgłasza swoje przypadki.

Jednym z kluczowych elementów wpływających na kształtowanie systemu bardziej wrażliwego na los ofiar gwałtów jest lepsze zrozumienie tego, dlaczego ludzie gwałcą. Dawny wizerunek mężczyzny, który nagle ulega niekontrolowanej żądzy, podniecony widokiem wyzywająco ubranej kobiety, stopniowo zaczyna zanikać podobnie jak zanika pogląd, że kobiety same prowokują mężczyzn, a potem krzyczą, że padły ofiarą gwałtu. Obecnie gwałt jest uważany za akt przemocy, nie za przejaw namiętności. Jak mówi A. Nicholas Groth, kierownik programu terapii grupowej dla przestępców seksualnych w więzieniu stanowym w Somers w stanie Connecticut, seks nie jest główną motywacją gwałcicieli, lecz „seksualnym wyrazem agresji".

Groth twierdzi, że większość gwałcicieli to ludzie żonaci lub współżyjący z kobietami, a więc raczej zaspokojeni seksualnie. Gwałcą, aby zademonstrować swoją siłę i władzę. „Są to ludzie niepewni, nieprzystosowani, którzy zdają sobie sprawę, że nie mają kontroli nad swoim życiem ani nad sobą". Jeden z gwałcicieli powiedział Grothowi: „Wie pan, mogłem mieć tyle seksu ile tylko pragnąłem, gdyż mój brat prowadził kilka salonów masażu. Ale ja chciałem brać siłą".

Inny z kolei gwałciciel opowiadał swoim towarzyszom z grupy terapeutycznej na Florydzie, że zanim zaczął gwałcić był podglądaczem. „Czułem się winien, zdawałem sobie sprawę, że źle robię i doszedłem do wniosku, że aby czuć się lepiej, muszę spowodować, aby inni czuli się gorzej".

Dla niektórych mężczyzn gwałt jest sposobem wyładowania gniewu i dlatego często biją swe ofiary. Fred, brodacz o dziwacznie wytatuowanych ramionach poszedł kiedyś wieczorem po papierosy, ale sprzedawczyni powiedziała mu, że przed chwilą zamknęła sklep. Fred wściekł się i bestialsko zgwałcił kobietę.

„Gwałt był u mnie po prostu reakcją, która nastąpiła tak szybko, że nie wiedziałem co się stało".

Często ów gniew jest skierowany przeciwko całemu rodzajowi żeńskiemu. Gwałciciele żywią wobec kobiet coś w rodzaju szacunku połączonego z urazą. Wybierają sobie przypadkowe kobiety, aby wziąć na nich odwet za matki, które ich maltretowały w dzieciństwie lub za żony, które od nich odeszły. „Byłem zły na żonę za to, że miała dziwny stosunek do mojego brata i byłem także zły na pierwszą dziewczynę, którą poznałem, gdy miałem 17 lat i która powiedziała mi, że jestem za mało pewny siebie — mówi John, uczestnik zespołu terapii grupowej w Western State Hospital w Fort Steilacoom w stanie Waszyngton. Czułem, że jestem na cenzurowanym".

Psychologowie są przeważnie zgodni co do tego, że gwałt nie jest formą choroby psychicznej, lecz problemem postawy, mającym swe źródło w niedojrzałości emocjonalnej. Większość psychologów odrzuca pogląd jakoby gwałciciele byli ukrytymi homoseksualistami. Odrzucają go również sami gwałciciele. „Zgwałcenie kobiety to przynajmniej coś normalnego" — powiedział jeden z przestępców. (Ostatnio tzw. środki kryzysowe otrzymują coraz więcej wezwań od mężczyzn, którzy zostali zgwałceni przez innych mężczyzn). Jak na ironię, gwałciciele są na ogół naiwni pod względem seksualnym i zachowanie ich w tej dziedzinie jest bardzo konserwatywne.

Z badań i statystyk wyłania się obraz „typowego" gwałciciela. Jest to więc przeważnie człowiek młody, w wieku od 15 do 19 lat. Atakuje raczej w lecie aniżeli zimą i raczej w nocy aniżeli za dnia. W 50 procentach przypadków napada na ofiarę w jej mieszkaniu. Jest to przeważnie chłopak biedny i podobnie jak 3/4 wszystkich gwałcicieli był ofiarą gwałtu w dzieciństwie. Jednakże eksperci twierdzą, że statystyki są zbyt pobieżne, aby można było zaklasyfikować gwałcicieli do jakiejś kategorii; we wszystkich warstwach społecznych są wyjątki. Jak mówi Judy Ravitz, kierowniczka działającej w Los Angeles komisji d.s. napaści na kobiety, „gwałcicielem może być każdy, szef w biurze, kolega ze szkoły, każdy". Fred Berlin, psychiatra prowadzący klinikę dla przestępców seksualnych w Johne Hopkins Hospital w Baltimore mówi, że miał wśród swych pacjentów księdza, lekarza, prawnika, nauczyciela i kierownika telewizji.

Rozgłos towarzyszący niektórym przypadkom umocnił wśród wielu osób przekonanie, że gwałt jest przestępstwem straszliwie przypadkowym. Oto kilka przykładów:

39-letni dr Edward Franklin Jackson junior, bardzo szanowany lekarz z Columbus przyznał się niedawno swemu adwokatowi, że w ciągu czterech lat zgwałcił 22 kobiety, a co najmniej 10 napastował seksualnie. Wśród napastowanych była także zakonnica. Adwokat Jacksona mówi, że ten lekarz, żonaty i ojciec dwojga dzieci, jest „podwójnym człowiekiem" — sumiennie wypełniającym swe obowiązki w ciągu dnia, a zdegenerowanym w nocy.

14-letnia dziewczynka z St. Louis, która kąpała się w fontannie w parku miejskim została brutalnie napadnięta przez dwóch młokosów, którzy zdarli z niej szorty i gwałcili przez 40 minut. Scenie tej przyglądały się co najmniej trzy osoby dorosłe, które w ogóle nie reagowały na krzyki dziewczyny. Dopiero jakiś 11-letni chłopiec zawiadomił policję.

W marcu br. w New Bedford w stanie Massachusetts, 21-letnia kobieta, matka dwojga dzieci weszła do gospody „wielkiego Dana", aby kupić paczkę papierosów. Barman rzucił ją na ziemię, rozebrał do naga, położył na stole i wraz z trzema kompanami gwałcił i bił swą ofiarę. Koledzy barmana zachęcali okrzykami gwałciciela: „Dalej Jeszcze lepiej Jeszcze jej dołóż".

Ostatnio coraz częściej zdarzają się gwałty zbiorowe, zwłaszcza w ośrodkach akademickich. W kwietniu tego roku przesłuchano przed sądem w Columbus 9 sportowców zamieszanych w sprawę zbiorowego gwałtu, dokonanego rzekomo w sypialni ośrodka; ofiara gwałtu, córka pastora, nie wróciła już do szkoły. Na uniwersytecie w Duke rozwiązano w ub. roku wydział biologii, fizyki i zoologii z powodu zbiorowego gwałtu dokonanego w jednym z domów akademickich.

— Napastnicy nie zdają sobie sprawy, że zniszczyli komuś życie — mówi Peg Ziegler, kirowniczka ośrodka kryzysowego w Atlancie. — Myślą zazwyczaj, że to po prostu stosunek seksualny, a napadnięta nie jest wszakże dziewicą, więc o co ten hałas?". Jeden z gwałcicieli twierdzi, że „w pewnym momencie zgwałcona zawsze odczuwa przyjemność".

Badania wykazały, że musi minąć długi okres czasu — niekiedy pół roku — zanim ofiara dojdzie do siebie i zacznie żyć normalnie.

— To tak jakby się przeżyło zabójstwo samej siebie — mówi 28-letnia Lindsay, pielęgniarka z Houston. Ona również była kiedyś zgwałcona przez dwóch mężczyzn, którzy złamali jej szczękę, gwałcili ją na przemian, a na koniec wepchnęli jej do pochwy kolczyki o ostrych kantach. Przypomniało mi się całe moje życie — opowiada dziewczyna. — Myślałam sobie jak bardzo pragnęłam zawsze, aby moja mama wiedziała, że ją kocham i dbam o nią. A potem musiałam rozmawiać z policjantem z zaschniętą spermą na twarzy.

Szok po zgwałceniu przejawia się w różnych formach. Ofiary popadają w depresję, mają stale poczucie winy, tracą zainteresowanie dla spraw płciowych, zrywają znajomości, przestają ufać ludziom, obsesyjnie troszczą się o swe bezpieczeństwo. Badania wykazują, że rozwody i próby samobójstwa są bardzo często następstwem zgwałcenia. „Żyję jak w klatce — mówi Mary Bronnenberg, jedna z pacjentek szpitala w Los Angeles. — Mam żelazne sztaby na oknach i reflektory na dachu i wiem, że nikt nie może dostać się do domu, a mimo to się boję".

Nie ma żadnych standardowych reakcji na atak. Wielu specjalistów od samoobrony doradza zajęcie agresywnej postawy od samego początku. Ale nigdy nie wiadomo jak dany napastnik zareaguje. Jeden z gwałcicieli mówił, że puszczał ofiarę wolno, gdy tylko zaczynała krzyczeć, inny zaś powiedział, że zasztyletował kobietę, która stała się agresywna.

Ośrodki kryzysowe dyżurują przez 24 godziny. Doradcy asystują ofiarom gwałtów przy badaniu lekarskim, a także pomagają im przy składaniu skargi na policji. Ta ostatnia czynność jest bardzo ważna, gdyż zapewnia ukaranie przestępcy, a także umacnia pozycję ofiary.

— Nie należy doradzać zaniechania meldunku, gdyż to może sprawić wrażenie, że ofiara miała jakiś udział w gwałcie — mówi Gail Abarbanel, kierowniczka ośrodka leczenia ofiar gwałtów w Santa Monica w Kalifornii.

Najtrudniej jest oskarżać gwałcicieli, których się zna, a takie przypadki zdarzają się często (około 50 procent wszystkich zgłaszanych spraw). Bywa tak, że ofiara zna napastnika, czasem nawet jest z nim w przyjaznych stosunkach. Wówczas ludzie mogą powiedzieć, że i ona nie była bez winy. „Kobiety same wymierzają sobie najgorszą karę" — mówi Martha Burth, asystentka Instytutu Miejskiego w Waszyngtonie.

c.d.n.

(„TIME")

Poznajmy dawną Łódź (3)

Ulice mego dzieciństwa

KAROL TOMPOREK

MÓJ STARY

Jak sięgnąć pamięcią wstecz usposobienie miał nierówne. Przeważnie był ponury, mrukliwy i nieprzystępny. Skrajne przeciwieństwo matki, która była wiecznie pogodną optymistką, i to głównie do niej, jak do kokoszy-karmicielki, garnęła się cała nasza gromadka. Ona była romantyczką i marzycielką. Stary zaś chłodnym racjonalistą i równocześnie niewydarzonym autorem poronionych pomysłów.

Miał z pewnością nielekkie życie. Spoczywał na nim obowiązek ogarnięcia i wyżywienia 5-osobowej rodziny. Kiedyś, gdy pracował, nie stanowiło to szczególnego problemu. Stary zatrudniony był wówczas w gazowni miejskiej. Był latarnikiem, a pracę miał nieskomplikowaną. Odziany w stosowny uniform i czapkę, wychodził dwukrotnie w ciągu dnia — o zmroku i o świtaniu — w swój rejon. Obchodził wszystkie latarnie gazowe i długą tyczką gasił je lub zapalał. To była jego praca wymagająca tylko jednej rzeczy, punktualności. Wychodził tak zawsze bez względu na porę roku i pogodę, chyba że zachorował albo... się upił. To ostatnie zdarzało się dosyć często. Sytuację ratowała wówczas matka. Zwlekała ze starego uniform, ubierała się weń sama, pod czapkę utykała uczesane w kok włosy i tak odziana szła od lampy do lampy czyniąc nie swoją powinność. Długo się tego ukryć nie dało. Któregoś dnia staremu podziękowano za pracę. Zbiegło się to zresztą z wprowadzeniem mechanizmów, za pomocą których ceremoniał gaszenia i zapalania latarni odbywał się automatycznie, z gazowni. Dostał wprawdzie na jakiś czas pracę przy piecach koksowniczych, wytwarzających gaz, ale z tych samych względów długo się nie utrzymał.

Zanim dostał sezonową pracę na Gdańskiej w farbiarni, żyliśmy z tego co dała ul. Łąkowa. Z zasiłku dla bezrobotnych, wypłacanego w złotówkach lub paczkach żywnościowych.

Jego skłonność do gorzały zrodziła w rodzinie tradycję stosowania różnego rodzaju zabiegów, aby jeżeli nie uniemożliwić mu picie w ogóle, to przynajmniej zneutralizować jego rozmiary, dla ratowania wypłaty przed całkowitym roztrwonieniem. Zawsze więc w dniu wypłaty matka obejmowała straż przed farbiarnią. Była przystojną brunetką i na jej widok mężczyznom czapki same schodziły z głów. Znali matkę, więc wychodząc z farbiarni serdecznie ją pozdrawiali. Chmurzył się tylko stary, który już od rana wybierał z kumplami knajpę na resztę dnia. Obecność matki przed farbiarnią uniemożliwiała realizację tych planów. Ta „bezczelność" nie uchodziła matce zresztą na sucho. Często wracała do domu sama, z podsiniaczonymi oczyma, jako że stary był dość krewki.

Następowała więc zmiana warty, posterunek przed farbiarnią obejmowaliśmy my, dzieci. Czasem to się udawało. Wprawdzie stary wchodził do knajpy z kolegami, ale pod naszym nadzorem. Dorośli zamawiali pół litra i zakąski, a dla nas serwowano ciastka lub czekoladę, przeciwko czemu nic nie mieliśmy, nie będąc zbyt często rozpieszczani słodyczami. Byliśmy wdzięczni za poczęstunek i tolerancyjni dla starego tak długo, póty pito pierwsze pół litra. Wystarczyła jednak najmniejsza nawet aluzja któregoś z pijących, by obsuszyć kolejną butelkę, gdy cała nasza trójka podnosiła chóralne żądanie:

— Tato, chodźmy do domu!

Z sąsiednich stolików milkły wówczas podniesione głosy biesiadników. Uwaga całej sali ześrodkowywała się na ojcu, jego kompanach i naszej gromadce. I to było skuteczne. Kompanom ojca jakoś szybko odchodziła ochota do dalszego picia w naszym towarzystwie. Żegnali więc ojca pospiesznie i wychodzili... szukając innej knajpy, a my wracaliśmy do domu ze Starym, wściekłym jak osa.

Zdarzały się przecież wypadki, że w dniu wypłaty Stary robił nas „w konia". Wymykał się mianowicie z farbiarni innym niż zwykle wyjściem i tyle go było. Nie pozostawało nam wówczas nic innego jak szukać go po knajpach i często nam się to udawało.

Byłem tak oswojony z tym, co wódka potrafi zrobić z człowieka, iż uważałem to za rzecz najzwyklejszą w świecie. Obce mi było uczucie wstydu czy zażenowania, w sytuacjach gdy musiałem przebywać z pijanymi lub co gorsza pijanego taszczyć do domu. Uczucia tego zacząłem doświadczać w parę lat później, gdy poszerzyły się moje horyzonty myślowe i świat oglądać zacząłem z innej już perspektywy. Natomiast gorzała wywarła przemożne piętno strachu na naszych dziecięcych umysłach. Nałóg u naszego Starego objawiał się w trzech stadiach. Pierwszym stadium po wypiciu paru tylko kieliszków wódki, po których Staremu poprawiał się humor i dobre samopoczucie. Był wówczas rozbawionym, miłym człowiekiem, skłonnym do śmiechu i zabawy. Trzecie stadium, to wypicie tyle gorzały, że walił się z nóg, tracąc pozory człowieczeństwa i upodabniając się do najprymitywniejszego zwierza. Najgorsze było jednak stadium drugie, pośrednie, między pierwszym a trzecim. Stary wracał wówczas na własnych nogach, ale w nastroju, którego kulminacją były z reguły obelgi i okrutne znęcanie się nad matką.

W te dni zatem, kiedy nie udało się go przyholować do domu, minuty i godziny odmierzane były biciem naszych zatrwożonych serc. Nie było rozmów ani zabawy, nie kładliśmy się również spać, aby każdej chwili być gotowym do ucieczki. Nasze zmysły były tak wyostrzone, że kiedy Stary wreszcie wracał, po pierwszych paru jego krokach, stawianych na drewnianych dudniących schodach, poznawaliśmy w jakim stanie przybywa. Spadały nam ciężkie kamienie z serc, kiedy kroki na schodach były lekkie i gdy towarzyszyła im przyśpiewka „wodku popijem, fajku zakurim...", natomiast przerażenie osiągało zenitu, gdy kroki były wolne, ciężkie i towarzyszyło im jedynie gniewne posapywanie. Potem Stary wtaczał się do mieszkania jak furia i zaczynał swoją uwerturę. Obrzucał matkę najohydniejszymi wyzwiskami, wymawiając jej pochodzenie i domniemane przywary. Matka początkowo milczała, ale w pewnym momencie nie wytrzymywała i zaczęła odpłacać Staremu pięknym za nadobne. Staremu chyba o to właśnie chodziło. Przestawał bić dopiero wtedy, gdy opadł z sił, zmożony szamotaniną z naszą trójką czepiającą się jego nóg po stronie matki.

Często jednak cała nasza rodzina musiała ratować się przed nim ucieczką na schody, na których siedzieliśmy tak długo, póki Stary nie usnął.

ŻEBRACZKA KAZIMIERA

Szedłem moją ulicą w kierunku Piotrkowskiej. Tuż przed skrzyżowaniem, przed oknem wystawowym piekarni-cukierni, stał młody, ubogo ubrany człowiek. Nędza, w jakiej musiał się znajdować, wyryła na jego wychudzonej twarzy swoje piętno. Nie był chyba w najlepszej kondycji. Świadczyły o tym jego chorobliwie świecące oczy wpatrzone lunatycznie w wyłożone na wystawie pieczywo. Do piekarni bez przerwy ktoś wchodził lub wychodził, ciągnąc za sobą zapach drożdżowego, świeżego pieczywa, wanilii i rumu. Człowiek stał i patrzył urzeczony w wystawę, potrącany przez mijających go przechodniów. Stanąłem w pobliżu i zgadywałem — wybije czy nie wybije szyby? Ale będzie cyrk! — pomyślałem, pewien, że szkło za chwilę poleci. Ale nic takiego nie było za sprawą starszego, dystyngowanego pana. Podszedł on do młodego człowieka, coś mu powiedział, wszedł do sklepu i za chwilę podawał młodzieńcowi bochenek świeżego chleba. Ten porwał swój skarb. Skoczył do wnęki najbliższej bramy i szarpiąc bochenek rękoma, łykał żarłocznie kęsy, płacząc jednocześnie z upokorzenia. Znalazł się widocznie na dnie nędzy, ale jeszcze nie na tyle, by stanąć na rogu z wyciągniętą ręką, jak to na przykład robiła stara Kazimiera. Nikt nie wiedział ani w jakich okolicznościach straciła nogi ani gdzie mieszkała, ale na mojej ulicy znana była wszystkim.

Urzędowała nieregularnie na trasie między Piotrkowską a Sienkiewicza. Nogi miała amputowane tak nisko, że bez żadnego trudu chodziła na rękach, przenosząc na nich swój tułów, posuwiście do przodu. Jałmużna wystarczała jej nie tylko na utrzymanie. Często wczołgiwała się do naszej bramy, odbijała „szczeniaka" czyli stugramową butelkę wódki, wysuszała do dna, po czym dźwigała swój tułów na rękach do góry i trwała tak chwilkę bez ruchu. A kiedy do rynsztoka wyciekła spod niej struga moczu, czołgała się znowu na swój posterunek. Robiła to bez żadnego skrępowania, również w naszej — dzieciarni — obecności. Zawsze zresztą była w dobrym humorze i zawsze „na bańce".

ŚMIERĆ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Byłem chyba w piątej klasie, gdy umarł Józef Piłsudski. W szkole urządzono akademię żałobną, na której miałem wygłosić wiersz napisany przez kogoś specjalnie na tę okoliczność. (moja szkoła nosiła imię Józefa Piłsudskiego, stąd ta wyjątkowo uroczysta akademia).

Na przygotowanie się, obkucie miałem tylko 1 dzień czasu i z tego tytułu zwolniono mnie nawet od zajęć. Matka była dumna z wyróżnienia jakie mnie spotkało, tylko Stary, słuchając mojego dukania poszczególnych strofek, mruczał coś gniewnie pod nosem. Obkułem na blachę i kiedy w obecności paruset uczniów, nauczycieli i gości wystąpiłem jako główna postać chwili, nie odczuwałem żadnej tremy i nie potknąłem się ani razu. Byłem już po mutacji, głos miałem teraz czysty i wyrazisty. Zacząłem:

„Wodzu nasz!
zasnąłeś na wieki
Cały kraj polski okryłeś żałobą
Spod krzaczastej brwi swojej powieki już nie uchylisz
I nie ujrzysz, jak naród dziś płacze za Tobą".

Zrobiłem efektowną przerwę, trochę dla sprawdzenia wrażenia. Ale słowa wiersza jakoś się nie potwierdzały. Nikt nie płakał. Wciągnąłem haust powietrza do płuc i kontynuowałem:

„Twoja krew Wodzu,
Polkę nam wskrzesiła.
Znów powstała wolna, niepodległa.
Twego to ducha niepodzielna siła
Będzie honoru jej zza grobu strzegła...".

JAK STRZELANO Z KALICHLORKU

Starzy do kościoła chodzili rzadko, raz lub dwa razy do roku. Natomiast my, dzieci, każdej niedzieli musieliśmy być w kościele obowiązkowo. Nie stanowiło to dla mnie szczególnej uciążliwości, bo w kościele Świętego Krzyża były cudownie brzmiące organy i najlepszy chyba w mieście chór mieszany.

W święta wielkanocne ksiądz od ołtarza intonował: „Wesoły nam dziś dzień nastał", a potem zawtórowały mu organy i odezwał się chór mieszany kontynuując... „którego każdy z nas żądał, tego dnia Chrystus z martwych powstał, Alleluja, Alleluja!!", a równocześnie na ulicy przed kościołem zaczęły pękać petardy robione z kalichlorku.

Przygotowania do Świąt Wielkiej Nocy trwały już na długo przedtem. Gromadzono kalichlorek, który nabywano u znajomych drogerzystów. Oficjalnie bowiem obowiązywał zakaz policyjny strzelania z kalichlorku i jego sprzedaży. A technik strzelania było kilka. My, maluchy posługiwaliśmy się w tym celu prostym urządzeniem wykonanym z klucza, kawałka mocnego sznura i stępionego na końcu gwoździa. Na końcach sznura wiązało się klucz i gwóźdź. Następnie do dziurki klucza wsypywało się porcję proszku detonującego i ubijało lekko gwoździem. Potem należało rozhuśtać klucz z tkwiącym w nim gwoździem i uderzyć mocno o ścianę. Następowała wówczas detonacja, której intensywność zależała od wielkości otworu w kluczu. Im większy klucz, tym większa detonacja i większe niebezpieczeństwo wypadku. Klucze często bowiem pękały już przy pierwszym wystrzale.

Byli przecież specę, którzy strzelanie z kluczy uważali za dziecinadę uwłaczającą ich ambicji. Ci posługiwali się inną techniką. Kalichlorek wkładano do płóciennych szmatek i zawiązywano w ścisłe, mocno ubite pęczki. Do wywołania detonacji używano dużych kamieni. Kładło się pęczek kalichlorku na bruku i uderzało weń przygotowanym kamieniem. Siła wybuchu była znaczna, a kamień odrzucany był w górę na wysokość głowy i wyżej. Strzelający musieli więc natychmiast po rzuceniu kamienia na ładunek odbiegać, aby nie oberwać 5—6-kilogramowym kamieniem. Było w zwyczaju, że gdy strzelającym kończył się zapas posiadanego kalichlorku, dalsze ładunki padały z tłumu przyglądających się.

PARA CZY NIE PARA

Na rogu ulicy kanciarze rozłożyli składany stolik i krzykliwym głosem zachęcali frajerów do gry w „para czy nie para". Przedmiotem gry były cukierki owinięte w celofan. Stawka wynosiła złotówkę. Biorących udział w grze zawsze znajdowało się wielu, gdyż ludzie wierzyli w doskonałość swoich oczu i w uczciwość ludzką. A to właśnie było niewybaczalną głupotą. Odbywało się to w sposób następujący: Właściciel stoliczka z kupki cukierków leżących na krawędzi przesuwał palcami po dwie sztuki licząc monotonnie: i raz, i dwa, i trzy, i cztery, za złotówkę — dwa złote, za pięć — dziesięć, za pięćdziesiąt — sto złotych, i dziesięć, i jedenaście (za każdym razem odliczając po 2 cukierki). Potem zgarniał odliczone cukierki oburącz w taki sposób, że nie sposób było ich przeliczyć.

— No proszę, śmiało panowie i panie, kto obstawia. Za złotówkę dajemy dwa złote, za pięć — dziesięć.

Ludzie się jeszcze wahali, choć każdy na własne oczy widział parzyste odliczanie cukierków. Wtedy do akcji wkraczali naganiacze. Rzucał złotówkę i ryzykował „para", następny naganiacz rzucał dwa złote typując również parzystą liczbę cukierków. Któryś z naiwniaków dawał się wciągnąć do gry i rzucał także 2 złote typując „parę". Jeszcze parę słów zachęty ze strony kanciarza, a gdy się już nikt nie kwapił, kanciarz poprawiał oburącz stosik cukierków (zatrzymując niewidocznie pod kciukiem dłoni jeden cukierek i prawą ręką rozpoczynał liczenie. Wychodziła nie para. Złotówki wędrowały do kieszeni kanciarza i gra rozpoczynała się na nowo. Naiwniak zgrany i zubożony o dwa złote nie od razu się poddawał, gdyż chciał się odegrać, znów obstawiał i lekko pochylony wpatrywał się uważnie w ceremoniał liczenia. Dwa, cztery, sześć, dwadzieścia, dwadzieścia sześć, trzydzieści osiem, koniec. Znów ceremonia uformowania kopczyka cukierków (i ukrycie jednego cukierka pod kciukiem) oraz zapraszanie do obstawiania. Naganiacze znów wabią: 2 złote — para, 1 złoty — para, 5 złotych — para. Ten co się chce odegrać, długo się waha, aż wreszcie podejmuje ryzyko. Rzuca pięć złotych i lekko drżącym głosem mówi:

— Nie para.

Kanciarz poprawia kopczyk cukierków obu rękoma (cukierek spod kciuka wędruje z powrotem do odliczonej zawartości) i do liczenia zaprasza... naiwniaka. Ten liczy czerwony z emocji i raptem spotniały blednie, 38 cukierków, para! Przelicza jeszcze raz i para!! Kanciarz zagarnia pieniądze i wprawnie dokonuje wypłat. Za jeden złoty — dwa, za dwa — cztery (odbiorcami są naganiacze). Wystarczyłoby, by naiwniak próbował zakwestionować grę i odzyskać utracone pieniądze, by do akcji wkraczali naganiacze — Uwaga! Policja!! — padał okrzyk i w okamgnieniu cukierki wędrowały do kieszeni, a złożony stoliczek pod kapotę. W sekundę potem oszust i naganiacze znikali w okolicznych bramach, a na chodniku pozostawał oszołomiony i zrobiony w konia naiwniak oraz garstka gapiów.

c.d.n.

Foto: Mirosław Zajdler

W kręgu fantastyki

Zapis trzeci

Dział Telekinezy, którym od momentu powstania XIII Laboratorium kierował docent Bezmozgow, przez długi czas nie mógł poszczycić się żadnym, najmniejszym nawet osiągnięciem. Wprawdzie magister Knoth, już w pierwszym tygodniu pracy, przedstawił radzie naukowej laboratorium rewelacyjne wyniki swoich badań nad ruchem wahadłowym i rotacją złotej obrączki wytrąconej myślą ze stanu równowagi, ale okazały się one zwykłym szalbierstwem. Gdy w czasie demonstracji zdolności telekinetycznych doktor Żużel zażądał, aby Knothowi zalepić plastrem usta i dziurki w nosie, co też niezwłocznie uczyniono, złoty pierścień zawieszony na jedwabnej nici ani drgnął, chociaż magister wpatrywał się w niego tak intensywnie, aż oczy zaszły mu łzami, a po dwóch minutach zemdlał.

Po tej kompromitacji Bezmozgow z grupą najbliższych współpracowników, do których Knoth już nie należał, prowadził dalsze badania w najgłębszej tajemnicy, odmawiając udzielenia jakichkolwiek informacji nawet przewodniczącemu rady naukowej. Na tym tle doszło do kilku ostrych scysji, sprawa oparła się o dyrektora, ale docent postawił na swoim. To oczywiście wzbudziło niepohamowaną ciekawość pozostałych pracowników XIII Laboratorium, którzy wszelkimi sposobami starali się przeniknąć mur dyskrecji, jakim otoczył się Dział Telekinezy. Doszło nawet do tego, że grupa młodych elektroników zaniedbując swoje obowiązki służbowe skonstruowała zdalnie sterowany aparat do podglądu i podsłuchu, wyglądem do złudzenia przypominający muchę. Całe stado tych mechanicznych owadów przez kilka dni latało po gabinecie Bezmozgowa, łaziło po papierach na jego biurku, aż w końcu docent złapał jedną i poszedł ze skargą do dyrektora. Fus, aczkolwiek niechętnie, zwolnił wścibskich konstruktorów z pracy i to położyło kres naukowemu szpiegostwu w XIII Laboratorium. Nawiasem mówiąc, podobno cała grupa zwolnionych inżynierów natychmiast otrzymała fantastycznie płatne posady w mało znanej szerokim kręgom społeczeństwa instytucji, nad której wejściem wypisany był cytat z Ewangelii.

Falę zainteresowania osłabił również czas. Mijały miesiące, potem lata, a w Dziale Telekinezy pozornie nic się nie działo. Owszem, czasem dochodził stamtąd hurkot, jakby po wyboistej drodze ktoś przesuwał pustą szafę, dwa czy trzy razy z niezrozumiałych przyczyn wyleciały szyby z okien gabinetu Bezmozgowa, ale pracownicy laboratorium, przyzwyczajeni do bardziej spektakularnych wypadków, przyjmowali te zdarzenia z narastającą obojętnością. Jedynie doktor Owsianko wiedziona kobiecą ciekawością, wykorzystując sympatię, jaką do jej osoby żywił Bezmozgow, systematycznie odwiedzała docenta, ale zawsze z tych wizyt wracała rozczarowana.

Sytuacja diametralnie zmieniła się pewnego wiosennego przedpołudnia, gdy doktor Owsianko, raczej już z przyzwyczajenia niż z ciekawości, zajrzała do Działu Telekinezy. Korytarz jak zwykle był wyludniony, za drzwiami gabinetu Bezmozgowa panowała cisza, ale Owsianko intuicyjnie wyczuła, że tym razem dzieją się tam rzeczy niezwykłe. I nie omyliła się. Ledwo uchyliła drzwi, gdy coś — jak później stwierdziła, była to szklanka z resztkami kawy — przeleciało tuż przed jej nosem i rozbiło się o metalową framugę. Jednocześnie poczuła, że lepka maź spływa jej po twarzy.

— Na litość boską, Henryku! — krzyknęła pani doktor przecierając oczy — co ty wyprawiasz!

— Och, najmocniej przepraszam cię, moja droga! — doANDRZEJ MERCIK

Rakieta

(Z Raptularza XIII Laboratorium)

cent podbiegł do mile widzianego gościa i pośpiesznie zaczął ścierać chusteczką z twarzy Owsianki kawę wraz z makijażem.

Kiedy już jedno i drugie zniknęło z oblicza pani doktor, Bezmozgow troskliwie usadowił ją w fotelu.

— Jesteśmy właśnie w trakcie przeprowadzania eksperymentu, który ma fundamentalne znaczenie dla naszego działu... — docent chaotycznie próbował wyjaśnić przyczynę niecodziennego powitania, ale Owsianko prychając jak obrażona kotka przerwała mu w pół zdania.

— Nie sądziłam, że oblewanie gości kawą wchodzi w zakres twoich badań naukowych.

— Ależ moja droga, pozwól, że ci wszystko wytłumaczę — docent wskazał ręką drobnego, zasuszonego człowieczka w kącie gabinetu, którego Owsianko dopiero teraz zauważyła. — To jest mój nowy współpracownik, pan X.

— Iks...? — zapytała pani doktor, mierząc adepta telekinezy wzrokiem, jakim zwykle spogląda się na doczesne szczątki faraonów.

— Pan X jest urzędnikiem państwowym i współpracuje z naszym działem jedynie dorywczo. Dlatego prosił o zachowanie incognito, gdyż ujawnienie jego nazwiska byłoby zapewne niemile widziane przez szefa biura i miałoby negatywny wpływ na dalszą karierę pana X.

— Widzę, Henryku — rzekła Owsianko z dezaprobatą kiwając głową — że tając nawet przed radą naukową wyniki swoich badań, jednocześnie ujawniasz je ludziom obcym, spoza laboratorium.

— Tego wymagało dobro nauki. Jak ci już kiedyś tłumaczyłem — powiedział szybko Bezmozgow, aby nie dopuścić do głosu panią doktor, która znów szykowała jakąś złośliwą uwagę — każdy człowiek posiada zdolności telekinetyczne, niestety, w większości przypadków są to zdolności tak nikłe, że można je wykryć tylko przy pomocy niesłychanie czułej aparatury. Ale zdarzają się ludzie fenomenalni, o zdolnościach milionkrotnie przewyższających uzdolnienia przeciętne. Pan X jest właśnie takim fenomenem.

Owsianko jeszcze raz spojrzała na zasuszonego człowieczka, tym razem z zainteresowaniem.

— Przeprowadzamy właśnie pierwsze eksperymenty — kontynuował docent głosem pełnym ledwo maskowanej dumy — których wyniki są bardzo obiecujące. Pan X porusza siłą woli różne przedmioty. Niestety, nie opanował jeszcze umiejętności sterowania ich ruchem. Czy mógłby pan poruszyć tę popielniczkę? — Bezmozgow wskazał swojemu współpracownikowi ciężki kryształowy przedmiot na biurku.

Pan X przymknął oczy, przez chwilę koncentrował się, a następnie, jak bazyliszek, wbił ostry wzrok w kryształ. Popielniczka drżąc lekko uniosła się nad powierzchnię biurka i wolno przepłynęła w powietrzu w kierunku drzwi. Ale w tym momencie umiejętności pana X zawiodły, bo zaczęła gwałtownie opadać, a gdy eksperymentator jeszcze bardziej natężył wolę, jak wystrzelona z armaty śmignęła tuż koło głowy Bezmozgowa i wyleciała przez otwarte okno. W sekundę później z ulicy dały się słyszeć wściekłe okrzyki i przekleństwa. Widząc taki obrót sprawy, doktor Owsianko pośpiesznie złożyła gratulacje docentowi i opuściła jego gabinet.

Przez następne tygodnie przebywanie w pobliżu Działu Telekinezy było wręcz niebezpieczne. Już nie popielniczki, czy szklanki z kawą, ale nawet biurka latały po hallu i korytarzach. Pracownicy sąsiednich działów, najpierw na znak protestu, zaczęli przychodzić do laboratorium w kaskach ochronnych, a w końcu inspektor bhp złożył u dyrektora stanowczy protest przeciwko dalszym eksperymentom Bezmozgowa. Wtedy Fus wezwał docenta.

Bezmozgow przyszedł w towarzystwie pana X; swobodnie rozparł się w fotelu czekając na pytania, a jego pierwszy asystent przycupnął na krześle w kącie gabinetu. Fus zmierzył ich przeciągłym spojrzeniem, co miało obydwu delikwentom uzmysłowić, że rozmowa nie będzie przyjemna. Potem, aby przedłużyć jeszcze znaczącą ciszę, sięgnął po papierosy. Bezmozgow nieznacznym ruchem dłoni dał znak panu X, a ten zmarszczył brwi i wytężył wzrok. W tym momencie pozłacana zapalniczka stojąca na biurku uniosła się i usłużnie skrzesała ognia. Dyrektor nie drgnął nawet, chociaż zjawisko było niezwykłe. Zapalił, otaczając się kłębami wonnego dymu i z uwagą obserwował, jak zapalniczka z powrotem ląduje na blacie biurka. Opadła miękko z ledwo słyszalnym stuknięciem, ale nieco w bok od poprzedniej pozycji; Fus skrzywił się z dezaprobatą. Pan X natychmiast wprowadził korektę i oblicze dyrektora rozjaśniło się nieco.

— Panie docencie — Fus zwrócił się do Bezmozgowa — zwyczaje panujące w Dziale Telekinezy w wielu punktach zasadniczo różnią się od regulaminu naszego laboratorium. Tolerowałem to rozumiejąc, że każda komórka naukowa ma swój specyficzny styl pracy. Niestety, w ostatnim czasie wpłynęło do mnie tak wiele skarg, iż jestem zmuszony prosić o wyjaśnienie przyczyn zdarzeń, jakie miały miejsce w pańskim dziale — dyrektor był niezwykle uprzejmy, co świadczyło o jego wyjątkowo złym humorze.

Bezmozgow nie przejął się tonem wstępu do rozmowy.

— Mieliśmy trudności z opanowaniem sterowania poruszanych ciał — oświadczył swobodnie — ale pokonaliśmy ten problem. W tej chwili pan X całkowicie panuje nad ruchem obiektów, co zademonstrował przed chwilą. Dlatego myślę, że więcej skarg na mój dział już pan nie usłyszy. Jeśli to wyjaśnienie uznaje pan za wystarczające, chciałbym teraz przedstawić panu propozycję wspólnego przeprowadzenia eksperymentu naukowego, który bez wątpienia stanie się sensacją stulecia — docent nie zważając na groźną minę Fusa skierował temat na inne tory. — Wspólnie z panem X opracowaliśmy projekt statku kosmicznego poruszanego mocą telekinezy i postanowiliśmy prosić pana o zaproponowanie programu badawczego pierwszego lotu.

Po tych słowach dyrektor zapomniał, po co wezwał Bezmozgowa. Jego marzeniem, od wielu już lat, było wysłanie na orbitę wokółziemską aparatury do poszukiwania złóż surowców mineralnych w oparciu o metodę zapożyczoną z różdżkarstwa. Prototyp tego przyrządu umieszczony na pokładzie wysłużonego helikoptera wojskowego został już wypróbowany i chociaż firma, na której zlecenie Fus poszukiwał ropy naftowej, w krótkim czasie ogłosiła niewypłacalność, docent swoją metodę uważał za obiecującą, a przyczyny błędnych wskazań dopatrywał się w zakłócającym wpływie atmosfery. Niestety eksperci z Krajowej Agencji Badań Kosmicznych mieli inny pogląd na tę sprawę i kategorycznie odmówili umieszczenia elektronicznej różdżki na pokładzie jakiegokolwiek sztucznego satelity. Fus ciężko przeżył porażkę i nigdy się z nią nie pogodził. Oskarżył nawet dyrektora naukowego Agencji o niekompetencję i stronniczość, a że mimo braku dowodów zarzutów nie odwołał, kosztowało go to sporo. (Z możliwości zamiany grzywny na areszt nie skorzystał, bo musiałby wtedy zrezygnować z udziału w ważnej konferencji, na którą z trudem zdobył zaproszenie). Teraz Fus czuł, że nadchodzi chwila, w której udowodni światu swoje racje.

Szczegółowy plan kosmicznego eksperymentu został opracowany w ciągu paru tygodni, a konstrukcję pojazdu zaprojektowano i wykonano w warsztatach laboratorium również w rekordowym tempie i w połowie lipca, na terenie podmiejskiej rezydencji Fusa, stanęła rakieta gotowa do startu. Mimo braku członu napędowego wyglądała imponująco: kilkaset ton masy, sześć pięter wysokości, od rufy po dziób wypełniona aparaturą badawczą, bo gdy tylko wieść o locie rozeszła się po laboratorium, okazało się, że każdy dział ma coś do załatwienia w kosmosie; tak, że oprócz różdżki dyrektora upakowano w niej kilkadziesiąt innych urządzeń. Pan X z początku próbował protestować przeciwko takiemu przeładowaniu rakiety, ale w końcu uległ argumentom Bezmozgowa i innych kierowników działów. Teraz nerwowo krążył wokół pojazdu, jak ciężarowiec przed podejściem do sztangi, a odświętnie ubrani naukowcy stali kręgiem w bezpiecznej odległości i obserwowali go z nieukrywanym podnieceniem.

Wyznaczona chwila startu już minęła, ale dyrektor czekał jeszcze, bo z telewizji nikt się nie zjawił, chociaż zaproszenie na ozdobnym blankiecie wysłano przed tygodniem. Tylko jeden reporter z goniącej za sensacjami popołudniówki ze znudzoną miną kręcił się po placu, częściej zerkając w stronę wspaniałej willi Fusa niż w kierunku rakiety.

Po godzinie oczekiwania dyrektor machnął ręką.

— Nie skorzystali z zaproszenia, więc będą tego żałować — mruknął. — Zaczynamy!

Krąg naukowców zafalował i cofnął się jeszcze o krok. Bezmozgow podbiegł do pana X, półgłosem udzielił mu kilku instrukcji i też wycofał się pod osłonę rozłożystej czereśni. Zapadła cisza; nawet szpaki uwijające się wśród gałęzi obleplonych soczystymi owocami, jakby wiedzione złym przeczuciem, pierzchły do innych ogrodów.

Pan X koncentrował się przez chwilę, a potem wpatrzony w rakietę natężył wolę. Przez statek przebiegło drżenie, lśniąca powierzchnia kadłuba zmatowiała, ale nic więcej się nie stało. Rozczarowani widzowie westchnęli. Pan X westchnął także, otarł pot z czoła i ponowił próbę. Tym razem wyzwolił całą swoją energię psychiczną. Jego wysiłek był olbrzymi; pobladł, skurczył się przytłoczony straszliwym ciężarem, ale rakietę ruszył z miejsca. Uniosła się parę centymetrów, jakby stanęła na słupie ognia, a potem powoli, w żółwim tempie zaczęła pełznąć w górę. Tytaniczne zmaganie się dwóch sił: ciężaru i psychiki trwało przez chwilę, aż nagle statek zachybotał się i z głośnym trzaskiem runął na ziemię, a pan X... wystrzelił w nieboskłon z przyśpieszeniem kilku g.

Rwetes podniósł się nieopisany. Zaszokowani przebiegiem wypadków, jedni naukowcy rzucili się do ucieczki, inni biegli w kierunku rakiety; ktoś krzyczał, aby w pogoń za panem X wysłać myśliwce ponaddźwiękowe. Tylko Bezmozgow kompletnie załamany usiadł pod drzewem i klął na czym świat stoi. Nawet informacja przysłana z obserwatorium, że pan X wszedł na orbitę przewidzianą programem lotu, nie pocieszyła go ani trochę.

Z tego stanu głębokiej depresji wyrwał go Fus.

— Przeceniliśmy możliwości pańskiego asystenta — rzekł, siadając na trawie koło Bezmozgowa — ale mam nadzieję, że to niepowodzenie nie zahamuje dalszego postępu badań.

Docent uniósł głowę i spojrzał w kierunku rakiety; przechylona na bok wyglądała jak pomnik Pokonanych Bohaterów Kosmosu.

— A czegóż my dokonamy bez pana X...? — zapytał z goryczą i nie czekając na odpowiedź dodał: — Przecież drugiego takiego fenomena już nie znajdziemy.

— To nie ma żadnego znaczenia! — zaprotestował Fus. — Nowe kierunki rozwoju nauki zawsze wytyczali i wytyczać będą geniusze, ale na tym ich rola się kończy. Wpływ na losy ludzkości ma dopiero upowszechnienie ich dokonań. Pana X niestety nie ma już wśród nas, lecz wiedza i suma doświadczeń zebranych dzięki niemu pozostały i tego dorobku nie wolno nam zaprzepaścić. Telekineza znalazła się teraz w analogicznej sytuacji, jak fizyka po śmierci Newtona. A przecież nikt wtedy nie załamywał rąk. Geniusz odszedł, ale setki uczonych kontynuowało jego dzieło i ich praca dopiero zmieniła obraz cywilizacji.

Docent zamyślił się; wyraz frustracji powoli znikał z jego twarzy.

— A rakieta...? — zapytał po chwili.

— No cóż — dyrektor westchnął. — Dorobimy silniki i wystrzelimy ją konwencjonalnym sposobem.

c.d.n.

Bocian

TOMASZ ROPIT

Stary Bocian wszedł do sali jak zwykle równo z gongiem. Jego pedanteria była źródłem ogromnej ilości anegdot, ale zawsze było dla nas szczerze zadziwiające, jak on to robi, że uderzenie gongu zbiega się idealnie z jego wejściem do sali. Przechodził te kilkanaście kroków między Wypoczynkową a Biomorią bez zatrzymywania się, by dokładnie w chwili uderzenia w gong przysłonić wejściówkę. Pedanteria połączona z szóstym zmysłem.

Bocian nie był wykładowcą, był biomorem. Jednym z paradoksów, który zauważyliśmy od razu na pierwszym roku, był fakt, że sale wykładów technicznych nie były zaopatrzone w tak doskonałą aparaturę jak Biomorie. Miało to swoje uzasadnienie. Przekonaliśmy się o tym wkrótce. Przekaz biomora musiał być doskonały. Każde drgnienie jego psychiki, jego odczuć i reakcji musiało być w sposób jednoznaczny przelane na każdego z nas — nawet najbardziej tępego kandydata. Musieliśmy w sposób maksymalnie zbliżony do rzeczywistości przeżyć wybrane fragmenty jego biografii, aby przynajmniej część doświadczenia i wiedzy starego wyjadacza Kosmosu stała się naszym udziałem. Bocian był biomorem już dziesięć lat. Mówiono, że na początku był także wykładowcą silników, ale na pewnym wykładzie, przy planszy z fragmentem silnika NSE, powiedział: „Przy zachowaniu podanych tu proporcji...", po tych słowach wyszedł z sali i po chwili słuchaczy dobiegł jego głos ze znajdującego się naprzeciw gabinetu dyrektora — „...dysze znajdowałyby się w tym miejscu". Na szczęście te dziwactwa podeszłego wieku nie wpłynęły na jego pamięć, a w najlepszych swoich latach przeżył tyle, że mógłby obdzielić tym kilka pokoleń studentów.

Siadł na swoim fotelu.

Nigdy nie wiedzieliśmy, czy był mu potrzebny do seansu, czy nie. Czy przekaz szedł na żywo, czy też ze szpuli. Bocian na każdym seansie zachowywał się tak, jakby nigdy w życiu nic nie słyszał o zapisach. Zgodnie z regulaminem. Tak, jak zgodnie z regulaminem niektóre, szczególnie perfekcyjnie nagrane sytuacje, szły ze szpuli.

Nie zdążyłem jeszcze wykonać wszystkich standardowych badań, kiedy kłopoty z silnikiem zmusiły mnie do powrotu. Z tego też powodu najkorzystniejsza trajektoria przechodziła na wskroś przez atmosferę Jowisza na dosyć znacznej głębokości. Ciśnienie i tarcie stanowiły o szesnaście procent mniejsze ryzyko niż manewr okrążający. Szesnaście procent to bardzo dużo.

Zanurzenie poszło gładko, a temperatura nie przekroczyła alarmowej, jednakże dla zupełnego spokoju, zaraz po wyjściu z drugiej strony odblokowałem kamery i sprawdzałem je po kolei. I wtedy właśnie, tuż po wyjściu z atmosfery Jowisza, zobaczyłem rakietkę. Była to mała jednoosobowa patrolówka. Taka, jaką sto lat temu używały KP. Kręciła się powoli wzdłuż osi lotu, ukazując co parę sekund otwarty właz. To się nie zdarza. To jest wbrew wszelkim regulaminom i prawidłom kosmolocji. Poza atmosferą właz może być otwarty tylko na kilka sekund. Tyle, żeby można było wyjść czy wejść. Ten statek miał kłopoty. Poleciłem naruszyć kurs na tyle, na ile to było możliwe i szybko poszedłem do śluzy. Wiedziałem, że bez wyjścia na zewnątrz się nie obejdzie. Wiedziałem też, że moja rakietka z uszkodzonym silnikiem w żadnym wypadku nie dojdzie do beesu, dlatego założyłem cięższy Agrav, który, nawet przy niedużej masie mojej rakietki, pozwalał poruszać się swobodnie w promieniu 30 tys. kilometrów. Wszystkie te czynności wykonałem niemal machinalnie, a jednocześnie przypominałem sobie wszystko, co kiedykolwiek przeczytałem lub usłyszałem o tym rejonie.

To, że rakietka z otwartym włazem jest z Callisto, nie budziło żadnych wątpliwości. Model bliskiego zasięgu, brak jakichkolwiek baz w okolicy Jowisza wykluczał każdą inną możliwość. Dlatego właśnie, niemal bezwiednie, znalazł się w mojej ręce β-modulator.

Agrav działał sprawnie i przy poprawkach trajektorii było do mojej dyspozycji całe sześć minut, by się przyjrzeć rakietce i podjąć decyzję. Miałem jeszcze dobre dwa kilometry przed sobą, kiedy zza wirującego stożka rakiety wynurzył się człowiek w kombinezonie. W rzeczywistości to nie on się wynurzył, a tylko zmiana mojej pozycji spowodowała, że go zobaczyłem. On też mnie zobaczył. W tej samej chwili odwrócił się tyłem i gwałtownie ruszył w moją stronę. Niezwykła, gorączkowa nerwowość jego ruchów, nasza samotność w tym rejonie oraz wszystko, co słyszałem na temat Callisto, spowodowały, że moje mięśnie były sztywne i czułem słabość w okolicy żołądka. Jego sylwetka rosła szybko i jednocześnie przekręcała się w moją stronę. Dzieliło nas już tylko kilkaset metrów i wtedy zobaczyłem, że oburącz trzyma pistolet wycelowany prosto w moją twarz. Lufa błysnęła i w tej samej chwili zareagował, sam nie wiem kiedy włączony β-modulator, a w ułamek sekundy później wszystko zniknęło.

Zabiłem go. Wprawdzie β-modulator jest urządzeniem obronnym, reaguje jedynie na atak i gdyby tamten nie strzelił, nic by się nie stało, lecz sumienie działa irracjonalnie.

Szukałem. Na oślep, po omacku. Wiedziałem, że to nie może być koniec. Nielogiczność całego zajścia była zbyt jaskrawa. Na dźwięk nazwy Callisto serce mi zamierało, jednak uparcie i konsekwentnie szukałem.

Parę lat później dotarłem do zagubionego głęboko w Południowej Afryce muzeum, gdzie w zakurzonej gablocie leżał taki sam pistolet, jaki wtedy widziałem w jego rękach. Na gablocie był napis: „WIR-2 pierwszy bezpieczny pistolet odrzutowy służący do poruszania się w przestrzeni kosmicznej..."

Agrav działał niemal natychmiastowo, dlatego wtedy nie skojarzyłem jego ruchu prawidłowo, ale on... jeżeli nie chciał się ze mną zderzyć, to musiał celować prosto we mnie.

1 Felieton pesymistyczny

Reforma za złotówkę

— Która godzina? — zachrypiał stojący z przodu facet w drelichu. Służbowym, bo z wizytówką jednej z budowlanych firm na piersi.

— Za kwadrans... — dobiegło spod drzwi.

Staliśmy karnie przed spożywczym, gdzie sprzedawano też bułki, pepsi i inną zagrychę. Ot, rządek, jak wszystkie inne, choć z wyraźną przewagą płci brzydkiej, której spora, tu obecna część tylko na chwilę z roboty wyskoczyła. Z tyłu doleciała jakaś interesująca opowieść, więc obaj z magistrem B. nadstawiliśmy chciwie ucha.

— ... no i wchodzę do tego „Polmozbytu" — relacjonował młody gość w berecie — a tam awantura. Facet przede mną też malucha do naprawy przyprowadził, też na gwarancji, bo to teraz dobre wozy robią i tłumaczy temu w firmowym kitlu: „Tylko zaznacz pan w papierach, że to wersja specjalna"! Tamten znudzonym głosem, że i tak wszystkie na jedno kopyto robią. A klient krzyczy: „Ale ja mam model inseminacyjny!" Mechaniki zaniemówiły, jeden tylko się spytał, czy z dyszlem z przodu, ale okazało się, że facet miał w maluchu specjalne gniazdko do lodówki. Żeby te różne plemniki temperaturę w trasie miały jednakową; taka teraz technika...!

— Ciekawa historia, ale wiecie panowie, że to co się teraz z paliwem robi, to już ludzkie pojęcie przechodzi — podtrzymał samochodowy temat pan w szarej marynarce, wyglądający minimum na „Wódkę Luksusową" lub „Soplice" — Te przydziały wciąż obcinają, a co się człowiek strachu na stacjach naje: ja już mam nerwicę...

— No, wujek — konfidencjonalnie zasyczał gość w wytartej kurtce, który przed chwilą opuścił kabinę Nysy — wyjścia masz tylko dwa: albo samochodzik wyłącznie w niedzielę używać, krótkie wycieczki z teściową za miasto urządzać, albo bulić po sześć dych za litr...

— Właśnie, a ja bym oficjalnie cenę do tej wysokości podniósł — zaszarżował jegomość w marynarce.

— Oszalał facet! Chyba żeś pan chory! Masz pan kopalnię Chopinów?! — zapachniało samosądem.

— A co tam, najwyżej bym co dwa dni, a nie raz w tygodniu po „słupkach" jeździł, konkurencję „złotówkom" robił, jakem inżynier — walnął się w w pierś autor nowej teorii.

— To jest racja — wypalił, jak zwykle niepotrzebnie, magister B. — I tak prawie każdy jeździ, grosz do grosza odkłada, a po co ta nerwówa pod dystrybutorem...

— To transport tyle marnuje, w dzienniku mówili, że tam drzemią rezerwy — wypaliła jedna z nielicznych w szeregu kobitek, odstawiając na chwilę ogromne siaty, w których dźwigała ze sto pustych butli.

— Od transportu wara — ostrzegawczo podniósł pięść jak bochen szoferak z Nysy — Normy niskie, zima idzie, przepały jak cholera, a każdy chce żyć, nie?...

— Bo paliwo jest tanie — kontynuował z wyższością magister. — Ludzie, litr tej wody destylowanej do akumulatora jest droższy, zwykłej wody — My tu na benzynę narzekamy, a wokoło byle jakie dywany po 800 tysięcy nam się ściele, no i co tu jest drogie?

— Faktem jest — włączył się do dyskusji „beret". Szlag mnie trafił, jak wczoraj kupowałem ten płyn do spryskiwania szyby w wozie, ten, no, „Autowidol"; większe opakowania teraz robią litrowe i kosztuje bez paru groszy trzysta złotych; też ładnie, nie?...

— Niektórzy ponoć to piją — pan w marynarce skrzywił się z niesmakiem — może dlatego taka cena? Bo to przecież na alkoholu.

— Ale jakiegoś świństwa teraz dodają i się burka... — skwitował niepozorny człowieczek w brudnym golfie i pepegach. Oparł się o mur, bez którego pomocy pewnie by upadł, taki był słabiutki. Włos skudłaczony, niepewna rączka i buzia jak ziemniaczana bruzda. Widać, że z niejednego pieca chleb pił.

Smętnie się jakoś zrobiło, z przodu jeszcze nie puszczali, choć była już minuta po, panienki ustawiały dopiero brzęczące kontenery. Rosła nerwowość w szeregu, zaczęły się przekomarzania, gdzie kto stał i co dziś rzucą. Dla poprawy nastroju magister palnął ostatnią przed wymarszem przypowieść.

— Tyle się mówi o cudownym leku, jakim jest dla naszej gospodarki reforma, a czasem włos się człowiekowi jeży z przerażenia. Przyszedł wczoraj do mnie do domu agent. Nie, nie — z PZU. Żeby znów wycisnąć roczną składkę za ubezpieczenie mieszkania. Poważny człowiek, wiele lat się znamy, na wyższą jak zwykle daninę dałem się namówić. Kapitalna historia go spotkała. Otrzymał oficjalną powiastkę z finansówki, to znaczy z izby skarbowej, gdzie wyliczono mu czarno na białym, że w roku ubiegłym przekroczył pułap dopuszczalnych zarobków o... złotówkę. Tak, dokładnie o złotówkę. Obśmiał się w pierwszej chwili jak norka, ale znając firmę — wolał nie ryzykować. Zaniósł im tę należną „składkę". A mnie zielony z bezsilności wczoraj opowiadał: „Panie, gdzie tu sens — papier zmarnowany (format A-4), znaczek, praca listonosza, mnie dojazd w jedną stronę 6 złotych kosztował i z roboty musiałem się zwolnić..." Tak, takie „numery" tylko w tym kraju są możliwe...

Nie było już czasu, by magistrowi przyklasnąć, bo od czoła pobiegło hasło „Sprzedają!..." i gęsiego, z godnością ruszyliśmy w kierunku majaczącej w oddali lady. Było pięć po trzynastej.

STEFAN ŻYCIOWY

2 Gdyby Buchwald był Polakiem

Hibernacja

Wymyśliliśmy polskiego Buchwalda, ale wyszedł nam mało śmieszny. — Dlaczego jesteś taki mało śmieszny? — pytamy tego wymyślonego.

— Dobre sobie — **on na to** — czasy są po prostu mało śmieszne. Prezydent Reagan jest mało śmieszny, pani Thatcher jest mało śmieszna, nawet wasz minister Krasiński z tymi zmyślonymi podwyżkami cen, z których miały wyniknąć chrupiące bułeczki, też jest mało śmieszny.

— Nie „wasz minister", tylko „nasz minister" — poprawiamy wymyślonego — a więc i twój także. Jesteś polski Buchwald a nie jakiś tam amerykański.

— Może i jestem polski — upiera się — ale nic szczególnie zabawnego w tym wszystkim nie widzę. Choć przyznaję że niezły był ten kawał z dywanami z importu, które obłożono podatkiem obrotowym, dochodowym, od luksusu i jakimś tam jeszcze, aż wyszła cena milion i ileś tam złotych za sztukę. Podobno niektórzy klienci wprost zwijali się z radości.

— Przesada. Poza tym to nie był żaden dowcip, tylko zwykłe nieporozumienie resortowe, już wyjaśnione zresztą.

— Najpierw kreujesz mnie z nicości, a potem traktujesz jak dziecko — powiedział wymyślony Buchwald urażonym głosem. — Zastanów się, pół miliona za dywan, choćby nawet chiński, to też niezła cena. Na taki dywan mało kto by spojrzał, jedni z braku pieniędzy, inni z braku pewności, czy do swojej forsy doszli całkiem legalnie. Trzeba więc było jakoś rozreklamować ten towar.

— Rozreklamować!?

— Właśnie. Popatrz jak wzrasta napięcie. Dopisujemy te wszystkie podatki, cena szaleńczo skacze do góry, importer rwie włosy z głowy, zaklina się, że z torbami pójdzie i woli już płacić kary umowne, niż sprowadzić do kraju choćby jeden tylko najmarniejszy dywanik. Tu odczekujemy dni parę i w rozemocjonowany kraj idzie dobra nowina: ministerstwa się dogadały, dywany potaniały, będą nie po milionie, ale po pół miliona, no, może po pół miliona i troszeczkę. W tej sytuacji każdy zaczyna kombinować, jakby się za ten dywan załapać a jeżeli PKO wypuści bony premiowane dywanami, otworzy się demokratyczna szansa przed każdym z obywateli. Nawiasem mówiąc wiesz co — odłożyłem sobie parę wymyślonych przez ciebie złotych. Może by kupić kilka bonów, kiedy się tylko pokażą w sprzedaży.

Teraz ja się zezłościłem. — Słuchajcie, Buchwald — mówię — nie po to was wymyśliłem, iżbyście namawiali mnie na spekulację dywanami. Dywanami handluje teraz tylu podejrzanych cwaniaków, że o jednego byłoby za dużo. Zajmijcie się lepiej polityką międzynarodową, bo się na tym trochę znacie.

— Znać to się może i znałem — zaczyna grymasić — ale aktualnie jestem niedoinformowany, nie bywam w Białym Domu i w ogóle nigdzie. Nie zabierasz mnie nawet na konferencje prasowe do ministra Urbana, więc skąd mam wiedzieć, co w trawie piszczy? Może bieda, a może przyszłoroczna klęska urodzaju. Mam wprawdzie parę pomysłów, ale ani jednej przyzwoitej pointy, a to dlatego, że pointy przychodzą mi do głowy wyłącznie na urlopie.

— Słowem chcesz urlopu?

— Zgadza się.

— W listopadzie?

— Niech będzie.

— Człowieku, miej litość, jaki ja ci urlop w listopadzie wymyślę!? Wymyślam już obiady z trzech dań, dużo lepsze niż w dziennikarskiej stołówce. Wymyślam prawdziwą herbatę, której za cholerę nie można kupić. Czekoladę wymyślam, słowem same różności z okresu oszukanej propagandy sukcesu. **Wyobraźni już po prostu nie starcza.**

— Nie, to nie, bez łaski — mówi. — Zaraz ci wygarnę, to inaczej zaśpiewasz. Więc po pierwsze: wymyśliłeś mnie źle, całkiem nieprawdziwego. Z początku odpisywałeś z Twaina, a teraz dobrałeś się do Lema, myślisz, że nie pamiętam tej rozmowy prawdziwego Trurla z Trurlem cyfrowym!? Po wtóre, skoro już zawędrowaliśmy do krainy science fiction, wysil się jeszcze trochę i wymyśl lodówkę. Ale nie taką, po którą trzeba zapisywać się w kolejce, lecz porządną, przyszłościową, wypełnioną ciekłym helem. Pohibernuję sobie troszeczkę, ty się dokształcisz, to i owo poczytasz, a potem mnie reanimujesz. Wtedy pogadamy jak równy z równym, jeżeli w ogóle będzie o czym gadać.

— No a ja? — zawołałem. — Zostawisz mnie samiuteńkiego, nie podpowiedziawszy nawet dowcipnej pointy?! Przecież, do licha, musisz mieć w zanadrzu jakąś pointę zostawioną na czarny z ciekłym helem. —

— Najlepszą pointę wymyślono już dość dawno — **odparł włażąc do tej lodówki czy wanną godzinę...**

ŚMIEJMY SIĘ, NIE WIADOMO, CZY ŚWIAT POTRWA JESZCZE TRZY TYGODNIE. Zawsze powtarzam to sobie przed zaśnięciem i jak dotychczas budzę się zdrów i cały. A teraz przyjacielu, pozwól mi wreszcie zamarznąć na kość i pogrążyć się w niebycie...

Notował: JERZY P.

3 Zdarzenia i zwierzenia

Pseudonimy

Przez wiele lat pisywałem w „Odgłosach" felietony pod pseudonimem „Widok", bo taka była wola ówczesnego naczelnego, za którym z kolei stała wielowiekowa tradycja literacka. Pseudonim literacki jest bowiem zjawiskiem tak starym jak literatura. Nowsza tradycja czasopiśmiennicza także notuje w przypadku stałych rubryk felietonowych prawie wyłącznie kryptonimy. W antologii felietonistyki polskiej „Warszawscy" „Pustelnicy" i „Bywalscy" zdecydowana większość autorów posługuje się pseudonimami.

Tak jest i obecnie. W „Odgłosach" mamy „Lucjana Bogusza", „Andrzeja Karola", „Agatę"... W każdym prawie tygodniku naliczyć można parę pseudonimów. Dzieje się tak za sprawą tradycji — nie ma bowiem dziś racjonalnych powodów ukrywania się za pseudonimem, bo i tak wszyscy wiedzą, że „Hamilton" to Jan Z. Słojewski, „WISZ" to Wilhelm Szewczyk, a „Jan Rem" jest kuzynem Urbana...

Przed laty jednak przyczyny przyjmowania pseudonimów były całkiem racjonalne. Uważa się powszechnie, że przyczyną była konieczność, lub chęć oddzielenia życia prywatnego od zawodowego, albo motywy polityczne, psychologiczne, towarzysko-obyczajowe...

Wielki polski aktor Juliusz Maluszek uznał na przykład, że rodowe nazwisko niezbyt pasuje na scenę, więc obrał sobie pseudonim „Juliusz Osterwa". Podobnie uczyniła Apolonia Chałupiec stając się Polą Negri. Tadeusz Gałecki został Andrzejem Strugiem, Aleksander Głowacki — Bolesławem Prusem. I tak dalej i tak dalej... Z dwóch pisarzy, braci Mularczyków jeden pisze jako Andrzej Mularczyk — drugi jako Roman Bratny...

Równie często jednak pseudonim miał charakter żartobliwy. Na przykład Janusz Minkiewicz niektóre swoje utwory podpisywał jako Jan Uszminkiewicz. Pseudonimy służą więc także literackiej zabawie. W roku 1962 ukazała się w Wydawnictwie Łódzkim książka z następującym tekstem na karcie tytułowej: „Kalikst Łasiczka, Wiersze wybrane. Wyboru dokonał, zredagował i wstępem opatrzył Jan Huszcza. „Oczywiście autorem całej książeczki był Jan Huszcza, który na jej stronicach rozprawił się żartobliwie z literaturoznawcami.

Po latach twórczości pseudonimy przyćmiewają nieraz prawdziwe nazwiska autorów. Któż dziś — biorąc do ręki książki Władysława Kopalińskiego (będące w istocie k o p a l n i ą wiedzy) — domyśla się, że pisarz nazywa się naprawdę Jan Stefczyk? Któż słuchając w radio dowcipów i humoresek Andrzeja Rumiana wie, że nazwisko autora brzmi Andrzej Bieńkowski?

Historia literatury roi się od przeróżnych — sensacyjnych nieraz — zagadek związanych z pseudonimami. Otóż na przykład w latach pięćdziesiątych sensację zrobiła we Francji półpornograficzna książka „Historia panny O", której autor (czy autorka, do dziś nie wiadomo) występował pod pseudonimem „Paulina Reage".

W latach osiedziesiątych natomiast wybuchła w Paryżu kolejna sensacja. Otóż pisarzem Emilem Ajar, laureatem nagrody Goncourtów z roku 1975 okazał się wybitny prozaik francuski Romain Gary. Nawiasem mówiąc było to potrójne spiętrzenie, bowiem Gary jest także pseudonimem — pisarz nazywa się naprawdę Roman Kacew.

Pseudonimy literackie bywały także powodem procesów sądowych. Najsłynniejszym był niewątpliwie proces wytoczony przez niejakiego Hectora France — pisarzowi Anatolowi France. Pisarz naprawdę nazywał się Thibault. Sąd jednak orzekł, że pseudonim „France" stał się tak sławny, iż posiada moc prawną nie mniejszą niż nazwisko rodowe.

W Polsce też mieliśmy podobny proces. Pisarz Janusz Odrowąż-Pieniążek wytoczył sprawę o zagarnięcie jego rodowego nazwiska przez Janusza Wiśniewskiego — autora tekstów piosenek, który obrał sobie pseudonim „Janusz Odrowąż". W ten sposób na obszarze literatury znalazło się dwóch Januszów Odrowążów — prawdziwy i „przyszywany".

I takie to są dzieje pseudonimów — barwne jak sama literatura. Fascynującą książkę na ten temat napisała Dobrosława Świerczyńska. Jest to rozprawa doktorska, ale czyta się ją jak najlepszą powieść. I chociaż w rozprawie tej trochę po macoszemu potraktowano współczesność (np. głośna mistyfikacja Gałczyńskiego z nieznanym poetą angielskim, czy słynny kamuflaż Zygmunta Lichniaka) — prace — „Polski pseudonim literacki" polecam wszystkim, którzy interesują się literaturą i jej opłotkami.

JERZY WILMAŃSKI

4 Lewym okiem

Beeper czyli cykacz

Ludzie wymyślają sobie różne zabawki i rozrywki. W Ameryce szerzy się ponoć epidemia cykacza. „Cykacz" lub „brzęczyk" albo jeszcze inaczej — to po angielsku „beeper", czyli coś takiego, co robi „bip, bip".

Znane to było od kilkunastu lat, ale teraz staje się powszechną modą. Wygląda taki cykacz jak malutka elektryczna maszynka do golenia, nosi się to w kieszeni, albo uwieszone przy przegubie dłoni. Już dwa i pół miliona obywateli Stanów Zjednoczonych nie rozstaje się na krok z cykaczami — a za prawdziwie szczęśliwych uważają się ci, którym urządzenie jak najczęściej zaczyna brzęczeć, cykać, migotać maleńkimi światełkami. Te sygnały świadczą bowiem o tym, że nosiciel cykacza jest człowiekiem niezmiernie cennym, wręcz niezastąpionym.

Na tym właśnie polega znaczenie nowej elektronicznej zabawki. Jest to odpowiednio zmodyfikowany odbiornik nastawiony na fale ultrakrótkie. Osoby bliskie, zaprzyjaźnione, znajome, a także zainteresowane instytucje znają falę takiego indywidualnego odbiornika, tak jak na przykład znają numer telefonu danego obywatela. Z dowolnej stacji radiowej (a jest ich w Ameryce bardzo wiele, w każdym prawie większym mieście) można nadać sygnał, który natychmiast spowoduje brzęczenie cykacza. Można sobie taki sygnał w rozgłośni zamówić przez telefon, a wkrótce zaczną to załatwiać satelity na dowolną odległość. Wtedy nosiciel cykacza wie, że jest pilnie poszukiwany. Wiedzą to także osoby wśród których przebywa — otóż i powód do satysfakcji. Znacie przecież moment, kiedy w towarzystwie, albo podczas narady, albo nawet — choć rzadko — w lokalu publicznym ktoś jest wzywany do telefonu. Z jaką dumną, acz męczeńską miną podnosi się wtedy i wychodzi! — Patrzcie — mówi jego zbolała twarz — jaki człowiek jest rozchwytywany i ważny, chwili czasu nie ma dla siebie!" Takich satysfakcji dostarcza cykacz za 150 dolarów, bo taki jest w tej chwili koszt nabycia gadgetu.

Z układu cyknięć i błysków można się zorientować, kto dobija się o kontakt z nosicielem. Idzie się więc do najbliższego telefonu i ów kontakt nawiązuje. Zaletą całej historii jest przy tym fakt, że można do telefonu nie iść i kontaktu nie nawiązać. Nie wiemy na razie, czy są punkty usługowe, które za opłacony abonament szukają bez przerwy klienta stwarzając wokół niego lubą atmosferę człowieka niezastąpionego. Jestem skłonny przypuszczać, że są i że nieźle zarabiają na jeszcze jednej słabostce ludzkiej. Czytamy natomiast (w hamburskim „Spieglu", z którego czerpię te wiadomości), że przy wejściu na sale koncertowe i teatralne wiesza się tabliczki z prośbą o wyłączanie cykaczy na czas imprezy. Widocznie tylu jest ludzi nieustannie przez kogoś poszukiwanych, że trzaski i migotanie na widowni przeszkadzają w koncertach.

Są jeszcze inne, o wiele bardziej imponujące nowinki techniczne, zakrawające nieomal na fantastyczno-naukowe opowieści o przyszłym świecie. Widziałem coś takiego niedawno w RFN i muszę o tym napisać osobno. Ale nie popadajmy w kompleksy, u nas też spotyka się sprawy świadczące o Absolutnym Postępie. Oto przykład:

W podcieniach na rogu ulic Piotrkowskiej i Zielonej wisi tablica biura ogłoszeń „Merkury". Wywiesza się tam krótkie anonse — podobne do tych rozklejanych na przystankach tramwajowych i na ostatnich ulicznych drzewach. Jest też dział ogłoszeń matrymonialnych, a w nim takie — autentyczne anonse:

„Sympatyczny smukły 34-latek pozna panie do lat 55, stan cywilny obojętny, pragnące urozmaicenia w zakresie przeżyć erotycznych i seksualnych".

„Sympatyczny 35-latek pozna panią, panie lub małżeństwo celem wzbogacenia przeżyć erotycznych i seksualnych".

Nie trzeba więc jeździć do Kopenhagi, mamy własny przemysł porno i własne punkty usługowe w tym zakresie. Sympatyczny 34-latek oferujący swe usługi 55-letnim paniom to przecież taki właśnie punkt usługowy. Typowy damski kowboy. Nie wiem dlaczego objęto go działem matrymonialnym. A ponieważ niechcący uczyniłem tu dodatkową reklamę biuru ogłoszeń „Merkury" — honorarium z tego tytułu, jakie biuro niewątpliwie zechce mi zapłacić, przekazuję na Fundusz Aktywizacji Zawodowej z przeznaczeniem na aktywizację sympatycznych 34-latków.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański (starszy grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44, sekretarz redakcji 680 89. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 3333 L-8.

Raz w roku w Skiroławkach (3)

ZBIGNIEW NIENACKI

Dalszy ciąg rozdziału „O szczupłych pośladkach pani Aldony i o tym, jak pisarz Lubiński zbójował aż w czterech językach"

W tym momencie głos pisarza Lubińskiego załamał się, na policzki wypełzł lekki rumieniec. Czuł, że znowu, podobnie jak dziś rano, gdy pisał tę scenę, znalazł się zawieszony między wzniosłością a upadkiem. A że był człowiekiem wykształconym i płynnie władającym kilkoma językami, tedy tylko chrząknął, jakby przełykając ślinę i dalej czytał już w języku niemieckim:

— „Sie verstand.. Uberstieg ihn stattdessen, hockte breitbeinig, entblösste ihren fleischgen Venusberg... Raffiniert langsam liess sie seine Eichel ein bisschen in ihre saftige Lustspalte eingleiten. Gleichzeiting schob sie ihre trotzig gespannten Brüste auf ihn zu um gedrückt, vielleicht hart gebissen, zu werden".

Nieoczekiwanie uświadomił sobie Lubiński, że jego żona zna trochę język niemiecki, być może malarz Porwasz tylko udaje nieznajomość niemieckiego, a już na pewno świetnie włada tym językiem stary Szulc i wielu innych ludzi w Skiroławkach. I gdyby ktoś przeczytał to, co on teraz głośno mówi w swoim domu, nie mógłby nikomu w wiosce spojrzeć w oczy. Chrząknąwszy powtórnie, czytał więc już po francusku:

— „Alors... brusquement... elle lacha la bride a ses instincts. — Vas-y, enfonce-le, enfonce-le tout... Elle hurlait presque. Il la penetra durement, se vautra dans son vagin etroit, chaud crispe. Ayant presque perdu connaissance sous l'effet de l'excitation, elle s'affala, se cramponna a lui, enlaca ses mollets de ses jambes racees sans s'arreter de travailler du bas pour lui donner le maximum de plaisir".

Dobitna była francuszczyzna pisarza Lubińskiego. Bo też francuskiego uczył się od dziecka, władał nim pięknie jego ojciec — badacz kultury francuskiej, mówiła po francusku jego matka — lektorka języka francuskiego na uniwersytecie. Obydwoje nie żyli już, a przecież Lubińskiemu wydało się raptem, że wymawiając owe francuskie zdania popełnia jakąś zbrodnię wobec własnych rodziców. Widział gniew w oczach ojca i niesmak na twarzy matki. Tedy chrząknął po raz trzeci jakby przełykając ślinę; dalej czytał po angielsku:

— „This knowledge goaded her still more. With a quick movement manipulation she got him on top of her. Happily cooing and wahimpering, she folded her legs around his back, nipping with her „fucking scissors" that he could not get out of. He was strong and persistent, an she could not keep back her first thundering orgasm, which made her cunt as an independent muscle, friendly massaging his prick...".

Lubiński chciał znowu przełknąć ślinę, ale w ustach miał sucho. Na kartce papieru, która przed nim leżała, ciągnął jeszcze długi szereg słów ułożonych w zdania, lecz on zapragnął milczenia. Zresztą, może i nie potrafiłby już z siebie wydobyć nawet głosu.

Pani Basieńka miała minę wyrażającą zakłopotanie, nie spodziewała się bowiem, że mąż zacznie pisać powieść zbójecką aż w czterech językach. Porwasz znał jedynie polski, choć bywał w Londynie, a już na pewno w Paryżu. Lecz przeczytany przez Lubińskiego po polsku początek sceny miłosnej wystarczył wyobraźni Porwasza, aby później poprzez obco brzmiące słowa przedstawić sobie obraz tego, co się stało między piękną Luizą i stażystą. Raptem przed oczami malarza pojawiły się znowu szczupłe pośladki pani Aldony i jej rozchylony, różowy, pulsujący pożądaniem kielich. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła malarza taka wściekłość, że krzyknął gromko do Lubińskiego:

— Świństwo! Powiadam panu, że to świństwo! To nie jest miłość wzniosła i prawdziwa!...

Porwasz wybiegł z pracowni pisarza i nie zatrzymał się wcześniej aż u siebie w dachowcu krytym eternitem. Zdyszany biegiem padł na tapczan i długo leżał na nim z twarzą ukrytą w poduszce. Bo choć czuł się człowiekiem wolnym od męskich ambicji, to jednak nie bardzo wiedział, co czynić dalej ze swą wolnością.

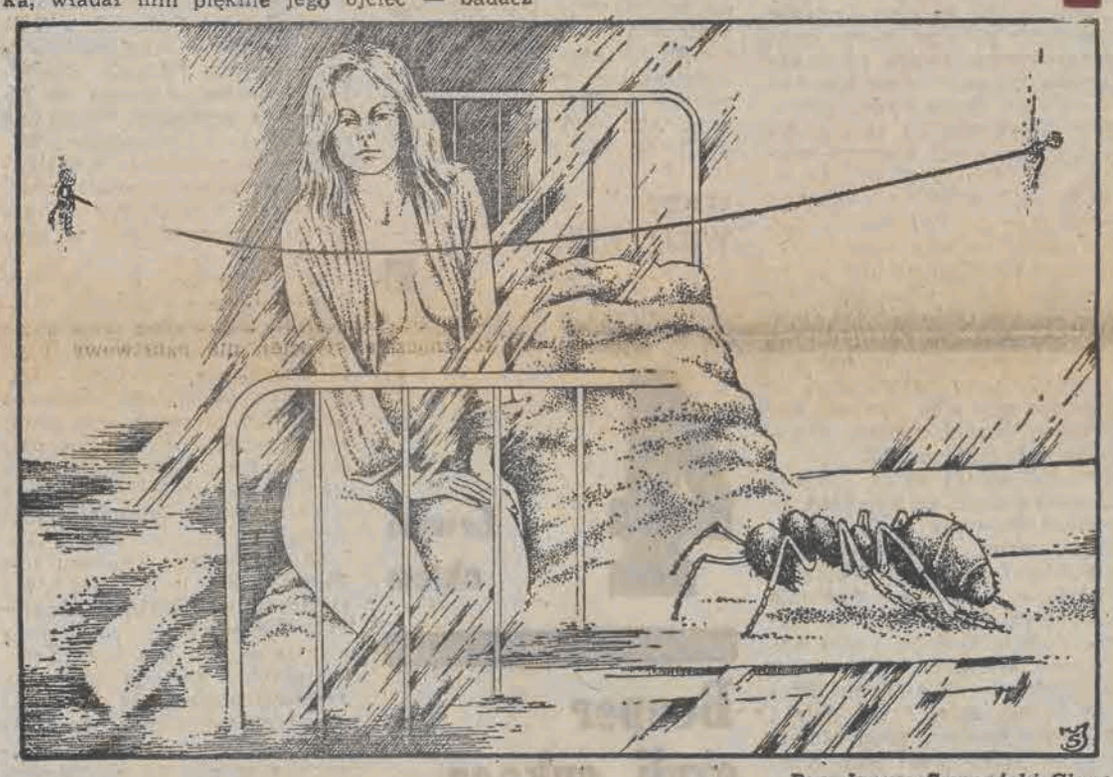

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O tym, jak Porwasz namalował Kłobuka, o tyranii wolności i różnicy między równościami

Z początkiem maja w Skiroławkach drzewa dopiero zaczęły się zielenić, nad polami od świtu do zmierzchu dzwoniły skowronki, w lasach pokazały się pierwsze kwiaty konwalii. Prawie w każdej zagrodzie śmierdziało gnojem, gdyż z obór i chlewni wywożono na pola przyczepy pełne obornika, który należało szybko przyorać pod ziemniaki. Natomiast w innych obejściach przeważnie pachniało pokostem. Lubiński po kilka godzin dziennie spędzał przy swoim jachcie, czyszcząc kadłub elektryczną szlifierką. Pani Basieńka zaś cerowała bawełniany grot, końce szotów i fały omotywała juzingiem, przyszywała nowe raksy do foka, z czułością wspominając chwile, kiedy to biały jacht pisarza i jego dość brudne wówczas żagle po raz pierwszy zobaczyła z pomostu ośrodka wczasowego, gdzie opalała się w bardzo skąpym stroju. Była mniej wstydliwa od swej przyjaciółki Bronisławy i na widok jachtu z jasnowłosym mężczyzną za sterem ani pomyślała nałożyć biustonosz, a nawet usiadła, aby samotny żeglarz mógł się zadziwić pięknym kształtem jej piersi. Może właśnie dlatego Lubiński zwrócił uwagę na panią Basieńkę, a nie na Bronkę, choć tamta była ładniejsza. Tak więc to chyba brak wstydliwości zadecydował ostatecznie o tym, że Basieńka, a nie Bronka stała się panią Lubińską i zamieszkała w Skiroławkach. Dziwne to, jeśli uwzględnić fakt, że właśnie Bronka, a nie Basieńka, przyjęła wkrótce pracę striptizerki w jednym z nocnych lokali w stolicy. Obie panie korespondowały ze sobą i Bronka raz po raz obiecywała odwiedzić Basieńkę w jej wiejskim domu, co niezwykle cieszyło przyjaciół pisarza, ludzi, którzy, jak to skądinąd wiemy, cenili uroki kobiecego ciała.

Doktor Jan Krystian Niegłowicz także czyścił i malował swój jacht; pacjenci widywali w jego siwiejących włosach odrobiny pyłu i czuli zapach lnianego pokostu, którym natłuszczał kadłub, maszt, bom, wnętrze kabiny. Twórcze siły uzewnętrzniał również Bogumił Porwasz, wiele godzin spędzając przy sztalugach w swojej pracowni z widokiem na jezioro. A ponieważ i malarz czyścił pędzle w oleju lnianym, mężczyźni w Skiroławkach w zależności od swego stanu rozsiewali bądź to woń gnoju, bądź pokostu lnianego, co w innych stronach mogło u kobiet wzbudzać do nich niechęć, w Skiroławkach jednak nie byli traktowani ani gorzej, ani lepiej niż zazwyczaj.

W połowie maja, kończąc jeden ze swoich obrazów, ze zdumieniem zauważył Bogumił Porwasz, że w trzcinach jakie przedstawiał swym pędzlem dostrzec można jakąś dziwną stworę, przypominającą koguta lub kurę. Widziało się tę stworę — koguta czy też kurę — jeśli spoglądało się na obraz pod pewnym kątem. Tedy stało się to faktem, iż Bogumił Porwasz, sam o tym nie wiedząc i niejako mimochodem — namalował Kłobuka. Aż gorąco się zrobiło Porwaszowi, gdy się nad tą sprawą zaczął zastanawiać. Bo kiedy patrzył na nadbrzeżne trzciny ze swego okna — Kłobuka wśród nich nie widział. A gdy zerknął na płótno, gdzie owe trzciny starał się przedstawiać z możliwie dużą dokładnością — Kłobuk był. Skąd się więc wziął na obrazie, skoro w prawdziwych trzcinach nie zdołał go Porwasz wypatrzyć? Za jaką przyczyną tkwił w trzcinach powołanych do istnienia pędzlem malarza i łypał na Porwasza dużymi wypukłymi ślepiami? Co obudziło do życia na obrazie owego niezgrabnego, podobnego do kury ptaka?

Tym czymś, co zrodziło Kłobuka— pomyślał Porwasz — była wyobraźnia twórcza, pobudzona przez głód i strach. Oszczędnie bowiem gospodarował Porwasz zasobami finansowymi otrzymywanymi od pani Aldony za swoje obrazy, rzadko kupował w sklepie coś do zjedzenia, a kiedy dostawał z głodu kurczów żołądka, szedł w porze kolacji z wizytą do Lubińskiego albo do Turleja. Na głód łatwo było zaradzić — ale co począć ze strachem?

Od wyjazdu Aldony minęło już wiele dni i powoli zanikał w malarskiej pamięci Porwasza widok szczupłych pośladków. Z ulgą myślał malarz, że wyzwolił się od ciężaru haniebnej przeszłości, kiedy to zadawał się z prostytutkami, a także, w pewnym sensie i od przyszłości, to jest ambicji męskich, aby zdobywać coraz uczciwsze i cnotliwsze kobiety. Mało kto jednak wie, że wyzwoliwszy się od jakiejkolwiek tyranii, choćby od dyktatury męskich ambicji i osiągnąwszy pełną wolność, człowiek natychmiast popada w kolejną niewolę. Mało kto bywa świadom jak potrafi tyranizować wolność, jak srogi staje się jej dyktat poprzez to, że nie daje żadnego dyktatu, a ściślej — poprzez fakt, że nakazuje być wolnym. Ów nakaz obezwładnia, paraliżuje, ogranicza, nie pozwala nikomu i niczemu się podporządkować, ponieważ każde podporządkowanie jest zarazem zamachem na wolność. Rodzi się także strach, niemal taki sam jak ten, który towarzyszy tyranii. Jest to strach przed koniecznością wyboru, ponieważ każdy wybór niesie z sobą pewne ograniczanie wolności. Dlatego naprawdę wolnymi mogą być tylko niektórzy ludzie. Ich wolność została wpisana w taki, a nie inny układ posiadanych przez nich genów, co sprawia, że niejako już rodzą się wolni i przez całe swoje życie wolnymi pozostają, nawet w podziemnych kazamatach tyranów, nawet z rękami skutymi przez łańcuchy. Wolność bowiem może być traktowana jako pewien stan prawny człowieka, ale również jako pewien stan ducha ludzkiego. I to jest dopiero wolność prawdziwa.

Jakąż więc wolność osiągnął Bogumił Porwasz, skoro od wyjazdu Aldony, z dnia na dzień, bardzo powoli, rodzić się w nim zaczęło poczucie coraz większego strachu? Malując swoje trzciny nad jeziorem — wciąż wolny i wolny — odczuwał głód jak każdy człowiek, i jak u każdego zdrowego mężczyzny rodziły się w nim męskie żądze. W porze kolacji szedł do Turleja albo do Lubińskiego, aby nasycić głód, a także ukradkiem pogłaskać chłopięcy tyłeczek pani Halinki lub otrzeć się o sterczące cycuszki pani Basieńki. Głód potrafił nasycić, lecz zaledwie rzucił okiem na Halinkę lub Basieńkę, natychmiast jego malarska wyobraźnia przywodziła na pamięć widok szczupłych pośladków Aldony. A wtedy ogarniał go strach i żądze wypływały z niego jak krew z ciała samobójcy, który podciął sobie żyły. Ten sam strach odczuwał, kiedy wędrując do sklepu po papierosy spotykał Justynę, albo jakąś inną ładną kobietę. Zaraz widział w niej Aldonę, podejrzewał w niej Aldonę, pod jej sukienką dopatrywał się nienasyconego pożądania. Strach stawał się podwójny i przeogromny, gdyż budził w Porwaszu obawy, że wyzwalając się od męskich ambicji, być może w ogóle wyzwolił się od męskości i odtąd w obecności każdej kobiety towarzyszyć mu będzie strach.

Kłobuk na obrazie nie pojawił się przypadkiem. To tajemnicze i legendarne ptaszysko powstało z ruchów pędzla i ręki, którą kierował nie rozum Porwasza, lecz tkwiący w nim głód ziemskich pokarmów i wielki strach przed utraconą męskością. Innego wyjaśnienia owego zjawiska Porwasz nie potrafił znaleźć, a ponieważ na pokonanie w sobie strachu nie znajdował na razie żadnego lekarstwa, tedy odwrócił na sztalugach obraz z Kłobukiem, aby go nie oglądać i wyruszył do sklepu, po kupno czegoś do zjedzenia.

Było już popołudnie. Przed sklepem, jak zwykle, siedzieli na ławce i pili piwo: cieśla Franciszek Sewruk, Heniek Galembka, Antek Pasemko, Franek Szulc oraz stary Erwin Kryszczak. Bogumił Porwasz kupił słoik pulpetów w sosie pomidorowym, a że od wczorajszego popołudnia nic w ustach nie miał, na widok jedzenia chwyciły go kurcze żołądka, więc przykucnął na ławce obok innych, otworzył słoik i nie zwracając uwagi, że postępuje niezgodnie ze swoim wysokim stanem artysty, palcami wyławiał krągłe pulpety ze szklanego naczynia i połykał je żarłocznie. Zapytał go życzliwie cieśla Sewruk, czy te pulpety nie zechce popić łykiem piwa z butelki, z której już on, Sewruk, trochę wypił.

— Niech pan da, panie Sewruk — burknął malarz. — Wcale mi to nie przeszkadza, że pan już pił z tej butelki. Teraz jest równość, nikt nie powinien się nad innych wywyższać.

Łyknął z Sewrukowej butelki i dalej wyławiał ze słoika brązowe pulpety.

— To prawda, że teraz panuje u nas równość — zgodził się z Porwaszem stary Erwin Kryszczak — ale i kiedyś też była równość, tylko że inna niż teraz.

I taką im przed sklepem historię opowiedział:

— Pamiętam takie lato, że pszenica u księcia Reussa z Trumiejek, u którego służyłem, wyrosła jak las. We wrześniu zabraliśmy się do młocki, lokomobile do stogów przyciągnęliśmy i przez trzy dni pszenica do worków się sypała. Dni były słoneczne, ale nie upalne, w sam raz na taką robotę. Książę Reuss kazał sobie wystawić koło stogu swój fotel wiklinowy i przyglądał się naszej robocie. O czym rozmyślał, kiedy tak siedział i na nas patrzył, Bóg sam raczy wiedzieć. Ale na trzeci dzień kazał przerwać młockę i przez swojego lokaja przywołał przed swoje oblicze wszystkie baby, co młocką były zajęte. Obiecał każdej po korcu pszenicy, jeśli ustawią się dookoła stogu, kiecki zarzucą na głowy i tyłki gołe na świat wystawią. W tamte lata baby zazwyczaj majtek nie nosiły, a tym co je miały, kazał książę Reuss, aby je zdjęły, by każda gołym tyłkiem mogła świecić spod stoga. I tak się stało, bowiem baby z natury rzeczy, lubią się pokazywać, a jeśli jeszcze miały za to dostać korzec pszenicy, chętnych nie zabrakło. A wtedy książę Reuss wszystkich robotników przed swoje oblicze zebrał. „Kto swojej baby tyłek rozpozna" — powiedział do nas. — „dostanie ode mnie butelkę wódki. A kto rozpozna wszystkie, ten ze mną w sadzie, w chłodzie, wypije butelkę francuskiego szampana". I tak się zaczęła zabawa, a pisku przy tym było, a śmiechu, a radości, co niemiara, bo wielkie panisko było z tego księcia. I jak coś książę wymyślił, to nikt inny na świecie nie mógł czegoś podobnego zrobić. Wesoły był to człowiek i ludziom życzliwy, chociaż książę. Kto goły tyłek swojej baby rozpoznał, ten dostał butelkę wódki i książę go chwalił. Kto zaś tyłka swojej baby nie rozpoznał albo go z inną babą pomylił, książę na niego krzyczał, że bardziej zna tyłki cudzych kobiet niż własnej. Przyszła kolej i na mnie. Idę ja wokół stogu i wypiętych na mnie gołych tyłków babskich (a powiadam wam, że w życiu swoim naraz tyle tego nigdy nie widział) i zgaduję. Ta dupa do tej należy, a ta do tamtej. Tak doszedłem do ostatniej. I teraz znalazłem się w kłopocie. Bo dupsko było takie jakieś wyschnięte, białe, a przyrodzenie rude bokobrody miało. „Nie wiem, książę panie, czyja to dupa" — rad nierad przyznałem, żałując, że butelki szampana z księciem nie wypiję. Ale książę klasnął radośnie w ręce i rzekł: „Wypijesz ty ze mną szampana, Erwinie, bo masz dobre oko. Ten tyłek do księżnej pani należy, co znaczy, że albo nikomu z was go nie pokazuje albo daje po ciemku!". Oj, co to było śmiechu i radości. Tego dnia już młocki nie podjęliśmy, tylko wszyscy się wódką raczyli, a książę pan wziął mnie do sadu i wypił ze mną butelkę francuskiego szampana. Jasno z tego wynika, że i kiedyś była równość, gdyż byle dworak mógł sobie zobaczyć gołe tyłek nawet i księżnej. Teraz takich zabaw się nie urządza, naczelnik Parametr na pewno nie pozwoliłby swojej żonie sukienki pod stogiem zadzierać na głowę. Jest jednak równość i teraz, choć zupełnie inna. Na ten przykład, pan Porwasz pije z jednej butelki z cieślą Sewrukiem, na co książę Reuss nigdy by nie pozwolił. Szampana francuskiego każdy z nas pił z własnego kieliszka...

W miarę jak Kryszczak snuł swoją opowieść, przez twarz Antka Pasemki zaczęły przebiegać dziwne drgnienia, usta zaś wykrzywił mu wyraz wstrętu. A gdy Kryszczak skończył opowieść, Antek Pasemko rozkrzyczał się parskając wokół śliną:

— To nie była żadna równość, tylko zwykłe świństwo! Zabawialiście się po świńsku z bezwstydnymi dziewkami! Niedobrze mi się robi, gdy słucham takich historii!

Porwaszowi także utknął w gardle ostatni okrągły pulpecik. Przełknął go z trudem, szklany słoik z sosem pomidorowym odstawił pod ławkę i bez słowa pożegnania ruszył drogą w kierunku swego domu. Idąc zaś od czasu do czasu zataczał się jak pijany albo jakby go coś oślepiało.

W twórczej wyobraźni malarskiej widział obraz żółtego stogu z pszenicą i niezliczoną ilość wypiętych gołych kobiecych pośladków. Były białawe, żółtawe, podobne z kształtu do liry przecięte stromo ciemną kreską rozdzielającą półdupki. Majaczyły mu czerniawe kłaczki obrastające przyrodzenie, woskowe uda, rudawe bokobrody księżnej pani. A wszystko to przysłaniał mu nieco zamglony zarys szczupłych pośladków pani Aldony. I strach — wielki strach — chwytał Porwasza za serce. O mało nie wpadł pod samochód doktora i ten aż dwa razy musiał przycisnąć klakson, zanim Porwasz ze środka drogi zszedł na pobocze.

Ujrzał Niegłowicz pobladłą twarz malarza, zatrzymał samochód i wyskoczył z niego, pchany niepokojem.

— Co się z panem dzieje, przyjacielu?

— Czuję się chory, doktorze. Bardzo chory. Nie wiem dlaczego nagle namalowałem Kłobuka. Mam zawroty głowy i kurcze żołądka, wycieka ze mnie żądza do kobiet. Bez żadnej przyczyny ogarnia mnie trwoga, czuję lęk przed nieznanym. Mam ochotę zapaść się w mysią dziurę albo uciec gdzieś na koniec świata. Co robić, doktorze? Co powinienem zrobić?

Niegłowicz długo i w milczeniu patrzył w twarz Porwasza, a wreszcie tak oświadczył z żartobliwą powagą:

— Medycyna zna różne przypadki, panie Bogumile. Co do mnie, jestem zdania, że cierpi pan na depresję wiejską. Klinicyści nie znają na ogół takiej dolegliwości, ale my skromni lekarze wiejscy, często mamy z nią do czynienia. Trzeba panu na krótki czas zmienić otoczenie, pogrążyć się w hałasie i zaczerpnąć w płuca nieco spalin samochodowych. Powinien pan na pewien czas zamieszkać w jakimś małym, ciasnym pokoiku o cienkich ścianach, aby słyszał pan wyraźnie kłótnie sąsiadów, płacz małych dzieci, bełkot telewizora. Potrzebna jest panu natarczywa obecność innych ludzi, istnienie w tłumie, kilka kopnięć w tramwaju i autobusie, parę szturchnięć łokciami w kolejce po papierosy. Nade wszystko jednak musi się pan nauczyć pokory wobec życia i świata.

— Tak, tak, tak, po trzykroć tak — zgadzał się z nim Porwasz.

Twarz doktora Niegłowicza rozjaśnił radosny uśmiech.

— No widzi pan, panie Bogumile, że nie ma powodu do zmartwienia. W wielkich miastach ludzie cierpią na depresję cywilizacyjną i wtedy jedyną radą jest, aby kupili sobie domek na wsi. My zaś ulegamy niekiedy depresji wiejskiej i od czasu do czasu powinniśmy wyskoczyć do jakiegoś większego miasta. Sam także miewam podobne ochoty. Jak pan myśli, panie Porwasz, czy nie warto byłoby uczynić wypadu do jakiegoś hotelu, zrobić kilka głębokich wdechów samochodowych spalin? Nie widzę nic złego w tym, że nagle namalował pan Kłobuka. Niepokojące wydaje mi się tylko to, iż ten fakt pana przeraził. Bardzo chętnie kupię od pana obraz z Kłobukiem, jeśli nie zechce pan za niego zbyt wiele.

C.d.n.